

WILLIAM WHARTON

Nigdy, Nigdy

Mnie Nie Złapiecie

(przełożył: Jacek Wietecki)

ROZDZIAŁ 1

Kiedy miałem piętnaście lat, wraz z pięcioma kuzynami - mniej więcej równolatkami - ze strony ojca eskortowałem trumnę na pogrzebie naszego dziadka. Dwa tygodnie przed śmiercią dziadek wezwał mnie do swojej sypialni. Wiedziałem, że jest chory - on, który nigdy nie chorował - ale nie wiedziałem, że umiera. Gdy wszedłem do jego pokoju, ciocia Sophie zamknęła za mną drzwi. Nie widziałem dziadka od miesiąca; był tak wychudzony, blady i mizerny, że z trudem go poznałem. Jego ciało, które wydawało się zawsze tak zahartowane od twardej ciesielskiej pracy, ledwie drgnęło pod pościelą. Siedział na łóżku podparty poduszką. Na mój widok uśmiechnął się nieśmiało i pokazał, bym przy nim usiadł; siadłem na stojącym obok krześle. Na kolanach miał tacę, na której leżały papier i ołówek. Spodziewałem się niemal, że poprosi, abym mu coś narysował. W przeszłości, ilekroć go odwiedzałem, zawsze mnie o to prosił. On i moja młodsza siostra, Jean, byli pierwszymi wielbicielami mojej twórczości. Czasami chciał tylko, żebym narysował kilka przedmiotów z jego kolekcji: groty strzał z Wisconsin lub dziwnie wykręcony kawałek drewna, najczęściej jednak miałem kopiować wielkie fotografie, które powiesił na ścianach jadalni. Dwa razy poprosił mnie o szkic trofeum - łba jelenia, którego ustrzelił na polowaniu w Maine. Tym razem jednak dał mi do zrozumienia, krzywiąc się w grymasach bólu, że chce mi coś pokazać. Za każdym razem, gdy przebiegał go spazm, zamykał oczy, a ja czekałem w milczeniu.

- Myślę, że jesteś moim najbystrzejszym wnukiem, Albercie. Jest parę spraw, o których powinieneś się dowiedzieć. Spojrzałem w jego nieruchome, zgaszone chorobą, jasnoblękitne oczy. Nie miałem nic do powiedzenia. Właśnie wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że dziadek umiera. Powoli i starannie zaczął kreślić coś na leżącej przed nim kartce papieru. Napisał nasze nazwisko, ale w innej pisowni, niż znałem je do tej pory. Podobnie jak cała moja rodzina, zapisywałem zawsze swoje nazwisko z angielska, to jest od dużej litery i bez przerw: Duaimé. Brzmi to tak samo, jak rozkaz: "Wyceluj!" (Do aim!). Wyrosłem przywiązany do nazwiska w tej postaci. Wiedziałem jedynie, że jest ono niepowtarzalne i trudne do przeliterowania.

- Albercie - zaczął dziadek, wskazując kartkę - pokażę ci teraz, jak naprawdę powinno

się pisać nasze nazwisko. Mój ojciec pozostał przy nowej pisowni, bo chciał, żebyśmy się bardziej zamerykanizowali. Zdradził mi to dopiero przed śmiercią. Znów zerka na mnie, chcąc się upewnić, że rozumiem, dlaczego zapis nazwiska ma dla niego tak wielkie znaczenie, teraz, gdy umiera. Ponownie podnosi ołówek i drżącą ręką, z uwagą, jakby kreślił rysunek, zapisuje nasze nazwisko w nowy sposób: du Aime - małą literą, z odstępem między "u" i "A".

- Zapewniam cię, Albercie, że jeśli przejrzysz wszystkie książki telefoniczne w Ameryce, a może i na świecie i znajdziesz gdzieś to nazwisko zapisane w takiej formie, to znalazłeś jednego z naszych bliskich krewniaków. - Uśmiecha się słabo i popatruje na mnie. - Chcę, żebyś zapamiętał moje słowa. Ale nie znajdziesz naszego nazwiska w żadnej książce telefonicznej, ponieważ to też nie jest nasze prawdziwe nazwisko, tak jak nie jest nim Duaimé. Później opowiem ci tę historię. Poznałem ją od swojego dziadka, a jemu, jak już mówiłem, opowiedział ją jego dziadek, zanim zmarł. Mój dziadek przekazał ją zarówno mnie, jak i mojemu bratu, a twojemu dziadkowi stryjecznemu, Elzardowi, ale z jakiegoś powodu nie powiedział nic żadnej z wnuczek. Mój brat nie żyje, pochowano go w Wisconsin. Nie zdążyłeś go poznać, Albercie. To był dobry, uczciwy człowiek, prawdziwy farmer z Wisconsin. Większość z tego, co zamierzam ci opowiedzieć, próbowałem napisać, ale nie mam talentu do pióra. Dlatego opowiem ci, co pamiętam, a pamięć na szczęście mi służy, nawet teraz. Dziadek opowiedział mi to, kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku, no, może trochę starszy. Leżał na łożu śmierci, tak jak ja teraz. Pomyśl tylko... część tych wydarzeń rozegrała się, zanim on się urodził. Dziadek urywa na moment. - Wszystko zaczęło się od rewolucji francuskiej, którą dziadek zwał zawsze "terrorem". Dla wielu ludzi, w tym także mojego pradziada, musiał to być rzeczywiście czas terroru. Wielu Francuzów stało się wtedy jakby dzisiejszymi terrorystami, zagrażającymi bezpieczeństwu własnego narodu i sąsiadów. Mieszkańcy Francji najwyraźniej powariowali: palili domy, mordowali ludzi, niszczyli kościoły - robili najgorsze rzeczy, jakie można sobie wyobrazić. Terror ogarnął całą Francję, małe wioski i wielkie miasta. Twój praprapradziadek, czyli mój pradziad, był zamożnym rolnikiem z Sabaudii. Region ten położony jest we francuskich Alpach, przy granicy z Włochami. Właśnie tam, na stromych górskich zboczach, pradziad wypasał stado krów. Sam wybudował sobie dom z kamienia, wysoki na dwa piętra, z przytykającą doń kamienną stodołą; pomógł mu w

tym starszy brat. Był to najokazalszy dom w całej wiosce. Wioska nazywała się Aime. Jego rodzina mieszkała u samego podnóża Alp. Ich dom miał nawet małą, okrągłą wieżyczkę, w której pradziadek przechowywał dokumenty i prowadził interesy, rozliczając się z należnych królowi podatków. A miał ten dom, którego wszyscy mu zazdrościli, dlatego że zbudował go wraz z synami. Użyli szarego, łupkopodobnego kamienia, którego pełno leżało dokoła. Konstrukcję wzmocnili deskami pochodzącymi z drzew, które ścięli i znieśli z gór. Kiedy "terror" dosięgnął ich małej pasterskiej wioski, najgorsze męty z całej okolicy, które nigdy nie zhańbiły się żadną pracą, zaczęły zabijać tych, którzy doszli do czegoś własnymi siłami. Wymordowali nawet te rodziny, które regularnie chodziły do kościoła. Pewnego razu zamknęli parafian i księży w kościele i podpalili go. Kiedy dziadek opowiadał mi tę smutną historię, miał łzy w oczach i trzęsły mu się ręce. Dwaj bracia, czterej synowie i dwie córki mojego pradziada zostali najpierw uwięzieni przez "obywateli", a potem ukamienowani. Ci "terrorysty" to był okrutny, przypadkowy motłoch, niszczący wszystko, co mu wpadło w łapy. Pradziadek, prababka i dziadek uciekli z tej zamkniętej doliny tajemnym przesmykiem, którym pędzili bydło na górski wypas. Zabrali ze sobą tyle pieniędzy, ile mieli, i wartościowe przedmioty, które mogli unieść. Z bólem serca zostawiali krowy - wiedzieli, że napastnicy je zaszlachtują, ale pradziadek po prostu nie mógł sam ich zabić. Hodowali te zwierzęta od pokoleń... Rodzina przedostała się do Włoch, najbliższego kraju, którego granic nie strzeżono zbyt pilnie. Dziadek zamilkł i kilkakrotnie odetchnął głęboko. Bałem się, że za chwilę umrze albo co najmniej zapadnie w sen. Nie wyszedłem przede wszystkim dlatego, że z całej siły ścisnął mi rękę. Po jakimś czasie znowu otworzył oczy.

- Nie do wiary, że to wszystko się zdarzyło przed tak wielu laty, w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym. A teraz mamy tysiąc dziewięćset czterdziesty i siedzimy sobie bezpiecznie w naszym małym szeregowym domku w południowo-zachodniej Filadelfii. Zaręczam ci, Albercie, że wszyscy znali mojego dziadka jako prawego człowieka. Wiem, że nie kłamał. Chciał, żebym znał prawdę, tak jak ja chcę, żebyś ty ją poznał. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Pradziad, jego żona i ich mały synek William uciekli statkiem wypływającym z Włoch do Ameryki. Nie mieli większego pojęcia, gdzie jest Ameryka, nikt z wioski nigdy tam nie był. Mówili* szczególną odmianą francuskiego używaną w Sabaudii. Mieli trochę grosza i

kosztowności, ale za mało, by zapłacić za dobre miejsce na statku. Pradziadek ledwie przeżył tę podróż, zmarł zresztą wkrótce po przybyciu do Ameryki. Statek wysadził ich na Ellis Island u wybrzeża stanu Nowy Jork. Byli mocno wygłodzeni. Zostało im niewiele - parę złotych monet, zaoszczędzonych przez rodzinę, i kilka drogocennych kamieni, które pradziad przyszył do sukienki mojej prababki. Żyli w ciągłym w strachu, że ktoś odkryje te precjoza i ukradnie je albo nawet ich zabije. Stanowiły one wszystko, czego się dorobili po latach harówki na górskiej farmie. Dzisiaj wręcz trudno sobie wyobrazić, czego ci ludzie się lękali. Życie zmieniło się tak bardzo. Wraz z setkami im podobnych zeszli ze statku, cuchnąc smrodem ciemnej ładowni, niosąc w tobołkach dorobek całego życia. Stanęli w kolejce do urzędników na Ellis Island. Posłuchaj, Albercie - tam właśnie zaczęło się całe nieporozumienie związane z naszym nazwiskiem. Otóż podeszli do umundurowanego celnika siedzącego za stołem. Ten, mieszając francuski i włoski, zadał im pytanie, które zwykle stawia się nowo przybyłym: "Skąd pochodzicie?" Pradziadek miał przygotowaną odpowiedź na to pytanie; pomogło mu kilka osób na pokładzie, mówiących po francusku. Widocznie jednak urzędnik zadał im całkiem inne pytanie, mianowicie: "Jak się nazywacie?" Większość pasażerów statku stanowili Włosi uciekający przed panującym w ich kraju głodem i biedą. Pradziad nie rozumiał, o co go spytano. Nie znał ani angielskiego, ani włoskiego. Więc odpowiedział: "ous sommes du Aime", co po francusku znaczy "pochodzimy z Aime". Powiedział celnikowi, skąd pochodzi rodzina, a nie, jak się nazywa, lecz informacja ta trafiła do rubryki "nazwisko". Stąd przeszła do wszystkich dokumentów imigracyjnych i z czasem stała się nazwiskiem naszej rodziny: du Aime! Nie zmienili go, bojąc się, że zostaną wydalen i z powrotem do Sabaudii. Zarówno pradziadek, jak i jego syn, który w chwili przybycia do Ameryki miał pięć lat, do końca życia nie nauczyli się czytać i pisać po angielsku. Skontaktowali się jednak z innymi Francuzami z Nowego Jorku, którzy poradzili im przenieść się do Wisconsin, gdzie było dużo wolnej ziemi i wielu francusko-języcznych mieszkańców. W ten oto sposób ludzie o dziwnym nazwisku du Aime osiedlili się w hrabstwie Lawrence w stanie Wisconsin. Za pieniądze i kosztowności przywiezione w babcinej sukience dziadek kupił dom i niewielką, niespełna czterdziestoakrową farmę, ale ani on, ani jego żona nigdy nie opanowali angielszczyzny. Całe życie żyli w tej części Wisconsin ze swymi francuskojęzycznymi pobratymcami. Mój dziadek,

czyli twój prapradziadek, chodził do jednoizbowej szkoły leżącej pięć mil od farmy. W obie strony maszerował na bosaka, w Wisconsin zaś było jeszcze zimniej niż w dolinie Aime, gdzie się urodził. Próbował nauczyć rodziców tego, czego dowiedział się w szkole. Ci jednak byli już zbyt starzy na naukę i zbyt zmęczeni pracą w polu, żeby w ogóle próbować. W domu rozmawiali ze sobą i z synem po francusku. W szkole, do której chodził, była tylko jedna nauczycielka. Co prawda wiedziała nieco więcej niż jej uczniowie, ale za to znała angielski i nalegała, aby dzieci uczyły się języka. Zdaniem dziadka była to w zasadzie jedyna rzecz, jakiej się tam nauczył. Choć było osiem klas, edukacja dziadka zakończyła się, kiedy miał dziesięć lat. On i brat byli potrzebni do pomocy na farmie i doglądania zwierząt. Natomiast jego siostry, po skończeniu ośmiu klas, kontynuowały naukę. Do szkoły jeździły dwukołowym wozem zaprzężonym w konia. Na farmie było osiem krów i byk. Krowy trzeba było codziennie doić, rano i wieczorem. Mój pradziadek uprawiał ziemię. Musiał zapewnić jedzenie rodzinie i paszę dla zwierząt. Obok chaty, w której mieszkali, postawił stodołę, aby na poddaszu składować siano. Miał nadzieję, że utrzyma krowy do wiosny. Stodoła przypominała tę, która stała przy domu jego ojca w Sabaudii. Czterdzieści akrów ziemi wymagało sporo pracy. Uprawiali różne warzywa, głównie rośliny okopowe: buraki cukrowe, rzepę, ziemniaki, marchew - takie, które mogli uchronić przed mrozem, chowając je w ziemi pod kuchenną podłogą. Hodowali także kukurydzę dla świń i przechowywali ją na strychu. Dom składał się z małej kuchni, pokoiku i dużego pokoju, gdzie spali rodzice. Poślanie mojego dziadka znajdowało się pod powalą obok komina, który przebijał strych i wychodził z dachu. - Dziadek milknie na chwilę, aby odpocząć. Czuję, że zaczynam się gubić w tych wszystkich pradziadkach, prababkach, babkach i dziadkach; minęło tyle lat, a ja słucham opowieści mojego dziadka o tym, przez co tamci musieli przejść... Dziadek wolno upija trochę wody. Siedzę w przegrzanej sypialni i wyglądam na uliczkę biegnącą za naszym niewielkim szeregowym domem. To nie do wiary. Przez dziesięć minut dziadek oddycha ciężko, po czym powoli otwiera oczy i, przezwyciężywszy dwa ataki bólu, mówi dalej:

- Albercie, mój dziadek dożył sześćdziesięciu ośmiu lat. Z tego ponad czterdzieści przepracował w pocie czoła na farmie. Zmarł zimą, w styczniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego. Nadal przechowuję zawiadomienie o mszy, która odbyła się po

jego pogrzebie. Do końca wytrwał w wierze katolickiej. Żona przeżyła go zaledwie o parę lat. Dla niej i jej syna prowadzenie farmy okazało się ponad siły. Mój ojciec miał wtedy trzydzieści dwa lata. Farma leżała na odludziu. Wiedział, że sam nie zdoła jej utrzymać, więc próbował szczęścia jako cieśla. Wynajmował się do prac na farmach położonych o dzień jazdy konno. W końcu jednak musiał sprzedać i zagrodę, i inwentarz. Ponownie zalega cisza.

- Kiedy wybuchła wojna, zwana wojną secesyjną, ojciec nie miał żadnych środków do życia, zatem w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim zaciągnął się do wojsk Unii. To jedyny dokument z jego podpisem, jaki się zachował. Prawie nie można go odczytać, taki jest stary i wyblakły. Pokazała mi go ciotka Sophie. Widnieje na nim nazwisko "Duhamel".

Prawdopodobnie ktoś się podpisał za niego, gdyż przy podpisie stoi duży krzyżyk oraz jakiś bazgroł. W tamtych czasach było to na porządku dziennym, mało kto umiał pisać. Prawdę mówiąc, nie wiemy, Albercie, czym się zajmował twój pradziad w czasie wojny, ale wśród rodzinnych papierów, przechowanych przez twoją ciotkę Louise, jest świadectwo honorowego zwolnienia ze służby wojskowej. Wiemy natomiast, że po wyjściu z wojska skorzystał z uchwalonego rok wcześniej Aktu nadania ziemi osadnikom, dzięki któremu mógł, po wpłaceniu piętnastu dolarów i zbudowaniu domu z ogrodzeniem, nabyć działkę o powierzchni sześciuset czterdziestu akrów. Pięć lat później uzyskał przywilej posiadania ziemi. Nadal mamy ten dokument, choć ziemia już do nas nie należy. Pracował na farmie, polował i zastawiał sidła na zwierzęta. Tę część Wisconsin porastała wówczas gęsta puszcza. Ale najgorsze było zimno. Zimą ojciec nie przeżyłby długo w swojej chacie, więc zamieniał się w trapera i zamieszkiwał u Indian. Indianie ci nazywali się Oneida. Było to bardzo prymitywne plemię o dziwnych obyczajach. Ale twój pradziadek nauczył się z nimi żyć. Jedną z ich osobliwości była wiara w to, że wszystko - łącznie z kobietami i dziećmi należy równo do wszystkich współplemieńców. Nie mieli takich rodzin jak my. Nie mieli kościołów, gdzie braliby ślub. Wszyscy byli jedną wielką rodziną. Nie sądzę, żeby twój pradziadek powiedział Indianom o swojej działce, mogliby jej zażądać dla całego plemienia, a i tak pewnie uważali, że nikt nie może posiadać ziemi na własność. Należała do wszystkich. Między innymi to dlatego białym tak trudno było zrozumieć Indian Ameryki Północnej. Myśleli, że dając czerwonoskórym strzelby, whisky i derki, kupują w zamian ziemię, ale Indianie nie podzielali ich punktu widzenia. To

nieporozumienie doprowadziło do krwawych walk między Indianami i Europejczykami, którzy przyjechali po "swoje". No więc żyjąc u Oneidów, najwyraźniej ojciec się ożenił, jeżeli można tak powiedzieć o tych dzikusach. Kobieta, którą nazywał swoją żoną, jego squaw, urodziła mu dwójkę dzieci. A przynajmniej przypuszczał, że te dzieci są jego, bo według plemiennego prawa nikt do nikogo nie należał. Jak już mówiłem: to była jakby jedna wielka rodzina. Kiedy twój pradziadek ogroził działkę i zbudował dom, chciał zabrać tam swoją squaw i dzieci, aby zamieszkały razem z nim. To znaczyło, Albercie, że musi je wykraść - i zrobił to. Ubrał je ciepło, wsadził na sanie wykonane ze skór, które Francuzi zwali traouis, i uciekł. Ciągnął je przez ponad sto mil do swojej posiadłości, a potem poszedł do kapłana i wziął ślub. Albercie, mam tutaj fotografię mojego ojca i jego żony. To zdjęcie musi mieć ze sto lat. Nie wiem, gdzie je zrobiono, być może w Oskosh, niedaleko jeziora, gdzie handlował skórami. Dziadek podnosi sztywny, metaliczny czarnoszary dagerotyp. Zdjęcie przedstawia dwoje ludzi gapiących się nieruchomo w aparat. Odkrywam ze zdumieniem, że moja indiańska prababka musiała mieć ponad sześć stóp wzrostu, pradziadek zaś nie mógł liczyć więcej niż pięć stóp i pięć cali. Stoi obok niej ubrany w skóry, trzymając u boku strzelbę, która jest dłuższa od niego, a nawet od jego żony. Kobieta ta była wysoka, ale też potężna, ubrana w długą, ciemną suknię, włosy miała zaczesane do tyłu.

- Widzisz, Albercie, mieszkańcy tej doliny we francuskich Alpach borykali się z brakiem pożywienia, toteż w ciągu lat przeżyła w tych warunkach tylko garstka najtwardszych. Pewnie zauważyłeś, że nasza rodzina nie odznacza się wybujałym wzrostem. Ja jestem wyższy od moich synów, a mam zaledwie pięć stóp i osiem cali. To rodzinna cecha. Ale kobieta, z którą się ożeniłem, twoja babka - to zupełnie co innego. Jej rodzina, Denisowie, była dość wysoka. Jej ojciec i dwaj bracia mieli po sześć stóp, i po nich członkowie naszej rodziny odziedziczyli wzrost. Ty masz jasne włosy, niebieskie oczy i nie jesteś zbyt wysoki. Ja za sprawą matki jestem w połowie Indianinem, dzięki czemu jestem wyższy niż ci, którzy przybyli z Francji. Mimo to ty i twój tato najbardziej mnie przypominacie. Twój ojciec, tak jak ja, ma ciemnobrązową skórę i niebieskie oczy, ale jest niski, jak wszyscy jego bracia. Płynie w nim jedna czwarta krwi indiańskiej, a w tobie jedna ósma, choć trudno byłoby się tego domyślić. Mój ojciec miał jeszcze troje dzieci ze swoją indiańską żoną. W sumie dwóch chłopców i trzy

dziewczynki. Mój brat przerastał mnie o cal. Dziewczynki były jeszcze niższe niż chłopcy: żadna nie miała więcej niż pięć stóp. W ciągu lat ojciec wybudował na tej sześćsetczterdziestoakrowej działce znakomitą farmę mleczną. Nie bał się ciężkiej pracy i był dobrym farmerem. Zostawił po sobie przeszło sto mlecznych krów, nie licząc jałówek i byczków, które hodował na sprzedaż. Trzymał tylko jednego byka, którego nazywał Oscarem. Brat i ja baliśmy się go strasznie. Ojciec chyba też. To był ogromny, zawzięty buhaj. Miał w nosie pierścień, za który trzymaliśmy, prowadząc go na pole albo do stodoły. Przed śmiercią ojciec zadbał o dobre wyswatanie córek. Dał im hojny posag, jak nakazywał obyczaj Starego Świata, i znalazł dobrych mężów farmerów. Oznajmił mojemu bratu Elzardowi i mnie, że po jego śmierci majątek zostanie podzielony na dwie części - połowa dla brata, połowa dla mnie. Brat był starszy, toteż jemu przypadł dom i stodoła, ale miał mi pomóc przy budowie mojego gospodarstwa. W ten sposób odnawiały się stare zwyczaje. No i udało się nam. Budowa domu i stodoły zabrała nam trzy lata; z wyjątkiem paru nowoczesnych dodatków niemal skopiowaliśmy stare domostwo. Przy okazji do obydwu doprowadziliśmy wodę. Pompowało się ją do kuchennego zlewu ręczną pompą, co było lepsze niż bieganie do pompowni z wiadrami zwisającymi na kiju. Zakochałem się w córce farmera z sąsiedztwa. Miała na imię Mary. Była również katoliczką, jak prawie wszyscy mieszkańcy tej ziemi oprócz kilku Szwedów. Miała piękne blond włosy i błękitne oczy. Kochałem się w niej przez dwa lata, zanim wyznałem jej miłość. Ciężko się żyło w tamtych czasach. Nie było czasu na towarzyskie spotkania, ludzie harowali od świtu do nocy. Nie chciałem się żenić, dopóki nie postawię mojej żonie domu. Pod koniec trzeciego roku, pracując wspólnie z Elzardem, miałem dom. Podzieliliśmy się też stadem, tak że powstała nawet mała farma mleczna. Na wiosnę, kiedy zacząłem uprawiać warzywa w ogrodzie, zdobyłem się na odwagę, by poprosić Mary o rękę. Oczywiście powiedziała, że przez cały czas czekała na mnie. Wprowadziła do naszego domu różne miłe zmiany, nadając mu bardziej rodzinną atmosferę. Ślub odbył się pod koniec maja w kościele Świętego Józefa, a ja byłem najszczęśliwszym człowiekiem w Wisconsin. W zawstydzająco szybkim tempie zaczęły się nam rodzić dzieci. Twój wujek Joe urodził się ledwie dziesięć miesięcy po ceremonii kościelnej. Mary i ja bardzo się kochaliśmy, wciąż się kochamy, ale nie wszystko układało się tak różowo. Miałem szczęście - okazała się idealną

żoną. Niemal co roku rodziło się nam kolejne dziecko. Uważano nas za głęboko wierzących katolików, ale chodziło o co innego. Kochaliśmy nasze dzieci i siebie nawzajem. Kochaliśmy też to, co należało zrobić, aby przyszły na świat. Rozumiesz, co mam na myśli, Albercie? - Dziadek omal nie puszcza do mnie oka. - Ach, to były piękne dni.

- Niestety czuję się zmęczony, Albercie. Na szczęście zostało mi niewiele do końca tej historii. Nie zapomnij jej zapisać, a potem opowiedz ją swoim dzieciom i wszystkim członkom rodziny, którzy się nią zainteresują. Niech ją przeczytają. Słyszysz mnie? Nie lubią czytać, więc na nich nalegaj! No więc, jak wiesz, urodziło nam się w sumie dziesięcioro dzieci. Siedmioro z nich przeżyło. Potem nastaly trudne czasy i musieliśmy rozstać się z farmą. Elzard jakoś wytrwał, ale on miał tylko dwójkę dzieci, no i był zapewne lepszym ode mnie farmerem. Sam nie wiem. Tak czy owak, w najcięższej chwili sprzedaliśmy farmę i przenieśliśmy się do Michigan, gdzie poszukiwano robotników i cieśli do budowy tam na rzekach i linii kolejowych. Pracowaliśmy tam przez trzy lata, po czym przyjechaliśmy do Filadelfii, gdzie podczas pierwszej wojny światowej znalazłem pracę w stoczni. Oszczędzaliśmy grosz do grosza i po kilku latach kupiliśmy plac w południowo-zachodniej Filadelfii, gdzie postawiliśmy trzy szeregowe domy. Razem wyglądały jak okazała farma, tyle że z sześciorgiem drzwi. Mary z dziewczętami sprzątały i gotowały, a chłopcy pracowali ze mną. Jeszcze w Michigan poznali wiele ciesielskich tajników. Znowu przyszły ciężkie, ale też dobre czasy. Później musieliśmy sprzedać jeden z domów i twoja ciotka Sophie zamieszkała w drugim, ale to ciągle moja wersja farmy, stojącej w centrum południowo-zachodniej Filadelfii. Co prawda nie spisałem się jako farmer, ale myślę, że byłem dobrym cieślą, ojcem i katolikiem. Albercie, proszę, pamiętaj, by zapisać moją opowieść. Przedstawiłem ci najwierniej jak potrafiłem historię naszej rodziny. Pocałuj mnie teraz i powiedz cioci Ethel, że chcę się z nią zobaczyć. Całuję dziadka i wychodzę z pokoju. Ciotka Ethel stoi tuż za drzwiami, kiwa mi głową i zagląda do dziadka. Pospiesznie zbiegam po schodach. Zdejmuję z kredensu starą maszynę do pisania marki Underwood, należącą do cioci Sophie, i zanoszę ją do piwnicy. Wiem, gdzie ciocia Sophie trzyma papier maszynowy, więc biorę też gruby plik i kładę go obok maszyny. W liceum uczyłem się maszynopisania. Mimo że chodziłem do klasy o profilu matematyczno-fizycznym, udało mi się namówić wychowawca, aby pozwolił mi brać udział w

zajęciach z pisania na maszynie. Uznał mnie za spryciarza, który chce po prostu się wkręcić do klasy z dziewczynami, ale się zgodził. Lekcje trwały tylko jeden semestr, pod koniec jednak pisałem z szybkością blisko osiemdziesięciu słów na minutę. Za nic nie byłem w stanie równie prędko pisać ręcznie, a gdyby nawet, nikt by tego nie odcyfrował. Codziennie po szkole jechałem na rowerze do domu dziadka. Mówiłem rodzicom, że jadę go odwiedzić, ponieważ jest chory. Była to prawda, ale niecała - udawałem się tam głównie po to, by zapisać jego historię, zanim wywietrzeje mi z głowy. Czasami prosiłem babcię o przypomnienie pewnych szczegółów. Zwykle zgadzała się na rozmowę i powtarzaliśmy sobie wiele z tego, co opowiedział mi dziadek, zwłaszcza na temat farmy i wychowywania dzieci na wsi. Jeszcze lepiej uświadomiłem sobie, jak trudne było wówczas życie. Gdy kończyłem spisywanie tej historii, dziadek zmarł.

ROZDZIAŁ 2

W ciągu następnych paru dni przybyli członkowie rodziny, których prawie nie znałem. Pożegnawszy się ze zmarłym, kręcili się w okolicach frontowej werandy. Wtedy po raz pierwszy ujrzałem ojca płaczącego. Sam też z trudem powstrzymywałem się od łez. Pojechałem z rodzicami do centrum i sprawiłem sobie pierwszy prawdziwy garnitur, by eskortować w nim trumnę. Kupiliśmy nawet czarny krawat. Ojciec miał już czarny garnitur z wcześniejszych pogrzebów, matce została czarna suknia po śmierci jej siostry, Dorothy. Mama uznała, że moja siostra Jean jest na tyle mała, że może nosić jakiegokolwiek ciemne ubranie. Bałem się. Bałem się dziadka leżącego w łóżku na piętrze, samotnego i martwego. Był pierwszym nieboszczykiem, jakiego widziałem. Ale najbardziej przerażał mnie pochówek i balsamowanie zwłok. Dziadek miał zostać zabalsamowany przez przyjaciela rodziny, który nazywał się Mikę O'Brien. Był właścicielem mieszczącej się przecznicę dalej kostnicy z wielkim szyldem "Dom pogrzebowy O'Briena". Bezmyślnie wygadałem się przed rodziną, że kiedy dorosnę, chcę zostać lekarzem. Młodych chłopców z biednych rodzin zachęca się do podobnych deklaracji. Powinienem być ugryźć się w język albo oświadczyć, że chcę być księdzem. Z pytaniem, czy pomogę panu O'Brienowi przy pochówku, zwraca się do mnie babcia. Znajdujemy się w kuchni na tyłach domu. Albercie, chciałabym, aby wszystko pozostało w rodzinie. Czulałabym się o wiele lepiej, gdybyś pomógł Mike'owi. Co ty na to? Uśmiecha się do mnie. Kiwam głową na znak zgody, czując, że zaraz zemdleję. Mam nadzieję, że ktoś wyperswaduje babce ten pomysł. Nikt taki jednak się nie znajduje. Po południu pan O'Brien daje mi sygnał z frontowej werandy. Właśnie wybieram się do domu z maszynopisem historii rodzinnej przywiązany do bagażnika roweru. Martwię się, aby ktoś go nie znalazł w schowku, który urządziłem w kredensie z naczyniami. Wciąż traktuję to bardzo osobiście, jako coś, czym mógłbym się podzielić jedynie z babcią. Ciężka ręka pana O'Briena spoczywa na moim ramieniu.

- Twoja babka powiedziała, żebym porozmawiał z tobą, Albercie, o przygotowaniu dziadka. W porządku? Będę potrzebował pomocy, a nie chcę brać kogo popadnie z ulicy. Zdałem sobie sprawę, że to właśnie robi: wynajmuje kogo popadnie z ulicy, ale odprowadziłem

rower z powrotem na trawnik przed domem i założyłem na nim kłódkę. W środku cały się trząsałem. Podszedłem do pana O'Briena; był to przysadzisty mężczyzna. Ponownie położył mi na ramieniu swoją niedźwiedzią łapę. Podniosłem wzrok i spojrzałem w jego jasnoblękitne oczy.

- Panie O'Brien, ja nigdy czegoś takiego nie robiłem. Czy to zgodne z prawem i czy nie trzeba mieć specjalnej licencji? Uśmiecha się.

- Nie, Albercie, wystarczy nam pozwolenie od rodziny. Chodź na górę. Ani się obejrzysz, jak będzie po wszystkim. Kto wie, może stoisz u progu kariery zawodowej? Ciotka Sophie mówiła, że chcesz być lekarzem. To bardzo podobna praca, tyle że klienci nie biadają.

- Wyszczersza zęby. Patrzę na niego. Przebrał się już w strój grabarza: czarny garnitur i czarne jedwabne skarpetki pasujące do czarnych lakierków. Ja natomiast mam na sobie zwykłe sztruksowe spodnie i ciemny sweter. Matka chciała, abym się ubrał odświętnie, ale ojciec odparł, że zaczekamy z tym do wieczora; po południu mogę wyglądać zwyczajnie. Co innego wieczorem, kiedy będziemy odmawiać różaniec i pożegnany zmarłego. Nawet te słowa budzą we mnie strach. Nie mógłbym być grabarzem. Ruszam za panem O'Brienem po schodach. Wiem, że ludzie się nam przyglądają, ale udaję, że nie zwracam na nich uwagi. Podchodzimy do drzwi sypialni dziadka. Pan O'Brien otwiera je bez pukania. Wewnątrz zastajemy klęczące przy łóżku ciotki Alice i Sophie. Obie płaczą. Pan O'Brien podchodzi do każdej z osobna i szepcze im coś do ucha. Unoszą wzrok i dostrzegają mnie. Pochylają się, by ucałować dziadka, po czym w milczeniu opuszczają sypialnię. Wszyscy poruszają się w zwolnionym tempie, tak samo poruszaliśmy się po zakrystii, kiedy służyłem do mszy. Każe mi się zbliżyć. Po drugiej stronie łóżka postawił na podłodze czarną walizkę podobną do lekarskiej torby i mały składany stolik. Wskazuje gestem, abym go rozłożył, i wyjmuję różne butelki, pompki i strzykawki. Gdy stawiam stolik, zaczyna układać na nim rzędem butelki, które powyciągał. Przypomina mi się, jak przygotowywaliśmy wino i opłatki przed rozpoczęciem mszy, tyle że te przedmioty są cięższe, większe, brzydsze. Pan O'Brien otwiera jedną z butelek i przytwierdza do niej rurkę zakończoną ręczną pompką. Nadal nie wiem, co się właściwie dzieje. Albercie, wyciągniemy z twojego dziadka krew. Popłynie, jak zaczniesz przetaczać ją do tej dużej butelki na ziemi. Rozumiesz? Kiwam głową, lecz nie chcę rozumieć. Stoję nieruchomo i

staram się nie zemdleć. Normalnie używamy do tego zwykłej pompki ssącej, ale ponieważ twój dziadek jest stary i krwi będzie niedużo, a pogrzeb odbędzie się już jutro po mszy, więc po prostu zastąpimy odessaną krew formaliną. Wystarczy tylko, że ściśniesz tę gumową gruszkę, którą trzymasz w ręce, a krew wypłynie sama. Gotowy? Nie jestem ani trochę gotowy.

- Nie wiem, czy dam radę, panie O'Brien. Nigdy przedtem tego nie robiłem. Jeśli chcesz zostać lekarzem, Albercie, powinieneś zacząć się przyzwyczajać do takich rzeczy. To drobnostka. Twój dziadek nie żyje, nie możemy go już skrzywdzić. Robimy to tylko po to, aby nie było czuć przykrego zapachu, zanim go pochowamy. No, śmiało, Albercie, bierzmy się do dzieła. Zobaczysz, spiszysz się na medal. Z tymi słowami zwalnia zacisk na rurce wijącej się między mną a butlą na podłodze. Krew zaczyna się sączyć.

- Pracuj pompką, Albercie. Musimy wykorzystać siłę ciężkości i efekt zassania, aby krew nie przestała płynąć. Nie potrafię oderwać oczu od słoja wypełniającego się ciemną mazią, o której wiem, że jest ludzką krwią. Czy właśnie to dzieje się z ludźmi po śmierci? Nie chcę, żeby tak było ze mną. Stoję i ściskam gumową gruszkę, słysząc dźwięk krwi odsysanej z mojego dziadka. Niemal spodziewam się ujrzeć, jak zapada się w sobie. Krew cieknie coraz wolniej. Pan O'Brien zakłada na rurce zacisk, tamując upływ, i zgina ją w pół.

- No, Albercie, połowę roboty mamy za sobą. Pogrzeb jest jutro, więc nie musimy usuwać organów, pozostaje tylko wpompować formalinę i zrobić parę retuszów i kosmetykę. Ludzie chcą widzieć swoich ukochanych takich, jak ich zapamiętali, a nie jak jawią im się po śmierci. To naturalne. Przypuszczam, iż jest to tak bardzo naturalne, że w tym samym momencie tracę przytomność. No cóż, przynajmniej potrafiłem zachować się naturalnie.

ROZDZIAŁ 3

Gdy dochodzę do siebie, pan O'Brien pochyla się nade mną. A wiesz, Albercie, że zrobiłem to samo, gdy ojciec pierwszy raz wziął mnie do pracy. Czekał, zaprowadzę cię do drugiej sypialni, żebyś trochę odsapnął. Pomaga mi się pozbierać. Zerkam z ukosa na półnagiego dziadka ułożonego na łóżku. Odwracam wzrok. Wychodzimy; pan O'Brien podtrzymuje mnie za łokieć i sadza na krzesło w bliźniaczej sypialni.

- Nikomu nie powiemy, co się stało, Albercie. Ja zajmę się resztą. Kiedy usłyszysz, że schodzę po schodach, pójdziesz za mną. Lepiej się czujesz? Przytakuje i próbuję się uśmiechnąć. Pan O'Brien wychodzi z sypialni. Nie ruszam się z krzesła. Wydaje mi się, że upływa długi czas, zanim słyszę skrzyp otwieranych drzwi: pan O'Brien daje znak, bym za nim szedł. Schodzimy do pokoju, w którym zwłoki zostaną wystawione na widok publiczny. Zgromadziło się tam tymczasem sporo ludzi. Pan O'Brien objaśnia, w jaki sposób należy znieść dziadka na dół.

- Pamiętajcie, że ciało będzie sztywne. Najważniejsze, żebyście trzymali go poziomo i uważali, aby nie uderzyć w sufit. Postanawiam wyjść przez kuchnię na malutkie podwórko. W kuchni natykam się na babcię. Zauważyła mnie pierwsza, toteż przystaję obok wielkiego pieca. Patrzy mi prosto w oczy, podchodzi do mnie i przytula się. Na twarzy ma ślady łez, ale już nie płacze. Tak mi przykro, Albercie. Chciałam, abyś to ty pomógł przy dziadku. Zawsze był z ciebie taki dumny. Wiem, że życzyłby sobie tego. Trzymając babkę w ramionach, przypominam sobie słowa dziadka o tym, że choć on i jego brat byli całkiem słusznego wzrostu, ożenił się z niską kobietą i miał niskich synów. Babcia sięga mi czubkiem głowy akurat do podbródka. Na pewno nie przekracza pięciu stóp wzrostu. Płacze i ściska mnie mocno. Czuję jej drobne kości. Później wołają mnie, bym pomógł zamontować podwyższenie pod trumnę. Platformę składa się z drzwi, które dziadek przechowywał w piwnicy, wspartych na kozłach do piłowania. Kiedy dziadek leży już w pokoju, otoczony tłumem żałobników, umieszczamy podwyższenie w kącie, z dala od podnóża schodów i wyjścia na ganek. Aby się pomieścić, musimy wygospodarować nieco przestrzeni. Trumnę dowieziono ciężarówką, którą dziadek jeździł na roboty ciesielskie. Trumna jest strasznie ciężka, moi wujowie i ojciec

wykonali ją z dębiny narzędziami dziadka. Pracowali prawie całą noc. Po południu trumna jest gotowa do wystawienia. Bierzymy świeżo politurowaną skrzynię na ramiona i wsuwamy ją przez drzwi na werandę. Mijając o włos filar poręczy schodów, wnosimy trumnę do środka i pomagamy panu O'Brienowi ułożyć ciało na marach. Potem moje ciotki i pozostałe krewne zmarłego wychodzą z jadalni, niosąc czarno-fioletowy materiał. Odsuwam się na bok, kiedy spowijają sukнем całe podwyższenie. W tym czasie wujowie Caddy i Dick zbijają mary gwoździami, a tato i wuj Burt Kettieson spinają je klamrami dla zapewnienia stabilności. Stoję na schodach z kuzynkami i kuzynami. Prawdę powiedziawszy, nie wiem nawet, jakie mają imiona. Ze zdumieniem obserwuję, jak się wszystko układa. Myślę, że może zawód grabarza nie jest wcale taki zły. Zakończywszy przygotowania, jedziemy do domu. Siedzący za kierownicą tato płacze. Mama jest tak przerażona, że bez przerwy przykłada chustkę do oczu, głównie po to, by nie widzieć mijających nas samochodów. Gdy docieramy do domu, tato idzie się zdrzemnąć. Nie jemy obiadu. Gdy mama budzi tatę, jest już późno. Kiedy zajeżdżamy przed dom dziadka i babci, na ulicy panuje tłok. Większość pojazdów ma czarne szarfy na maskach. Parkujemy aż w alei Elmwood. W drzwiach witają nas ciotki Sophie, Alice, Louise i Ethel. Są też wujowie Dick, Caddy i Joe. Ciocie wyglądają elegancko, jakby wybierały się do kościoła. Bo tak jest. Widać, że czują się o wiele lepiej w swoich niedzielnych ubraniach niż mężczyźni. Wujków rozpoznaję z ledwością. Ich ubrania są albo nowe i niedopasowane, albo tylko niedopasowane, ponieważ - tak jak ja - wyrosli z nich, zwłaszcza w okolicach pasa. Mają gładko ogolone twarze i czyste paznokcie. Gdybym przypadkiem zobaczył kogoś na ulicy, pewnie bym go nie poznał. Wszyscy w milczeniu stoją wokół trumny. Ktoś umocował nad nią lampę, przez co scena wygląda jak z filmu. Jestem pewien, że to wynalazek pana O'Briena. To nie w stylu naszej rodziny. Rodzice dryfują niebawem w różne strony - mama idzie pomóc w kuchni, tato zostaje na dole z braćmi i resztą mężczyzn. Zarówno living room, jak i jadalnia są zastawione rozkładanymi krzesłami. Doliczam się ich ponad sześćdziesiąt, ale i to nie wystarczy. Korzystając z tego, że są wolne, wybieram jedno dla siebie. Zastanawiam się, czy nie zająć miejsc rodzicom, ale najwyraźniej nikt tak nie robi. Siedzę blisko trumny. Nie wiem, czy zapachy, które czuję, istnieją tylko w mojej pamięci, czy też naprawdę unoszą się w powietrzu. Czuję woń podobną do środka dezynfekującego, który mama umieszcza w naszym

sedesie, woń przywodzącą na myśl kinową toaletę. Skupiam uwagę na dziadku. "Kosmetyka" pana O'Briena dała znakomite efekty. Dziadek wygląda bardzo naturalnie, tylko twarz ma nieco zbyt gładką. Wpatruję się w kąciaki jego ust, jakby miały się zaraz poruszyć. W pewnym sensie usiłuję stać się "dziadkiem". Tak bardzo chcę, aby żył, że niemal oczekuję, iż się odezwie. Cofam się pamięcią do naszego spotkania w sypialni, kiedy przed śmiercią dzielił się ze mną "rodzinnymi tajemnicami". Siedzę, obserwuję go i przepowiadam sobie cicho to, co mi powiedział. Przypuszczam, że jest to jakiś sposób, by przywołać go do życia. Nagle w drzwiach pojawia się ojciec McCann z kościoła św. Bamaby. Ubrany jest w sutannę, w prawej dłoni trzyma stulę. Przechodzi przez tłum wypełniający dom, porusza się powoli, ściska dłonie i udziela błogosławieństw, zbliżając się do trumny. Zapada cisza. Ojciec McCann stoi kilka minut przed trumną zwrócony plecami do zebranych, którzy powoli zajmują miejsca. Kiedy ksiądz mnie mijał, wstałem, a on uśmiechnął się przelotnie. Ciekawe, czy pamięta mnie jako byłego ministranta. Sięgam do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wydaję mały płócienny woreczek, w którym przechowuję różaniec. To jedyny różaniec, jaki mam. Ojciec o'Shea przywiózł z podróży po Irlandii tyle różańców, by starczyło dla każdego z parafian. Powiedział, że paciorki przesiąkły krwią męczenników, gdyż zrobiono je z ziaren zbóż uprawianych na irlandzkich polach. To właśnie tam wyjaśnił - ci, którzy zachowali wiarę ojców, katolicy, bronili ojczyzny przed wrogimi protestantami. Obdarował parafian małymi woreczkami, takimi jak mój, uszytymi jak zapewnił - przez młodziutki nowicjuszki zakonne; każda z nich odkryła w sobie powołanie i poświęciła życie Kościołowi, a szczególnie Chrystusowi, będącemu ich duchowym mężem. Ojciec o'Shea przypomniał również, że te młode dziewczęta (jak mówił: "dziewuszki") będą do śmierci nosiły ślubną obrączkę jako symbol ich duchowego małżeństwa. Jego słowa wywarły na mnie wtedy takie wrażenie, że mało brakowało, a pognałbym do seminarium i zostałem duchownym. Wkrótce jednak wyrzucono mnie z kółka ministranckiego i z chóru. Moje wielkie doświadczenie religijne dobiegło końca. Dochodzę do wniosku, że stan duchowny nie leży w mojej naturze. A jednak magia różańca podtrzymuje gasnącą we mnie wiarę. Biorę go na każdą mszę i odmawiam co najmniej pięć tajemnic. Siłą rzeczy poświęcam mniej uwagi odprawianej mszy. Dwa razy omal nie zapominałem przyjąć komunii, ale magia wciąż działa. Siadamy. Ojciec McCann odmawia Ojcze nasz i prowadzi

nas przez różaniec. Rozpoczyna każdą dziesiątkę:

- Zdrowaś, Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Wtedy wszyscy odpowiadamy:

- Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami, grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. Powtarzamy tę modlitwę pięćdziesiąt razy, zmawiając pięć dziesiątek. Staram się skupić na treści, ale niekiedy tracę koncentrację. Ciągłe wpatruję się w twarz dziadka. Chciałbym narysować go, jak leży w trumnie, a potem pokazać mu obrazek. Podejrzewając się o bluźniercze myśli, zwieszam głowę i pogrążam się w modlitwie. Tłum porusza się i pomrukuje - wiem, że różaniec dobiegł końca. Podnoszę głowę. Ojciec McCann całuje rąbek stuły, którą ma na szyi. Po chwili obraca się do zebranych i błogosławi nas, a potem nasz dom. W jadalni już przygotowano posiłek. Żałobnicy zaczynają pomału przesuwać się w tamtą stronę. Ja także biorę się do napełniania żołądka. Ciotki przyrządziły gorące i zimne dania. Wszyscy jedzą z papierowych talerzy. W piwnicy jest piwo dla dorosłych i piwo brzozowe dla młodzieży. Robi się coraz gwarniej. Częstuję kilka osób i przechodząc, przysłuchuję się rozmowom. Dowiaduję się wiele nowego o dziadku: że on i jego synowie zbudowali kościół św. Bamaby właściwie własnymi siłami, że został pierwszym przewodniczącym Towarzystwa Świętego Imienia, że nigdy nie odmawiał pomocy ludziom w potrzebie. Słuchając tego, żarliwie chłonę mit i tajemnicę mojego dziadka. O dziesiątej spotyka się cała szóstka kuzynów: Billy Duaimé, Billy Kettieson, Georgie, Richie, Francis i ja. Różnica wieku między nami wynosi najwyżej parę lat. Wujek Burt Kettieson zebrał nas w tylnej części jadalni.

- Teraz zamkniemy trumnę. Większość gości powinna już rozjechać się do domów. Po ich wyjściu otworzymy trumnę znowu, żeby rodzina mogła pobycć kilka minut z dziadkiem sam na sam. Ja pójdę pierwszy i powiem, że zamykamy trumnę. Zaczekajcie tu, aż zaczną wychodzić. To nie powinno długo potrwać. Słyszymy szemranie wychodzących gęsiego żałobników. Niektórzy przystają nad trumną, żegnając się albo przyklękając. Living room pustoszeje w niespełna pięć minut. Pan O'Brien ustawia nas wokół mar. Odpina klamrę i zatrask na trumnie i ostrożnie opuszczamy ciężkie wieko. Mogłoby się zdawać, że już po wszystkim, ale to dopiero początek. Na schodach pojawiają się ciotki, prowadząc babkę. Ciocia Louise odciąga pana O'Briena na stronę. Pozostałe ciocie dołączają do nich. Toczą się

jakieś szeptane dyskusje i narady. Chwilę później pan O'Brien podchodzi do nas stojących przy zamkniętej trumnie. Jego łysa czaszka spływa potem.

- Wynikło pewne nieporozumienie. Na ogół po zamknięciu trumny zostawia się ją do czasu, aż zostanie przeniesiona na cmentarz. - Wyjmuje czystą chustkę i ociera spocone czoło. - Jednak na prośbę rodziny ponownie otworzymy trumnę i pozostawimy zmarłego tutaj, w tym pokoju, tak aby rodzina pożegnała się z nim na osobności. Zamkniemy trumnę rano, po czym limuzynami pojedziemy na cmentarz. - Pan O'Brien omiata nas wzrokiem w półmroku. - Spotkamy się jutro o wpół do dziewiątej. Rozumiecie? Kiwamy głowami, ale nie jestem pewien, czy pozostali rozumieją. Ja wiem, że nie bardzo. Otwieramy zatem trumnę i ustawiamy przed nią osiem krzeseł. Babcia siada dokładnie naprzeciw głowy dziadka. Ciocie zajmują miejsca po jej bokach. Przysiada się też wujek George, mąż cioci Ethel. Nie wiem, co robić. Jestem zmęczony i mam mnóstwo nauki przed egzaminami. Z mojego miejsca widok przedstawia się dość upiornie: tamci modlą się spowici mdłym światłem spływającym z trumny. Panuje cisza, tylko babcia i ciocia Ethel płaczą, odmawiając różaniec. Wychodzę przez kuchnię i kieruję się do piwnicy. Pstrykam światło. Schody są drewniane, stąпам po nich bezszelestnie. Nie ma powodu, aby się bać, a jednak jestem przerażony. Do podstawy schodów przylega mały stolik. Przechowuję tam maszynę do pisania. Gdy ciocia Sophie odkryła, co piszę, pozwoliła mi ją tam trzymać, umożliwiając mi spokojną pracę. Każdego dnia po szkole, kiedy dziadek jeszcze żył, przychodziłem tutaj pisać "historię rodzinną". Notatki utykałem za jedną z nóg stołu. Chciałem zakończyć pisanie, zanim szczegóły zatrać mi się w pamięci. Jeszcze tego wieczoru, kiedy dziadek spoczywa na marach, otoczony swoimi dziećmi, zabieram się do pracy. Druga taka szansa, by dokończyć jego opowieść, nieprędko może mi się trafić. Piszę tak długo, aż przez piwniczne okno wsącza się światło. Gdy zapisuję ostatnią stronę, dobiegają mnie odgłosy kroków na górze. Wsadzam manuskrypt w zeszyt do ćwiczeń, nakrywam maszynę szmatką do czyszczenia oliwy i śmigam na górę. Kuchenny zegar pokazuje ósmą. Udaje mi się niepostrzeżenie wyslizgnąć tylnymi drzwiami na ulicę. Obchodzę całą przecnicę, mijając po drodze zaparkowane samochody. Wspinając się na frontową werandę, zauważam stojących w pokoju rodziców i siostrę. Natychmiast się schylam, ale tato mnie spostrzega.

- Albert! Gdzieś ty był? Martwiliśmy się o ciebie. Z początku nie wiem, co odpowiedzieć. Potem podchodzi mama. Albercie, szukaliśmy cię wszędzie! Nic ci nie jest? Spałeś u cioci Louise czy tutaj? Jej pytanie podsuwa mi wykręt. Nigdy nie spędzałem nocy poza domem bez poinformowania rodziców. Postanawiam powiedzieć prawdę - albo niemal prawdę.

- Byłem na dole, w piwnicy. Chciałem być blisko dziadka, więc zostałem. Wiedziałem, że dziś rano będę potrzebny, więc nikomu nic nie mówiłem. Mama spogląda na mnie zagadkowo, nie wiem, czy mi wierzy. W razie czego gotów jestem kłamać dalej.

- Dobrze, chodźmy do łazienki. Muszę wyczyścić ci ubranie. Cały jesteś brudny i zakurzony. Chodź ze mną na górę. Ruszam za nią przez kuchnię i living room, gdzie nadal spoczywa dziadek. Następnie wchodzimy na piętro do łazienki. Mama moczy ściereczkę i przeciera nią mój garnitur i buty.

- Nie wiem, Albercie, jak ty się możesz tak brudzić... Ja też nie wiem, dlatego milczę. Wreszcie mama ocenia rezultaty czyszczenia jako dostateczne, na koniec strzepuje ostatnie pyłki i wypycha za drzwi łazienki.

- Masz się trzymać Billy'ego Kettiesona. On jest dorosły i wie, że człowiek nie powinien się tarzać w piasku ani dotykać brudów. Zostań w pokoju, pomożesz znieść trumnę i wstawić ją do karawanu. Ale bądź ostrożny. Pan O'Brien powie ci, co masz robić. Wykonuj tylko jego polecenia, a wszystko będzie w porządku. Pojedziemy na mszę do kościoła Świętego Barnaby. Pamiętaj: nie wierć się podczas nabożeństwa i skup się na tym, co robisz. To pogrzeb twojego dziadka - zachowuj się godnie, żebyś kiedyś nie musiał się wstydzić. Wysłuchawszy mamy, idę do pokoju, by dołączyć do moich kuzynów. Pragnąłbym, aby ten pogrzeb już się skończył. Nie mogę się doczekać chwili, gdy doprowadzę moją małą kronikę rodzinną do końca. Szkoda, że nie mogę jej pokazać dziadkowi.

ROZDZIAŁ 4

Kiedy schodzimy na dół, w pokoju tłoczą się goście. Większość rozkładanych krzeseł usunięto, toteż zebrani siedzą teraz na zwykłych krzesłach i sofie. Ściślej mówiąc, to kobiety siedzą, mężczyźni natomiast stoją pod ścianami i na werandzie lub kręcą się po pokoju. Niektórzy palą papierosy. Gdyby dziadek to zobaczył, zrobiłby awanturę. Nigdy nie pozwalał, by ktokolwiek palił w jego domu. Zerkam na jego twarz. Wygląda tak samo jak wczoraj. Trudno się spodziewać, żeby było inaczej, ale chyba podświadomie oczekiwałem, że się poruszy, choćby tylko troszeczkę. Kuzyni z eskorty trumny stoją już w odpowiednim szyku, zgodnie ze wskazówkami pana O'Briena. Staję na końcu grupy. Pan O'Brien dobiera nas według wzrostu, po dwóch z obu stron. Pierwsza dwójka składa się z Billy'ego Kettiesona i Richarda Duaima'a, potem Georgie i ja, a na końcu Francis i Johnny. Patrzą, kto jest najwyższy. Billy Kettieson przerasta wszystkich o jakieś dwa cale, ale ostatecznie jest najstarszy. Ludzie wciąż napływają, aby ucałować dziadka albo przywitać się z rodziną. Niektórzy trzymają różańce, całują je, a potem kładą na ustach lub czole zmarłego. Jedna z ciotek przypadkiem opuszcza różaniec tak, że krzyżyk ląduje w oczodole dziadka. Pewnie nawet tego nie spostrzegła. To ciocia Ruth, matka Billy'ego Duaima'a, która tak bardzo zalewa się łzami, że nie zwraca na nic uwagi. Zaczynam mrugać i łzawią mi oczy, ale w tych okolicznościach wyglądam pewnie, jakbym po prostu płakał. Wreszcie pan O'Brien prosi wszystkich z wyjątkiem ciotek i babci o odsunięcie się od trumny. Ruszają, poczynawszy od najmłodszej, cioci Alice; przechodząc obok dziadka, każda przystaje na chwilę, niektóre pochylają się, aby go pocałować, najczęściej w usta. Pochód zamyka babcia. Oczy ma suche, ale rzuca się na pierś dziadka i zaczyna histerycznie szlochać. Martwię się, czy wytrzyma konstrukcja podwyższenia i przybranie, lecz na szczęście nic złego się nie dzieje. Są to solidne ciesielskie kozły do piłowania drewna, które moi wujkowie cieśle zbudowali tak, by utrzymywały duże ciężary. Na sygnał dany przez pana O'Briena każdy z nas podchodzi kolejno do dziadka. Całując jego gumowe usta, wyczuwam jedynie zapach goździków i jakichś perfum. Spieszę się; opieram się przy tym pokusie, by unieść mu powieki i po raz ostatni spojrzeć mu w oczy. Jestem jednym z ostatnich żegnających się. Zajmujemy miejsca wokół trumny i - podobnie jak poprzedniego dnia - pan

O'Brien delikatnie odpina klamrę podtrzymującą otwarte wieko. Podczas gdy opuszcza je wolno, babcia wyrywa się raptem z objęć córek i ponownie wsuwa głowę do trumny; wieko jest zaledwie pół stopy nad trumną. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Babcia zakłóca ceremonię pogrzebową!

- Błagam, nie zamykajcie go jeszcze! Chcę go zobaczyć ostatni raz na tym świecie! - krzyczy swoim starczym głosem. Wszelki ruch zamiera. Od rana mówiliśmy jeśli w ogóle - szeptem. Babcia przywiera do dziadka, obejmuje jego głowę i patrzy na zamknięte oczy. Ogarnia mnie zażenowanie; wszyscy jesteśmy wyraźnie zaszokowani, gdyż nikt się nie porusza. Po chwili jednak pan O'Brien przypomina o swoim autorytecie i przeciska się do babci. Daje znak Billy'emu Kettlesonowi, żebyśmy kontynuowali ceremonię i zamknęli wieko. Posłusznie wykonujemy jego polecenie - zamykamy trumnę i mocujemy zatrzaski. Ponownie ustawiamy się trójkami z obydwu stron trumny, a pan O'Brien staje u wezglowia, bliżej drzwi. Niczym dyrygent na czele orkiestry wyprowadza nas, sunących wolno, przez wewnętrzne drzwi na werandę. Wujek George, mąż cioci Ethel, przytrzymuje drzwi na ulicę; od frontowych schodów aż po drzwi karawanu ciągnie się zwarty szereg ludzi. Przez cały czas się boję, że wypadnę ze swego miejsca pośrodku eskorty i trumna zjedzie po Robinson Street, podskakując na wybojach. Udaje nam się jednak, choć musimy lawirować trochę na boki, wsunąć ją na tył wielkiej czarnej limuzyny pozbawionej bocznych szyb. Gdy wszystkie kwiaty zostają ułożone na trumnie, pan O'Brien opuszcza tylne drzwi karawanu i przekręca kluczyk w zamku. Wsiadamy do wyznaczonych samochodów i orszak rusza powoli Robinson Street w stronę alei Elmwood, i skręca w lewo. Wnętrza aut wypełniają kwiaty, a na maskach leżą rozwinięte szarfy. Jadę naszym starym plymouthem rocznik 34, który tato dzień wcześniej wyglansował na wysoki połysk. To dlatego mama tak się zdenerwowała, kiedy nagle zniknąłem; miałem mu pomóc. Włączamy się do konduktu za wujkiem Caddym i wyjeżdżamy ze śródmieścia Filadelfii. Mama jest przekonana, że w Springfield zabłądzimy. To nowy cmentarz. Docieramy jednak na miejsce. Pochówek, opuszczanie trumny do wykopanego już dołu, okazuje się bardziej ekscytujący, niż myślałem. Uroczystość prowadzą dwaj księża - ilość dymiącego kadzidła i wylanej nad grobem święconej wody usatysfakcjonowałyby nawet sułtana. Na końcu każdy bierze garść ziemi i rzucają na trumnę. Wcześniej byłem na

pogrzebach cioci Dorothy i babki Whartonowej, ale pierwszy raz widzę, jak naprawdę chowa się zmarłego. Stoję obok babci, która w pewnym momencie odrywa się od cioci Ethel i chwyta mnie za rękę. Chciałbym choć uronić łzę, przynajmniej ze względu na nią, ale mam oczy zupełnie suche. Zawsze kochałem dziadka, ale jako żywego cieśnię, nie jako martwe ciało, które wkłada się do skrzyni i zakopuje w ziemi. Rodzina zbija się w ciasną gromadę wokół dołu obramowanego materiałem, którego można by użyć do pokrycia stołu bilardowego. Wszystko to wydaje się takie nierealne - jakbyśmy stanowili dekorację dziecięcego teatrzyku. Staram się nie wpadać za bardzo w przygnębienie, wiem też, że mama i tato popatrują na mnie, czy nie popełniam jakiejś haniebnej gafy. Dochodzę do wniosku, że jeśli chodzi o wydobywanie z ludzi ich najgorszych cech, to pogrzeby ustępują jedynie weselom. Trudno jest się zachowywać naturalnie, nawet jeżeli człowiek się stara. Nie pozwalają na to emocje zebranych. Za żadne skarby nie mógłbym zostać grabarzem.

ROZDZIAŁ 5

Przez kilka następnych tygodni co dzień jeżdżę do domu dziadków. Mówię rodzicom, że pomagam babci, ale w gruncie rzeczy zbiegam do piwnicy, wytaszcza maszynę ciotki Sophie i próbuję zapisać wszystko, co przekazał mi dziadek, oraz to, czego się dowiedziałem o nim i o rodzinie w czasie pogrzebu. Znoszę do piwnicy drzwi i pieńki, które podtrzymywały trumnę w pokoju gościnnym. Tworzą całkiem spore biurko, idealne do pisania. Zaczynam się czuć jak prawdziwy pisarz, tyle że urzędujący w piwnicy. Pierwszą wersję, która okaże się brudnopisem, kończę w tydzień. Tylko ciocia Sophie i babcia wiedzą, że pracuję w piwnicy, nie sądzę jednak, aby zdawały sobie sprawę, czym się zajmuję. Są zbyt dobroduszne i dobrze wychowane, by mnie o to zapytać. W drugim tygodniu powstaje wariant maszynopisu, który uznaję za ostateczny, pomimo błędów drukarskich i dziwacznych znaczków stawianych przez tę zabytkową maszynę do pisania. Babcia chyba się domyśla, co robię, jednak - jak zawsze łagodna - nie przeszkadza mi. Wychodzi tego trzydzieści stron, przy podwójnym odstępie między wierszami. Skończywszy pisać, udaję się do sklepu Woolworth's na Sześćdziesiątej Dziewiątej i kupuję czarną teczkę z klamrą do wpinania kartek. Z braku dziurkacza zaznaczam punkty na kartkach i robię dziurki ołówkiem. Kupuję też pudełko letrasetów, żeby nakleić tytuł na okładce. Naprawdę wydaję własną książkę! Nigdy nie robiłem nic takiego, nawet w szkole na zajęciach praktyczno-technicznych. Czytam potem tę książeczkę bacznie, ze słownikiem w ręku, i odnajduję trzydzieści cztery błędy interpunkcyjne, ortograficzne i - według mnie - gramatyczne. Poprawiam je tak, jak potrafię. Może istniał w tamtych czasach korektor, ja w każdym razie nie miałem o tym pojęcia. Czekam na właściwy moment. Ciocia Ethel cały czas kręci się po domu, w końcu jednak wychodzi po zakupy z ciocią Sophie, i zostaję z babcią sam. Stoi w kuchni i myje naczynia. Usiłuję zaczekać na odpowiednią chwilę, ale babcia jest całkowicie pochłonięta zmywaniem, więc sterczę tam pewnie z pięć minut, zanim się odwróci.

- Will, co tu robisz? Aleś mnie przestraszył! Ja z kolei jestem zdziwiony, że nazwała mnie Willem. Nie po raz pierwszy zdarzyła jej się ta pomyłka, choć popełnia ją rzadko. Niekiedy mylą jej się wnukowie, na mnie woła czasem Billy, a nawet Georgie. Tym razem jednak zaskoczyła mnie, tym bardziej że ja też nazywam siebie czasem w myślach Williamem.

To moje drugie imię, widnieje na moim świadectwie urodzenia, częściowo ze względu na starszego brata matki, który mieszkał z nami przez trzy lata - między moim jedenastym a trzynastym rokiem życia - i miał na imię William, mój wujek Bili, częściowo zaś dlatego, że świętej pamięci dziadek również znany był jako Will. W zasadzie wszyscy pierwородni synowie w naszej rodzinie mieli na pierwsze lub drugie imię William, co w moim wypadku zostało jeszcze wzmocnione przez chrzest. Kiedy jako pięćdziesięciolatek wybierałem sobie pseudonim pisarski, aby zachować prywatność i nie zdradzać nazwiska, także zdecydowałem się na Williama. Celowo nie skorzystałem z imienia Albert, które nosił mój ojciec i które było moim pierwszym imieniem na świadectwie urodzenia. Tak zawsze nazywały mnie matka i siostra, chciałem uniknąć dalszych komplikacji. Na dodatek krewni wołali na tatę Bert, a w rodzinie był już wujek Burt Kettieson, więc panowało istne pomieszanie z poplątaniem. Kiedy poszedłem do publicznej szkoły średniej (łamając tym samym kolejną rodzinną tradycję), nie dość że - na prośbę dziadka - zmieniłem pisownię nazwiska z Duaima na du Aime, to jeszcze przyjąłem po ojcu imię Bert. Większość mojego życia przyjaciele znali mnie jako Berta du Aime'a. Gdyby zapytać za panem Shakespeare'em: "Cóż znaczy nazwa?", w moim wypadku odpowiedź brzmiałaby: "Bardzo wiele". Nawiązując do słów Gertrudy Stein: "Róża nie zawsze jest różą". To na tyle. Powyższa dygresja na temat imion może się wydać zbędna, ale mam nadzieję, że pomoże wyjaśnić niektóre zdarzenia w tej opowieści. Wróćmy do poprzedniego wątku. Stojąc w słabo oświetlonej kuchni mojej babci, wyciągam teczkę z moją wersją życia, a raczej wielu żywotów dziadka, którą napisałem także z myślą o niej. Babcia nosi okulary na łańcuszku. Ta sama ułomność trapi wszystkie moje rodzone ciotki - Ethel, Alice i Sophie. Jest ona być może dziedziczna, myślę jednak, że wzięła się z rozwiązywania niezliczonych krzyżówek. Cierpi na nią moja siostra Jean, młodsza od nich o pokolenie, podobnie zresztą jak ojciec i jego brat Dick. Wszyscy dobrze widzą na odległość, a ich krótkowzroczność jest stosunkowo łagodna, choć uniemożliwia im czytanie gazety albo krzyżówki bez okularów. No więc w tej mrocznej kuchni, dobudowanej z tyłu domu do prawdziwej kuchni, babcia unosi pokrytą mydlinami rękę i nasadza okulary na nos, odsuwając głowę do tyłu, aby jak najlepiej widzieć przez dwuognioskowe szkła. W milczeniu spogląda na moje dzieło. Staram się nie przestępować z nogi na nogę, ale się denerwuję. Potem przechodzi obok mnie do jadalni,

gdzie jest więcej światła, i odczytuje tytuł i kawałek pierwszej strony. Kładzie mój miniaturowy manuskrypt na stole i bierze mnie w ramiona. Przytula mnie mocno i płacze. Odpowiadam jej uściskiem, choć nie mam doświadczenia w przytulaniu, zwłaszcza kruchych staruszek; udaje mi się nie wyrządzić jej krzywdy.

- Och, Albercie, nie wiem, jak ci dziękować. Właśnie o czymś takim marzyłam, zwłaszcza po śmierci Willa. Tyle bym chciała zapamiętać, a tak łatwo się zapomina. Próbowalam trochę pisać, ale nie mogłam poskładać tego w całość. Zamierzałam poprosić o to Sophie, ale ona jest taka zajęta dziećmi - nie mogłam się przemóc. Ma aż za dużo na głowie. Will byłby szczęśliwy. Babcia wypuszcza mnie z objęć i przyciska maszynopis do piersi. Wsuwa rękę pod kołnierz podomki i wyjmuje na wierzch następny łańcuszek, podobny do tego, na którym są okulary. Na jego końcu wisi jakiś klucz. Podsuwa mi go pod nos.

- To klucz do mojego prywatnego królestwa. Chodź ze mną, Will. Rozejrzawszy się po jadalni, przemyka przez living room i kieruje się ku schodom na piętro. Idę za nią. Stąpa ostrożnie po stopniach, trzymając się poręczy. Na szczycie są małe drzwiczki, które dotąd uchodziły jakoś mojej uwagi. Babcia schyla się, by otworzyć je, nie zdejmując klucza z szyi; wsuwa go drżącą ręką do zamka. Przekręca dwa razy i napiera na drzwi, które otwierają się do środka. Pokazuje, bym wszedł za nią - wchodzimy do najmniejszego pomieszczenia w całym domu. Jest tak malutkie, że bardziej przypomina szafę niż pokój. Wąskie okienko wychodzi na ulicę. Babcia obraca się i zamyka za nami drzwi. Podciąga cienką papierową zasłonkę, która unosząc się, wpuszcza więcej światła. Przed samym oknem stoi biurko, na którym jest maszyna do szycia. Odnoszę wrażenie, jakbym nagle przeniósł się w inne miejsce i czas. Babcia kładzie manuskrypt na biurku obok maszyny do szycia, odwraca się i uśmiecha do mnie. W pokoiku są tylko dwa krzesła: jedno przy stole, drugie koło drzwi. Próbuje otworzyć okno, ale się zacięło. Spogląda na mnie bezradnie, szukając pomocy, toteż wciskam się obok niej. Okno zamyka się jak typowe okno skrzynkowe; po kilku jękach wysiłku poruszam ramę przyklejoną farbą do ościeżnicy, po czym podnoszę okno, otwierając je na oścież. Z ulicy napływa łagodna bryza. Sprawdzam linkę na ramie i wysuwam głowę na zewnątrz, aby obejrzeć małe podwórko za domem. Za mną babcia siada przy biurku i odsuwa maszynę na bok. Leżą tam kawałki materiału, których wygląd świadczy o tym, że dawno ich

nie dotykano. Stoję przy oknie i czekam, co się stanie. Babcia wskazuje drugie krzesło.

- Czy mógłbyś przysunąć do mnie to krzesło, Will? Chcę z tobą porozmawiać. Bycie Willem zaczyna mi się podobać. Dostawiam krzesło do stolika i odsuwam jeszcze dalej kawałki materiału. Całe jeżą się od igieł - tylko je zszyć. Maszynopis leży na kolanach babci, która uśmiecha się do mnie ze łzami w oczach. - Will, mogę cię poprosić, abys przeczytał mi to, co jest napisane w tej pięknej książeczce? Mój wzrok nie jest już tak dobry jak kiedyś, a poza tym mam za bardzo załzawione oczy, żebym coś odczytała. Usiądź, proszę. Chciałabym na ciebie patrzeć, gdy będziesz czytał. Siadam na krześle trochę przed nią, trochę obok niej. Dziwię się, że jestem tak mało zakłopotany. Zastanawiam się, czy ciotki Sophie i Ethel nie martwią się o to, co się dzieje z babcią. Słyszałem, że ma zwyczaj wychodzić bez słowa do sklepu albo na spacer, czym przysparza im zmartwień. Czy nie powinienem ich poinformować, gdzie jesteśmy? Postanawiam jednak tego nie robić - babcia zasługuje na chwilę dla siebie. Uważam, że ciocie Sophie, Ethel i Alice, a także niektórzy mężczyźni zbyt często wiszą babci nad głową, szczególnie od czasu pogrzebu. Popycha książkę w moją stronę. Jestem gotów do czytania. Mam wyśmienitą publiczność.

- Will, czytaj dokładnie tak, jak napisałeś. Jeśli usłyszę coś, co wyda mi się błędem, to ci przerwę i powiem. Zależy mi, żeby zabrzmiało to po twojemu, czy raczej słowami, w których opowiedziałeś to Albertowi, ale chcę też, żeby zgadzało się z moimi wspomnieniami. Próbuję się dopasować do pomieszania imion, będąc jednocześnie Albertem i własnym dziadkiem, mężem babci Willem. Uśmiecham się i otwieram książeczkę na pierwszej stronie. Babcia postawiła mnie przed nie lada zadaniem. Z początku, jak zwykle, czytam wolno i z trudem, ale po jakimś czasie się rozkręcam. Kiedy dochodzę do ustępu, w którym pojawiają się "terrorysty", babcia po raz pierwszy wchodzi mi w słowo.

- To nie byli tacy terrorysty jak dzisiaj. To byli zwyczajni szarzy obywatele z małych wiosek, którzy chcieli być wolni. Obecnie większość Amerykanów uważa ich raczej za bohaterów. Twój dziadek był o nich złego zdania, bo zabijali katolików. Zapewne człowiek, który zabija ludzi, uchodzi za terrorystę w oczach tych, których zabija. Czytaj dalej. Chciałam się tylko upewnić, że to rozumiesz. Wracam do czytania. Babcia pamięta więcej szczegółów, niż odnotowałem, dotyczących życia na farmie, którą dziadek zbudował na swojej polowie

działki, oraz tego, z jakim trudem oboje zebrali pieniądze, by zapłacić za ich połowę "przywileju" ziemskiego.

- A ta szkoła, do której chodziliśmy, nie miała nic wspólnego z dzisiejszą szkołą. Było nas siedmioro dzieci na krzyż w różnym wieku, z tego dwoje nauczycielki, która była podobno niezamężna. Życie wyglądało inaczej. Gdy dochodzimy do kwestii indiańskiej kobiety, którą mój pradziadek pojął za żonę, babcię ogarnia złość. Tylko nie wspominaj o tym innym dzieciom! Może najlepiej będzie, jak usuniesz ten fragment? Zwłaszcza dziewczęta nie chciały słyszeć o tym, że są mieszańcami. Moja część rodziny, Denisowie, pochodzi ze Szwecji i wszyscy, a już koniecznie dziewczynki, musieli mieć jasne włosy i niebieskie oczy. Próbowałam im to wyjaśnić, ale nie chcą ze mną rozmawiać. Nie mógłbyś po prostu opuścić tego kawałka?

- Ależ, babciu, nie ma nic złego w tym, że płynie w nich indiańska krew. Dzięki temu są prawdziwymi Amerykankami. Powinny czuć dumę.

- Nie mów tego przy cioci Louise. Jest taka dumna. Wiesz, że ukończyła liceum w Wisconsin. Mieszkający tam Francuzi traktowali nas z pogardą, bo miałyśmy indiańską krew i byłyśmy niezamężne. Dlatego mój dziadek nie szczędził wysiłków, aby zbudować w miasteczku kościół. Nazwano go imieniem świętego Józefa, ponieważ był cieślą i robotnikiem, jak oni. Chłopcy krótko chodzili do szkoły. Pracowali na farmie, ale niechętnie przyznawali się do swoich indiańskich korzeni. Najbardziej wrażliwy na tym punkcie jest wujek Caddy. Ty tego nie zrozumiesz.

- Dobrze, babciu, jeśli tak uważasz, nie wspomnę im o tym, ale zostawię ten fragment. To twoja książka i zrobisz z nią, co zechcesz, ale ja myślę, że dziadek był dumny ze swojego indiańskiego pochodzenia. Opisał mi i pokazał dagerotyp swego ojca. Babcia patrzy mi prosto w oczy. Przerywam lekturę, czekając, ona tymczasem jakby przeżuwa w myślach to, co jej powiedziałem.

- W porządku. Will. Masz rację. Niech to zostanie między nami. To rodzinna tajemnica, a ty przecież należysz do rodziny. Ale chciałabym cię prosić o małą przysługę.

- Słucham. Zrobię wszystko, co zechcesz.

- Czy mógłbyś mi mówić Mary? Wiesz, że to moje prawdziwe imię. Teraz, gdy moi

bracia i siostry umarli, nie został mi nikt, kto by wołał na mnie Mary. Gdy braliśmy z dziadkiem ślub, nazywałam się Mary Denis. Zawsze mówił po prostu Mary i to mi się podobało. Chciała bym też mówić ci Will. W ten sposób twój dziadek będzie nadal żywy. Pewnie Sophie, Alice i Ethel nie będą tym zachwycone, twój ojciec i jego bracia chyba też nie, ale co tam, mnie to sprawi przyjemność, a nikomu nie zaszkodzi. Mógłbyś to dla mnie zrobić? Zgadzam się, tym chętniej, że sam tego chcę. Uśmiechamy się do siebie w półmroku pokoju i ponownie wydaje mi się, jakbym awansował o jeden szczebel. Mam niejasne wrażenie, iż babcia czuje coś podobnego, tyle że w przeciwnym kierunku. Czytam babci resztę mojej czarnej książeczki, co zajmuje sporo czasu, gdyż co chwilę mi przerywa, nie tyle po to, by poprawić błędy, ile raczej żeby uzupełnić treść o nie znane mi fakty. Za każdym razem obiecuję, że umieszczę je w książce, i mam szczerzy zamiar to uczynić, ale nie dotrzymuję słowa. Dziadek nie wybrał sobie najlepszego kronikarza do swojej opowieści, jednak nie miał wielkiego wyboru. Dobrze, że zapisaliśmy to, co zapisaliśmy. Przez całe popołudnie brnę przez książkę. Babcia porusza nieznane dotychczas rodzinne sprawy, o których jej zdaniem powinienem się dowiedzieć - na przykład to, że wujek Burt znalazł sobie w Wisconsin dziewczynę po tym, jak ożenił się z ciocią Louise i urodził im się Billy. Słyszałem już tę historię od matki, ale w ustach babci nabiera ona większego znaczenia. Wujek Burt nie chce chodzić do kościoła i przyjmować komunii, ciocia Louise zaś nie chce się z nim kochać, dopóki wujek nie ustąpi.

- Wierzyć się nie chce, Will, jak ludzie potrafią sobie utrudniać życie. Pamiętasz, jak Ethel zaszła w ciążę z George'em, a on nie chciał przejść na naszą wiarę. Wybuchł skandal. Ty pozostałeś nieugięty: nie dałeś im nazwiska, kiedy nadszedł czas chrztu tego maleństwa. Myślę, że nie miałaś racji. George okazał się najlepszym z mężów. No i koniec końców nawrócił się i został lepszym katolikiem niż cała reszta. Nigdy nie wiadomo. Wysłuchuję babcinych dygresji, usiłując robić w głowie notatki, które mógłbym później włączyć do książki. Zastanawiam się, czy nasza rodzina tak bardzo różni się od innych, czy też inne przypominają naszą bardziej, niż sądziłem. " Babcia rozwodzi się długo nad ciocią Virginią, zwaną Virgie - swoją najstarszą córką, która poślubiła w Wisconsin Raya McLaughlina i nie przeprowadziła się z rodziną do Filadelfii.

- Moim zdaniem, Will, mogłeś ją do tego nakłonić, ale ty powtarzałeś ciągle, że Virgie

ma własne życie. Zawsze było to samo: albo upierałeś się przy czymś, co i tak musiało się stać, albo miałaś zbyt miękkie serce w stosunku do czegoś, co powinno było się zdarzyć. Mam nadzieję, że któregoś dnia usiądziemy sobie gdzieś razem i porozmawiamy o tych sprawach. Babcia urywa raptem, jakby uświadomiła sobie, że właśnie to robimy, z tą różnicą, że ja nie jestem jej mężem.

- Ja też bywam głupia. To przecież ja nalegałam, żeby Sophie nie wychodziła za Jacka, mówiąc, że ten grubas nie ma ni krztyny sprytu. Sophie była zawsze taka bystra i wytworna, mogłaby mieć każdego, a ona rzucała się na tego niedorajdę. Jednak się pomyliłam. Najwyraźniej my, Duaime'owie, robimy wszystko na opak. Jack jest dobrym mężem, kocha Sophie i cudownie wychowuje dzieci. Po prostu się pomyliłam. Mogłoby się zdawać, że mówi do siebie samej. Lubię jej słuchać. Jestem ciekaw, co by powiedzieli moi rodzice na wieść, że siedzę w tej malutkiej szwalni i plotkuję z babcią. Przypuszczam, że mama podniosłaby jeszcze większe larum niż tato.

- Wiesz, Will, zawsze uważałam, że nasze dzieci licho radzą sobie z nauką, bo nie mają szans na dobrą szkołę. Między innymi z tego powodu opuściliśmy farmę. Chciałam, żebyś rzucił hodowlę i otworzył sklep. Pozwoliłeś, abym dopięła swego. Zamiast przeprowadzać się do Manataw, gdzie była większa szkoła, powinniśmy byli zostać w Depaw. Przyznaję, że myślałam wtedy tylko o dziewczynkach. No i te twoje szalone pomysły, że chłopcy powinni wykonywać męskie prace. Ty też miałaś na uwadze dobro dziewczynek, zwłaszcza gdy pojechaliśmy do Manataw, i później do Michigan. Tam nie musieliśmy się martwić o chłopców, bo pracowali z tobą na tamie, a dziewczynki chodziły do szkoły. Louise do dzisiaj zachowała swój album maturalny ze zdjęciem Burta Kettiesona wielkiej gwiazdy futbolu. Ale to nie miało większego znaczenia. Potem za pieniądze, które zostały nam ze sprzedaży farmy, otworzyłeś ten beznadziejny sklep z paszą i ziarnem. Nawet ja widziałam, że w tej małej mieścinie panuje zbyt słaby ruch w interesach, abyśmy mogli z tego wyżyć. Jednak milczałam, więc wina leży także po mojej stronie. Myślę, że ani Duaime'owie, ani Denisowie nie mają smykałki do interesów. Żadne z naszych dzieciaków też nie zajmuje się biznesem. Z wyjątkiem branży budowlanej. Jak wzięłeś się z chłopcami do odnawiania i budowy domów w Filadelfii, wyglądało na to, że klątwa w końcu przestała działać. Uskładaliśmy dosyć grosza,

aby kupić te trzy domy, tak że mieliśmy pierwszy naprawdę własny kąt, nie licząc dawnej farmy. Byłam szczęśliwa, mając wszystkich przy sobie. Tyle dzieciaków było z nami: Ethel, Sophie, Alice i ich mężowie, przez jakiś czas nawet Virgie, a potem Louise kupiła dom na naszej ulicy i Dick swój - ulicę dalej. Znowu mieszkaliśmy całą rodziną, tak jak niegdyś w Wisconsin. Potem zaczęliśmy się rozbudowywać, nabrałeś tych pożyczek z banku i żeby je spłacić, obciążyleś hipoteki wszystkich naszych nieruchomości. Kto mógł przewidzieć, że Wielki Kryzys zrówna z ziemią nas i mieszkańców tych dzielnic? Zamknięto stocznię, General Electric i Westinghouse pozwalniały ludzi. Straciliśmy wszystko oprócz domów, w których mieszkaliśmy, a pracy było jak na lekarstwo. Nie wiem, czybyśmy przetrwali bez zasiłku, na domiar złego straciliśmy naszą malutką Roxanne - jedno z najśladźszych dzieci, jakie nam się urodziło. Nie dało się jej uratować. Błonica okazała się gorsza od banków. Bezlitosna. Oczy babci lśnią łzami. Wciąż zdarza jej się płakać z powodu dziewczynki, która zmarła wiele lat przed moim urodzeniem. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zakończyć tego spotkania. Nie mam co prawda zegarka, ale wiem, że o wpół do szóstej moja rodzina je kolację, widzę też gasnące za oknem światło.

- Lepiej już pójde, Mary. Matka będzie się o mnie martwiła. Na te słowa babcia uśmiecha się do mnie. Sprawia jej nieklamana radość to, że ktoś zwraca się do niej jej prawdziwym imieniem. Nasze oczy uśmiechają się do siebie. Kładę książkę na stoliku do szycia i podnoszę się. Babcia przytula się do mnie.

- Tak się cieszę, że wróciłeś, Will. Wciąż kocham cię jako Alberta, ale największą część mojego życia zaklepuję dla ciebie jako mojego pierwszego i jedyne go męża, Willa. Raz jeszcze się ściskamy. Jak na swój wiek babcia jest krzepka; jej uścisk jest naprawdę mocny.

- Dorobię ci dodatkowy klucz, żebyś wchodził do tego pokoju, kiedy będziesz miał ochotę. Znam jednego człowieka na Woodlawn Avenue, który dopasowuje klucze. Przetrzęsam kieszenie, szukając drobniaków, choć wiem, że mam ich zbyt mało. Babcia chwyta mnie za rękę.

- Nie, to mój prezent dla ciebie w zamian za książkę. Wskazuje na biurko. - Nikt inny nie mógłby mnie tak obdarować, nawet nie jestem w stanie wyrazić mojej wdzięczności. Szkoda, że nie mówisz po francusku. Używaliśmy tego języka z Willem, jak nie było koło nas

dzieciaków, kiedy chcieliśmy przekazać sobie coś szczególnie ważnego. To był taki nasz prywatny język. Nauczę cię go, jeśli chcesz. Jestem kompletnie zaskoczony. W szkole nie miałem nigdy czasu uczyć się obcych języków poza łaciną, ale sam pomysł posługiwania się językiem moich przodków bardzo mi się podoba. Gapię się niemo na babcię.

- O rany, Mary - wykrztuszam w końcu. - Nie wiem, czy jest coś, co chciałbym robić bardziej, niż uczyć się z tobą francuskiego. Skąd wiedziałaś?

- Mamy to chyba we krwi. Z radością zostanę twoją nauczycielką. Będziemy spędzać razem czas. Umówmy się, że będziemy ze sobą rozmawiać tylko po francusku.

- Do końca lata, kiedy tylko nie będziesz zajęta, mogę przyjeżdżać na rowerze. Aż do święta pracy mogę zjawiać się codziennie.

- Bardzo bym tego chciała, ale nie przyjeżdżaj w niedziele i święta. Nie spodobałoby się to twemu dziadkowi, znaczy się tobie, Will.

- Przeciwnie. Spodobałoby się i jednemu, i drugiemu.

- Myślę, że na każdej lekcji przerobimy po dwadzieścia słówek. Jeśli będziemy się uczyć systematycznie, to na Boże Narodzenie powinniśmy już rozmawiać po francusku. Ale co na to twój ojciec? Od początku zabraniałeś przecież dzieciom uczyć się francuskiego. Mówiłeś, że na nic im się nie przyda w Ameryce, że jak ktoś chce w tym kraju do czegoś dojść, musi znać angielski.

- No cóż, Mary, jestem swoim własnym dziadkiem, czyli ojcem mojego ojca. I chcę się od ciebie nauczyć francuskiego. W porządku? Oboje parskamy śmiechem i sprawa zostaje przesądzona.

- Ostrzegam cię, Will, że mówię z belgijskim akcentem, mam też trochę naleciałości po naszym pobycie w Kanadzie. Nie będziesz mówił czystą francuszczyzną.

- Nazwę ją "babcinym francuskim" i właśnie jego chcę się nauczyć. Później poprawię wymowę, jeśli uznam to za konieczne. Babcia zwiesza głowę nad kolanami, obejmując uszy rękoma. Początkowo nie rozumiem, co się stało, ale po chwili dociera do mnie, że się śmieje - cichutkim, suchym, niemal bezdźwięcznym śmiechem.

- Och, jakże Will by się cieszył! Udawałby wściekłego jak diabli, ale wiem, że by mu się to podobało.

- Podoba mi się, Mary. Podoba. Od najbliższego poniedziałku prawie codziennie zajeżdżam do domu babci na rowerze. Staram się zakraść niepostrzeżenie do środka, chwytam jej spojrzenie, po czym ruszam za nią do szwalni. Babcia ustanowiła zasadę, że z chwilą, gdy przekraczamy próg tego pokoju, mówimy wyłącznie po francusku. To było bardzo dziwne, kiedy usłyszałem babcię mówiącą w nowym języku. Przygotowała karteczki ze słówkami: na jednej stronie było francuskie słowo albo zwrot, a na drugiej angielski odpowiednik.

- Trzeba ci wiedzieć, Will, że nie piszę najlepiej po francusku. Przestałam posługiwać się tym językiem, jeszcze zanim się pobraliśmy, a potem używałam go rzadko. Na pewno więc robię błędy. Na szczęście mam tutaj słownik angielsko-francuski, który był jednym z podręczników szkolnych Louise, i mogłam sprawdzić, jak się pisze wiele słówek, ale nie zawsze jestem pewna ich wymowy.

- Wiem, że poradzimy sobie. Mary - bełkoczę łamaną francuszczyzną. Babcia śmieje się i mnie poprawia. Na tym zresztą będzie polegał jej sposób uczenia: na śmiechu i cierpliwym poprawianiu. Śmiała się również wtedy, gdy przekręcałem jakieś słówko. Najpierw powtarzałem je za nią, dopóki nie złapałem wymowy, po czym kazała mi je napisać i zastosować w różnych zdaniach. Pod koniec tygodnia, ćwicząc od niedzieli do niedzieli, mogliśmy już zacząć prowadzić proste rozmowy. Wówczas Mary przyniosła torebkę cukierków. Jeśli któreś z nas użyło niewłaściwego słowa albo wymówiło je niewyraźnie, musiało oddać cukierka drugiemu. Lekcje nabrały tempa. Zacząłem się niepokoić, że od ilości zjedzonych słodczy dostanę pryszczki, ale francuski niewątpliwie wart był paru krost. I tak by mi wyszły. Kiedy zaczęła się szkoła, powiedziałem rodzicom, że zapisałem się na biegi przełajowe. Zajęcia trwały długo i odbywały się zaraz po lekcjach, a ze szkoły do domu Mary miałem pół godziny. Pół godziny zabierał mi też powrót do domu, nigdy jednak nie spóźniłem się na kolację. Przez całą drogę powtarzałem sobie nowe słówka. Uwierzyłem, że naprawdę nauczę się francuskiego, i to zdecydowanie szybciej niż geometrii. W szkole wstąpiłem do Klubu Francuskiego. Spotkania odbywały się co środę po lekcjach, mówiłem nie gorzej od innych członków. W klubie przeważały dziewczęta, gdyż chłopcy, jeśli uczyli się obcego języka, wybierali łacinę albo niemiecki. Czasami próbowałem zagadnąć po francusku do pana

Stermera, mojego łacinnika. Spytał, czy w domu mówimy po włosku. Zgodnie z prawdą odparłem, że nie. Jego francuski miał okropny akcent, ale trzymałem język za zębami. Nie wiedziałem, jaki akcent przebija z mojej francuszczyzny, pomyślałem też, że może pan Stermer kiepsko zna ten język. Postanowiłem nie rozmawiać z nim więcej po francusku. Wszystkiego, czego potrzebowałem, aby się porozumieć, uczyła mnie Mary. Niebawem lepiej czuliśmy się, mówiąc w swoim towarzystwie po francusku niż po angielsku. Gdy nadeszło Boże Narodzenie, uznałem, że dokonałem na tyle dużych postępów, iż narysuję Mary kartkę świąteczną z napisem "Bon Noel" i skreślę parę słów życzeń. Wymalowałem także choinkę, w tle zaś umieściłem kominek i zwieszające się z gzymsu pończochy. Wręczyłem jej tę kartkę w wigilię Bożego Narodzenia; było na niej kilka prostych francuskich fraz, które spisałem z książki. Kiedy zaczynamy śpiewać francuskie kolędy, zebrani na Wigilii nie kryją zaskoczenia. Ciocia Louise, która rozumie niektóre słowa, jest pod wrażeniem i dołącza do nas, śpiewając co prostsze pieśni, takie jak *Il est ne le petit enfant*. Wspaniale się bawimy. Wszyscy dopytują się" w jaki sposób nauczyłem się francuskiego, a ja cały czas odpowiadam, zgodnie z prawdą, że nauczyła mnie babcia. Nikt nie chce mi wierzyć. W miarę jak posuwam się w latach, coraz częściej się przekonuję, że ludzie nie chcą dać wiary w coś, na czym się nie znają. Babcia i ja często się spieramy, niemniej dochodzimy w końcu do porozumienia. W niektórych sprawach prowadzimy nader szczegółowe dyskusje; kiedy coraz wyraźniej widać, że Ameryka zostaje wciągnięta w wojnę, która właśnie wybuchła w Europie, łatwo osiągamy porozumienie. Ja sprzeciwiam się pójściu na wojnę bez względu na sprawę, o jaką się toczy. Babcia też jest pewna, że nie warto nikogo zabijać tylko dlatego, że Hitlerowi, Stalinowi czy innym panom brak piątej kleпки. Prasa coraz silniej opowiada się za przystąpieniem do wojny. Razem czytamy różne gazety, które szmuglują do szwalni, szukając informacji poza oficjalnymi komunikatami. Wielki Kryzys zaczyna pomału ustępować, zarówno General Electric, jak i Westinghouse ponownie dają ludziom zatrudnienie. Mimo że produkują głównie broń, którą Ameryka wysyła Anglikom, aby ci walczyli z faszystami, oboje z babcią godzimy się ostatecznie, że nie można temu zaradzić. Pyta, czy się zaciągnę, gdy skończę osiemnaście lat. Odpowiadam, że nie sądzę. Nie chcę nikogo zabijać ani krzywdzić.

ROZDZIAŁ 6

Okazuje się jednak, że nie ma znaczenia, co sędzę i czego chcę. W ostatniej klasie liceum wszyscy chłopcy zostają zgromadzeni w wielkiej sali i poddani dwugodzinnym testom. Nie bardzo wiadomo, jaki właściwie jest ich cel, oprócz tego, że wiąże się on z podziałem na poborowych i na tych, którzy przejdą szkolenie oficerskie. A że ciągle nie wyobrażam sobie, iż mógłbym się bić na wojnie, i że nie ukończyłem jeszcze osiemnastu lat, niespecjalnie się przejmuję. Testy podobają mi się, bo dotyczą wszystkiego po trochu. Są tu zadania z arytmetyki, geometrii i algebry, jest część językowa, w której sprawdza się zrozumienie dłuższego tekstu. Gdybym cały rok miał takie egzaminy, byłbym bez porównania lepszym uczniem. Po skończonym teście zbieramy się powtórnie i nasz wychowawca, pan Boyd, wyjaśnia, że egzamin ten ma wyłonić spośród nas tych, którzy powędrują do szkół wyższych na studia inżynierskie i medyczne. Program nosi nazwę ASTP (Wojskowy Program Szkolenia Specjalistycznego). Druga grupa objęta jest programem V5, prowadzonym przez marynarkę wojenną. Pan Boyd informuje nas, że tego rodzaju testy przeprowadza się w całym kraju. Zapisuję się na ASTP, przekonany, że na tym koniec. Przede wszystkim sędzę, że dość przeciętnie wypadłem na tych testach, choć z reguły na sprawdzianach radzę sobie nie najgorzej. Wydają nam formularze, które mamy zabrać do domów i dać do podpisu rodzicom, zwłaszcza ci z nas, którzy - tak jak ja - są zbyt młodzi, by wstąpić do marynarki lub sił lądowych. Dwa tygodnie później garstka spośród nas zostaje wezwana do pokoju pana Boyda, gdzie czeka na nas jakiś oficer. Oznajmia nam kolejno, że zdaliśmy test i że po liceum będziemy mieli szansę studiowania na uniwersytecie. Wydaje się, że ot(r) spełnia się moje marzenie. Nie tylko wymykam się wojnie, ale jeszcze mogę się kształcić, żeby pomóc odbudować Europę i Azję ze zniszczeń wojennych. Wówczas Ameryka jest wciąż jeszcze daleka od zwycięstwa - przynajmniej jeśli wierzyć gazetom. Nadal nie wylądowaliśmy w Europie, na Anglię spadają bomby, a my walczymy jak opętani na południowym Pacyfiku. Toteż studia wydają mi się pobożnym życzeniem. Chcę o tym porozmawiać z Mary. Rodzice nie posiadają się z radości i oboje podpisują się na formularzu. Kiedy nazajutrz odwiedzam Mary, przynoszę ze sobą papiery. Przegląda je i kręci z powątpiewaniem głową.

- Uważaj na siebie, Will. To mi coś podejrzanie wygląda. Właśnie złamała nasz zakaz używania angielskiego, więc wrzucam jej do ust czekoladkę. Sam również odpowiadam po angielsku. Ale przyznasz, Mary, że to brzmi dość zachęcająco, nawet jeśli oznacza, że będę musiał zaciągnąć się do armii.

- Will, kiedy ktoś obiecuje ci coś za darmo albo twierdzi, że coś dla ciebie zrobi, należy mieć się na baczności. Zazwyczaj zażąda od ciebie tego, co chciałbyś zachować dla siebie.

- Przyznaję: chciałbym zachować wolność, ale nie chcę przez całe życie harować w fabryce typu General Electric, jak mój ojciec, ani całe życie zajmować się ciesielką. Od biedy mogę to robić, ale nigdy nie będę w tym tak dobry jak Will albo mój ojciec. Uważam, że nie powinienem marnować szansy dokonania czegoś, w czym jestem dobry i co lubię. Powiedz, Mary, czy to źle?

- Jesteś pewny, Will, że chcesz studiować przez cztery, a może i pięć lat? To musi być strasznie nudne. - Pochyla się do mnie i uśmiecha, patrząc mi w twarz. - Nie, Albercie! - reflektuje się. - Nie słuchaj mnie. Zasługujesz na tę szansę. Może jestem po prostu zazdrosna i chciałabym, żebyś został. Ale ty przecież będziesz musiał wyjechać, a ja znowu jestem niemądra. Rozważamy tę kwestię ze wszystkich stron. Fakt, że wojsko mnie zauważyło i daje mi tak wielką szansę, napawa mnie dumą. Tymczasem rodzice postanawiają przeprowadzić się do Kalifornii, gdzie rozkwita przemysł obronny; ponadto ojciec jest przekonany, że filadelfijski General Electric wyleje go z pracy za to, że jest jednym z przywódców związkowych. Matka także chce jechać, jest pewna, że kalifornijski klimat pomoże jej zwalczyć zapalenie zatok, na które cierpi w Filadelfii. Rzecz jasna obie rodziny, Duaine'ów i Whartonów, starają się wyperswadować im tę przeprowadzkę. Ja lada chwila skończę liceum i zaskakuję wszystkich, a najbardziej samego siebie, zdobywając stypendium na Drexel University w Filadelfii. Nagle wszyscy chcą, żebym studiował. Nie wiem, co robić. W dodatku hodowla kanarków idzie mi akurat jak z płatka. Mam trzydzieści śpiewających samczyków i tyle samo samiczek. W piwnicy zaczyna się robić ciasno i mama coraz częściej suszy mi głowę. Bez przerwy szuka myszy. W końcu babcia pomaga mi podjąć decyzję. Sprzedaję wszystkie ptaki za sumę, jakiej nigdy przedtem nie miałem, i chętnie oddaję ją rodzicom na pokrycie kosztów podróży. Sprzedają cały majątek, a tato doprowadza starego dodge'a 1939

do stanu używalności. Udaje mu się też wyblagać, pożyczyć lub ukraść dostateczną liczbę talonów na paliwo, abyśmy zdołali dojechać do Kalifornii. To najbardziej ekscytująca wyprawa, jaka zdarzyła się naszej rodzinie. Akurat kiedy zbieramy się do wyjazdu, otrzymuję list z Departamentu Obrony z informacją, że zgłoszono mnie na studia inżynierskie w University of Florida w Gainesville i że jeśli chcę przystąpić do ASTPR, powinienem udać się do sztabu Jednostki Rezerw w Filadelfii. Owo dodatkowe "R" w programie szkolenia oznacza rezerwistów. Póki nie skończę osiemnastu lat, jestem za młody, by uczestniczyć we właściwym szkoleniu, mimo to wysyłają mnie na Florydę, zakładając, że będę chciał podjąć tam naukę. Chociaż wszystkie moje rzeczy leżą już spakowane w samochodzie, decydujemy, że powinienem jechać. Babcia mówi, że po odjeździe rodziców mogę spać w szwalni, czekając na swój wyjazd. Okazuje się jednak, że jest wolny pokój po kuzynie Georgiom, który zaciągnął się do marynarki. Idę do Jednostki Rezerw i zapisuję się na ASTPR. Na Florydę mam jechać pociągiem dwudziestego pierwszego sierpnia. Oboje z Mary jesteśmy szalenie podekscytowani. Pakuję się i rozpakowuję chyba z pięć razy, nie mogąc się już doczekać. Nigdy nie byłem poza Pensylwanią, więc dla mnie taki wyjazd to nie byle co. Gdy nadchodzi wyznaczony dzień, wujek George funduje mi taksówkę, która zawozi mnie i moje bagaże na dworzec. Trudno mi uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Mary nalega, aby jechać ze mną. Założę się, że tego dnia jestem jedynym człowiekiem na pensylwańskiej stacji, któremu w drodze do wojska towarzyszy babcia. Stoi na peronie, a ja macham do niej z okna. Pociąg jest obładowany ludźmi i sprzętem; tak naprawdę po raz pierwszy w życiu czuję się dorosły. Stary parowóz pryca sadzą, aż wszyscy jesteśmy umorusani. Z podniecenia ściska mnie w żołądku, gdy wychylony przez brudne okno patrzę na machającą Mary. Oto zaczyna się moja przygoda, ale nie tylko: uzmysławiam sobie, że zaczyna się ona również dla Mary. Obiecaliśmy pisać do siebie, jej adres tkwi w moim nowym portfelu. Mam wrażenie, jakbym grał w filmie; myślę o sobie jako o zagubionym w świecie obcym. Pociąg co chwila pogwizduje parowym gwizdkiem i wreszcie, szarpnąwszy parę razy, rusza w drogę. Po raz pierwszy słyszę ów dobrze znany stukot kół na szynach. W uszach rozbrzmiewa mi motyw piosenki Chattanooga Choo Choo Johnny'ego Mercera. PRZEPRASZAM, CHŁOPCZE, CZY TO CHATTANOOGA CHOO CHOO? Ta ciuchcia nie zmierza wprawdzie do Chattanooga, ale na

południe - owszem, i choć pewnie nie jesteśmy na torze numer 29, odjeżdżam przecież do innego życia, ku innym myślom i marzeniom. Ale z tego nie zdaję sobie jeszcze sprawy.

ROZDZIAŁ 7

Wielka parowa lokomotywa ciągnąca wagony wypełnione dziewiętnastoletnimi mężczyznami wtacza się wprost na główną ulicę Gainesville na Florydzie i zatrzymuje opodal bramy campusu. Nie do wiary - pociąg mknie ulicą jak tramwaj. Na stacji stoją żołnierze, czekają, aż wysiadziemy. Zewsząd słychać pokrzykiwania i nasze bagaże zostają wyrzucone przez okna. Robi się zamieszanie. Część wojskowych próbuje nas ustawić, inni tylko się wydzierają, lecz wszyscy miotają się w upale, który w porównaniu z Filadelfią wydaje się wręcz tropikalny. Hałas i gorączka porażają mnie, zastanawiam się, gdzie się podziała moja sfatygowana walizka. Ulica, na której stoi zdyszana lokomotywa, jest wysadzana drzewami pokrytymi czymś w rodzaju ogromnych pajęczyn. Wyglądają nierealnie jak ze snu albo koszmaru. Później dowiaduję się, że te pajęczce sieci nazywają się "hiszpańskim mchem" i często porastają drzewa na tej szerokości geograficznej, w ciepłym, wilgotnym klimacie. Jakiś żołnierz wyciąga rękę i rzuca okiem na wilgotne papiery, które ściskam w dłoni. Wrzeszczy mi do ucha "Fletcher Hali!" i pokazuje przeciwny koniec ulicy. O dziwo, idzie dalej, krzycząc "Fletcher Hali!", aż w końcu orientuję się, że chodzi o kwaterę, w której będę mieszkał przez najbliższe miesiące. Wszyscy zostajemy ustawieni w szeregu na chodniku, z naszymi tajemniczo wyglądającymi bagażami; upał i wyczerpanie wyciskają ze mnie siódme poty. Wreszcie uznają nas za gotowych do drogi i jeśli można tak to nazwać - ruszamy marszem, zostawiając za sobą parowóz, wagony i tłumy pasażerów. Kapral usiłuje odliczać, ale nikt z nas nie ma bladego pojęcia o maszerowaniu, a ja nie palę się do nauki. Odrywamy się od ludzkiej ciżby i wspinamy na trawiasty pagórek, skąd przechodzimy do pięknego murowanego budynku o gotyckich oknach z kamiennymi słupkami. Mógłbym się założyć, że zbudowano go w średniowieczu. Gdy wchodzimy przez szerokie drzwi, ktoś odhacza nasze nazwiska na liście i kieruje nas w lewo albo w prawo, na górę lub na dół, do naszych pokoi. Odnajduję moje nazwisko obok trzech innych, nabazgrane na drzwiach pokoju na piętrze. Wchodzimy. Znow nazywam się zwyczajnie i prosto: Duaime. W pokoju jest nas czterech. Żadnego z nich przedtem nie widziałem. Jeden przedstawia się jako Walt Winters, zapoczątkowując tym samym wymianę pozostałych nazwisk. W pozbawionym klimatyzacji pokoju jest strasznie

duszno. Choć minęła już piąta po południu, od rana nic nie miałem w ustach. Inny mój współlokator, nazwiskiem Slater, wyciąga się na jednym z nie pościelonych łóżek. Ponieważ wybiera dolną pryczę, ja biorę sąsiednią. Na łóżkach nie ma nazwisk. Dwóm pozostałym zostają prycze na górze, gdzie z pewnością jest jeszcze goręcej. Na łóżkach leżą złożone wojskowe koce z nadrukiem USA. Postanawiam, że zamiast stać beczynnym w dusznym powietrzu, zaścielę swoje łóżko. Odwracam materac i wpycham walizkę do dolnej szafki. Ciągłe nie wiemy, gdzie kto będzie spał ani które szafki i szuflady zostaną nam przydzielone. Coraz natrętniej odzywa się we mnie pytanie, czy ktokolwiek zamierza nas tutaj nakarmić. Podobno znajdujemy się na uniwersytecie, ale tutejsze porządki kojarzą mi się bardziej z wojskiem. Ścielę łóżko i siadam przy biurku koło okna, które udało mi się w końcu otworzyć, gdy raptem w drzwi wsuwa głowę jakiś żołnierz i woła nas do stołówki, nie mówiąc, gdzie jej szukać. Na zewnątrz trąbka wzywa nas na obiad sygnałem: SOUPY SOUPY SOUPY - SOUPY SOUPY SOUP; słychać tupot kroków. Wypadamy z pokoju i pędzimy na dół, dołączając do biegnących. Żołnierz na próżno usiłuje uformować z nas dwuszereg. Może z powodu upału, a może cywilnych łachów, które wciąż mamy na sobie, powstaje bałagan i zamieszanie. W końcu pada komenda: "Naprzód marsz!" i maszerujemy - niczym grupa nastolatków na wycieczce w kierunku przeciwnym do stacji. Pociągu już nie ma. Nawet nie słyszałem, kiedy odjechał. Wyobrażam sobie, jak Mary się uśmieje, kiedy jej to wszystko opiszę, ale w tej chwili skwar i duchota odbierają mi ochotę do śmiechu. Musieli wydać instrukcje idącym na czele, bo utworzyły się kolejki i wydają ciepłe jedzenie. To jakieś mielone mięso w sosie z kawałkiem pieczywa przypominającym zapiekankę. Są też ziemniaki puree. Do picia jest tylko woda albo kawa. Biorę kubek wody i siadam przy długim stole. Po głowie snuje mi się stara piosenka TRAFIŁEŚ DO WOJA, NIE IDZIESZ ZA PŁUGIEM, SIEDZISZ W OKOPIE, TY GŁUPI JEŁOPIE, TRAFIŁEŚ DO WOJA; powtarza się bez końca jak katarynka. Tak jak wszyscy, zajadam z apetytem. Zgraja wygłodniałych nastolatków pożerających obiad w upalny dzień wydaje mało apetyczne odgłosy. Ponownie myślę o Mary - że napiszę do niej przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Nie mogę napisać do rodziców czy siostry, gdyż nie znam ich kalifornijskiego adresu. Ciekawe, czy w Kalifornii jest też tak gorąco jak na Florydzie. Wypijam koktajl owocowy i wracam do pokoju. Zajmuję jedno z biurek. W gruncie

rzeczy nasze pomieszczenie składa się z dwóch pokoi, w jednym - gdzie się wchodzi są łóżka, w drugim, bez drzwi na korytarz, stoją cztery biurka. Wybieram miejsce przy oknie i wyciągam z walizki papier i pióro. To prawdziwe wieczne pióro i prawdziwa papeteria z kompletem kopert. Mary sprezentowała mi je, kiedy ostatni raz byliśmy w szwalni. Szkoda, że nie mam maszyny do pisania. Mojego pisma prawie nie sposób odczytać. Na początek witam się z Mary i wyznaję, że bardzo za nią tęsknię. Potem usiłuję opisać podróż pociągiem, wszechobecny brud, upał i ścisk, a do tego niemożność otworzenia okien. Już mam wykreślić to użalanie się nad sobą, ale zmieniam zdanie. Mary będzie chciała wiedzieć, co naprawdę myślę. Próbuję scharakteryzować poszczególne stany, przez które przejeżdżaliśmy - różnice między Pensylwanią i Delaware, czystość panującą w Karolinie Północnej i Południowej, czerwony odcień ziemi w Georgii. Piszę również, że często kierowano nas na bocznicę, aby przepuścić transporty wojenne. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Byliśmy już na służbie, jednak nie mogliśmy się równać z pociskami artyleryjskimi jadącymi do Fort Benning czy z ładunkiem szynki sunącym gdzieś na Południe. Najważniejsze spostrzeżenie, jakim się dzielę z Mary, dotyczy ogromu Stanów Zjednoczonych. Każdy stan zdawał się przesuwać za oknami pociągu w nieskończoność. Piszę, że z braku miejsca do leżenia wcisnąłem się na półkę bagażową nad siedzeniami i wsadziłem zwinięte w kłębek ubranie pod głowę. Dni i noce jakby zmieszały się z sobą, co gorsza, prawie nikt nie miał zegarka. Do wyjątków należał jakiś nieszczęśnik z okolic górniczego Allentown, którego bez przerwy zadręczaliśmy pytaniami o godzinę. Zdawało się, że czas stoi w miejscu. Piszę też o wjeździe lokomotywy do miasta i o tym, jak wyładowano nas z pociągu na ulicę przed samym uniwersytetem. Przyznaję, że gdybym nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłbym, że to prawda. W końcu opisuję, w jaki sposób ustawiono nas w szeregu i poprowadzono do akademika, gdzie okazało się, że będziemy spać na łóżkach piętrowych jak dzieci i że każdy ma małe biurko. Piszę do ciebie. Mary, właśnie na takim biurku. Miejsca jest akurat tyle, by zmieścić się notatnik i książka. Nie wiem, kiedy dostaniemy książki, ale mam nadzieję, że będzie je gdzie przechowywać. Nie wiem też, kiedy dostaniemy mundury. W pociągu powiedzieli nam, że będziemy chodzić na zajęcia w wojskowych mundurach, ale nie wspomnieli, kiedy je wydadzą. Mnie się nie spieszy. Jest tu bardzo ciepło, bez przerwy się pocę i muszę co kilka sekund wycierać ręce w

chusteczkę, żeby nie rozmazać tuszu na papierze. Przerywa mi zjawienie się krążącego między pokojami żołnierza, który każe nam pochować rzeczy; o dziesiątej zacznie się capstrzyk, a pobudka jest o wpół do siódmej rano. Jutro pójdziemy do sierżanta z działu zaopatrzenia i otrzymamy mundury. Nie jestem pewien, czy będziemy nosić wojskowe buty. Mam nadzieję, że nie, bo w tym upale byłoby to nie do zniesienia. Ponownie ocieram spoconą dłoń i podpisuję się pod listem, dodając XX. W nawiasie wyjaśniam, że są to "czekoladowe całusy". Robi się późno. Zapalamy światła i reszta wieczoru schodzi mi na poukładaniu ubrań w szufladach i na półkach, które przydzielamy sobie według własnego uznania. Mam więcej miejsca niż w domu. Zimowych rzeczy nie potrzebuję, przynajmniej na razie. Nie wiem, czy zimy na Florydzie bywają mroźne. Żaden z moich współlokatorów nigdy nie był tak daleko od domu. Tak jak zapowiedziano, światła w akademiku parokrotnie migają ostrzegawczo, a punkt dziesiąta - gasną. Jestem tak podniecony, że z początku nie mogę zasnąć. Jest gorąco i śpię w krótkich spodenkach. Nie wiem, jak wygląda przepisowa wojskowa piżama, lecz ani ja, ani nikt inny nie mamy wyboru. Wojsko to nie miejsce dla skromnisiów. Podobnie było na lekcjach gimnastyki w ogólniaku. Nie pamiętam nawet, co mi się śni. W porównaniu z łóżkiem, do którego przywykłem w domu, prycza jest wąska, ciasna i twarda. Słyszę jeszcze DATEDA, DATEDA, DATEDA, trąbkę grającą capstrzyk, potem przestaję się przewracać i zapadam w sen.

ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia trąbią pobudkę o wpół do siódmej a jakże! - i wszyscy wybiegamy przed budynek, aby ustawić się w szeregu; większość nie zdążyła się ubrać. Stoi tam facet w pełnym umundurowaniu i przez pięć minut wbija nam do głów - jak to określa - musztrę. Chodzi o to, w jaki sposób mamy na rozkaz skręcać w prawo albo w lewo bądź maszerować na wprost. Choć żołądki przysychają nam do grzbietu, wiemy, że po musztrze nas nakarmią, więc uczymy się migiem. Następnie facet oddala się, rzucając coś jakby: **NAPRZÓD MARSZ!**, choć nie wiemy, czy na pewno o to chodzi. Mówi "po wojskowemu". W budynku zwanym stołówką stajemy w kolejce z tacami, na które ładują nam ogromne porcje jajecznicy, parówek i smażonych ziemniaków. Jedzenia jest dużo, fakt, tyle że wszystko wymieszane w szarą breję. Przypomina mi się moja siostra, Jeanne, w której zmieszane jedzenie budzi taką grozę, że dzieli swój talerz na strefy z różnymi rodzajami żywności. W armii zagłodziłoby się biedactwo na śmierć. Ja jednak nie zamierzam się zagłodzić. Wracam po dokładkę i zastanawiam się nad następną, ale goni nas czas, za pięć minut mamy być z powrotem w pokoju z zasłanymi łózkami. Ledwo się wyrabiam, jestem ostatni w naszej grupie, zwanej teraz "plutonem". Znowu robią nam zbiórkę na ulicy. Zaczyna się następna musztra, inny sierżant poucza nas, jak mamy chodzić w lewo, w prawo, a potem maszerować i zawracać. Myślę, że już wszystko pojęliśmy. Upał staje się coraz bardziej bezlitosny, a zeszłej nocy spaliśmy krótko. Zwraca się do nas oficer. Na kołnierzu i czapce nosi naszywki, jest starszy i ma mocniejszy głos. Przejmuje dowodzenie nad naszym plutonem i zapędza nas do forsownego marszu, który przypomina raczej jogging. Gdy docieramy do czegoś w rodzaju wielkiej stodoły, gdzie znów stajemy w kolejce, pot leje się z nas strumieniami. Tak się składa, że znajduję się blisko czoła. To zapewne dlatego, iż tak późno skończyłem śniadanie, a pierwszy rozkaz, jaki padł: **W TYŁ ZWROT, NAPRZÓD MARSZ** oznacza obrót w miejscu i marsz w przeciwnym kierunku. W stodole, za długimi kontuarami, stoją nieopierzeni szeregowcy w przepoconych zielonych podkoszulkach i szortach. Podchodzę do żołnierza, który pyta o mój rozmiar. Nie mam pojęcia, matka zawsze kupowała mi ubrania, a ja je tylko nosiłem. Tamten przygląda mi się, po czym sięga do znajdującego się za nim kosza i wyciąga

stamtąd bieliznę osobistą, dwie koszule z krótkim rękawkiem, dwie pary zielonkawych spodni i cztery pary skarpet. Ciska je na kontuar przede mną.

- Jak ktoś się będzie pytał, jesteś "średni". Jeśli te ciuchy nie będą pasować, spróbuj się z kimś zamienić. Pokazuje, gdzie mam odebrać i przymierzyć buty. Znowu pytają mnie o rozmiar - skąd mam wiedzieć. Oglądam moje cywilne buty, ale nie mogę odczytać numeru, wygląda na to, że się starł. Żołnierz wydaje mi parę nowych półbutów. Siadam na ławce obok piętnastu innych facetów przymierzających buty, ściągających albo wciągających skarpety. Moje są zbyt ciasne. Wędruję z nimi z powrotem.

- W porządku, nosisz D, a nie C. Masz szczęście, żeś się zaraz połapał, bo rozmiarów D jest niewiele. Pamiętaj, masz rozmiar osiem i pół D. Będziesz go nosił przez całą wojnę, więc lepiej zapamiętaj: osiem i pół D. Ponownie siadam na ławce i wzuwam buty. Coś jakby tkwiło w środku - znajduję tam jedną skarpetę. Wyjmuje ją i przymierzam ponownie. Tym razem buty pasują, no, mniej więcej. Wkładam obydwie i zawiązuję sznurowadła. Widzę, że wszyscy, ubrani w zgniłą zieleń, energicznie wbijają się w nowe mundury. Pocimy się w nowych uniformach równie szybko, jak je wkładamy. Staniemy się wielką armią śmierdzieli. W końcu wszyscy się przebrali i stoją teraz w szeregu. Nowe mundury są grube, ciężkie i sztywne, jakby je nakrochmalono. Nasz "pluton" wymaszerowuje gęsiego tylnymi drzwiami i schodzi po zboczu do innego okazałego budynku. Każdy z nas dostaje wielką zielonkawą skrzynię wypełnioną kobylistymi książkami, stosami papierów i ołówkami. Całkiem spory ciężar. Tak obarczeni wracamy w normalnym tempie już nie truchtając - do Fletcher Hali. Dotarłszy tam, pływamy we własnym pocie. Oprócz książek musieliśmy nieść drugi komplet umundurowania. Cywilne łachy zostawiliśmy w pierwszym magazynie, porozwieszane byle jak na wieszakach. W ten sposób tracę nowy płaszcz z wielbłądziej wełny, który rodzice kupili mi na studia, zanim zdążę go włożyć. W naszym pokoju są po trzy wieszaki na łebka. Zrzucam z siebie przepocony mundur i usiłuję powiesić go na wieszaku wraz z drugim kompletem. Niełatwo wykonać tę sztuczkę, gdy ma się trzy wieszaki. Rozbieram się do wojskowych szortów i wyciągam na łóżku. Na razie nie mogę się pochwalić żadnym wojskowym wyczynem, inni też niczego nie dokonali. Zastanawiam się, jak ten cały rozgardiasz ma "pomóc" Niemcom i Japończykom po zakończeniu wojny. Pewnie narobimy więcej szkody niż

pożytku. Ledwie przestaję się pocić, leżąc w mokrej koi, już rozlega się następny sygnał grany na trąbce. Nie znam go, ale skoro wszyscy się zrywają, ubieram się pospiesznie i zbiegam po schodach z resztą stada. Nawet nie zdążyłem otworzyć swojej skrzyni z książkami, a jestem ciekaw, czego będziemy się uczyć, by pomóc naszym tak zwanym wrogom w mglistej przyszłości, kiedy mają rzekomo potrzebować naszego wsparcia. Póki co idziemy na ćwiczenia - będziemy się uczyć maszerować w linii prostej, skręcać w lewo i w prawo oraz - czary mary! - zawracać rzędami. Ten ostatni trik przypomina chórzystki drobiące w jednym końcu szeregu, podczas gdy drugi niemal biegnie, by dotrzymać im kroku. Ćwiczymy go bez końca, przetaczając się to w jedną, to w drugą stronę. Manewr ten świetnie się nadaje do wyciskania siódmych potów. Nikt obok mnie nie ma zegarka, więc nie wiem, która jest godzina, w każdym razie słońce wisi nam wprost nad głowami. Pocieszam się, że prędzej czy później będą musieli nas znowu nakarmić. Ciekawe, czy ktoś kontroluje, co się tutaj dzieje. Gdy musztra dobiega końca, starszy z oficerów ustawia nas w szeregu i swoją wojskową gadką zaczyna cedzić słowa, których nie słyszę ani, tym bardziej, nie rozumiem. Zaczynam podejrzewać, że w południowym klimacie dźwięk rozchodzi się inaczej niż w Filadelfii. Doskonale słychać tu wszelkie hałasy, ale nic, co by choć trochę przypominało ludzką mowę. Polecają nam się rozejść, informując, że zajęcia rozpoczną się nazajutrz rano. Dopiero wtedy dociera do mnie, że jest niedziela i nie byłem na mszy. Nie zaliczam się wprawdzie do zbyt sumiennych katolików, jednak opuszczenie mszy, choćby nieświadome, stanowi dość poważne naruszenie porządku mojego życia. Do diabła, sprawy toczą się tak szybko, że mógłbym wylądować w piekle i nie wiedzieć za co. Godzinę później trąbka znowu wzywa nas na posiłek. Pędzę do stołówki, gdzie odkrywam ze zdziwieniem, że nie zamierzają dać nam normalnego jedzenia. Jest zimne mięso i pieczony kurczak, obłożony plasterkami ananasa, który też już wystygł. Owszem, obiad jest smaczny, lecz w niedzielę zjadaliśmy bardziej wykwintne posiłki. Trochę mi lżej na sercu z powodu opuszczenia mszy. Skoro obowiązki traktuje się tutaj tak lekceważąco, to mogę się nieco odprężyć. Na podwieczorek dają nawet lody, które połykam razdwa, zanim roztopią się w słodzone mleko; są smaczne. Po obiedzie wracam do pokoju i otwieram wszystkie okna. Walt śpi na swoim łóżku, a Slater gdzieś wyszedł. Okazuje się, że w niedzielę wolno nam przebywać poza akademikiem do dziesiątej; w pozostałe dni

musimy meldować się w pokojach o siódmej, a o dziesiątej być w łóżkach. Podobny tryb życia wiodłem w domu. Siadam za biurkiem i piszę do Mary długi list. Te wszystkie wariactwa, jakie się tu wyprawia, a zwłaszcza musztra, na pewno jej się spodobają. W szczegółach opowiadam jej o wszystkim, co mi się przydarzyło, o tym, jak dostaliśmy mundury i książki. Opisuję jedzenie i szkicuję mapkę naszego pokoju, na której zaznaczam swoją pryczę. Niektóre fragmenty listu są po francusku, przy czym przekonuję się, że dużo trudniej pisze się, niż mówi w tym języku. Największy kłopot sprawiają mi akcenty - nie wiem, gdzie i kiedy je stawiać. Akurat kończę pisać list, gdy rozlega się sygnał na capstrzyk i gasną światła. Układając się do długiego snu, mam nadzieję, że jestem przygotowany na jutrzejsze zajęcia. Jednego z naszej grupy wybrano na dowódcę plutonu. Ma rozkład zajęć i mapę z klasami, do których się udamy. Studiował w szkole wojskowej w Wirginii, zna się na wojsku znacznie lepiej niż ktokolwiek z nas. Wydaje się też starszy. Zасыpiam natychmiast kamiennym snem. Nazajutrz wkładam świeży mundur, który próbowałem wyprasować, umieszczając go między materacem a metalowymi sztabami służącymi za sprężyny. Starannie wygładzam koszulę i wyostrzam kanty spodni. Nadal nie mam krawata, ale nikt go tu nie nosi. Pożyczam od Slatera pastę do butów i próbuję nadać swoim kamaszom odrobinę połysku. Wszyscy robimy to samo. Bierzemy jeden z ręczników i polerujemy nim buty. Walt Winters ma nawet specjalną oliwę, którą radzi nam wetrzeć w skórę, aby buty były miękkie i nie skrzypiały przy chodzeniu. Po śniadaniu przeglądam książki, które nam wydano, i obracam skrzynię na bok, tak by mogła służyć mi jako regał. Co prawda jedną ścianę pokoju zajmują półki, ale jest ich za mało, by pomieścić książki, które przywieźliśmy ze sobą. Sawyers, tymczasowy dowódca naszego plutonu, ma plan lekcji i informuje, czego będziemy się uczyć i które podręczniki powinniśmy zabrać. Będziemy studiowali język angielski, chemię i fizykę. Później, po południu, będą zajęcia z nauki wojennej. Nie wiem, co takiego będziemy robić, co by zasługiwało na miano nauki. Biorę notatnik, parę ołówków, wieczne pióro wypełnione ciemnoniebieskim atramentem, które dostałem od Mary, i dwa ciężkie podręczniki - do chemii i fizyki. Nareszcie czuję się jak prawdziwy student na uniwersytecie. Opasuję książki swoim cywilnym paskiem, zaciągam mocno pas wojskowy z miedzianą sprzączką, aby spodnie mi nie zjeżdżały, i czuję, że jestem gotów. Sawyers ustawia nas na trawniku przed akademikiem i, korzystając z naszej nader

skromnej znajomości musztry, każe nam maszerować przez campus w stronę budynku, gdzie będziemy mieli zajęcia z angielskiego. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak rozległe jest to miasteczko. Ledwo zdążamy przed dzwonkiem. Klasa mieści się na pierwszym piętrze, na wysokości naszych pokoi, skąd rozciąga się widok na salę gimnastyczną i basen. Nie spodziewałem się, że będziemy mieli do dyspozycji basen i salę do ćwiczeń. Nasz profesor od angielskiego nazywa się Dawes, ale upiera się, by się doń zwracać: doktorze Dawes. Sawyers, który poprzedniego dnia spotkał się z odpowiedzialnym za naszą grupę sierżantem Millerem, ostrzega, że po wejściu do sali nie wolno nam usiąść, póki doktor Dawes nie wyda rozkazu: SPOCZNIJ. Nie wolno nam się też odzywać, nim doktor wskaże nas palcem i udzieli pozwolenia. Więc jednak panują tutaj bardziej wojskowe zwyczaje, niż sądziłem. - Wchodzimy do sali i wybieramy sobie krzesła. Stoimy przy nich, czekając, aż wybrzmia ostatnie dźwięki dzwonka - wtedy zjawia się doktor Dawes. Jest to mały człowieczek z czupryną siwych włosów opadającą mu na oczy. Ma wielki nos i wąskie usta. Podchodzi do swego biurka i kiwa głową do Sawyersa, który pokazuje, że mamy usiąść. Doktor Dawes unosi do góry antologię, która będzie naszym podstawowym podręcznikiem.

- Czy wszyscy macie tę książkę, naszą biblię? Wszyscy przynieśliśmy ze sobą egzemplarz, kilku podnosi swoje książki. Lekcja przypomina właściwie angielski w liceum Upper Darby. Doktor Dawes kartkuje podręcznik. Otwórzcie książki na stronie sto pięćdziesiątej, na początku Niedźwiedzia Williama Faulknera. Dawes zaznaczył sobie tę stronę zakładką. Przewracamy kartki podręczników, szukając strony, którą nam podał. Czytałem już tę nowelę, jedną z najciekawszych i najprostszych, jakie przerobiliśmy w zeszłym roku. Próbuję sobie przypomnieć, o czym wtedy mówiliśmy. Pamiętam oczywiście, że rzecz dotyczy niedźwiedzia, ale niewiele poza tym. Domyślam się, że ktoś na niego poluje i prawdopodobnie go zabija. Taki temat przynajmniej pasowałby do upodobań wojskowego nauczyciela. Na chwilę zapada cisza, ludzie szukają podanej strony. Doktor Dawes odchrząkuje.

- Nie jest to zwykła historia o niedźwiedziu czy łowcach niedźwiedzi. Opowiada ją chłopiec, który poluje na ogromnego zwierza w trudno dostępnych kniejach Południa. Poluje z ojcem i jego przyjaciółmi. Nowela ta traktuje o emocjonalnych więziach łączących chłopca

zarówno z ojcem, jak i z niedźwiedziem. To bez wątpienia jeden z najlepszych utworów poświęconych ludziom i zwierzętom w literaturze amerykańskiej. A propos, czy ktoś z was czytał to opowiadanie? Zgłasza się mniej więcej połowa studentów. Ja też podnoszę rękę. Nie bardzo jednak pojmuję, co ma to opowiadanie wspólnego z naszymi studiami inżynierskimi. Mam nadzieję, że kiedy znajdziemy się w Europie - czy gdziekolwiek każą nam walczyć - nie będziemy musieli polować na niedźwiedzie w ciemnych, przepastnych ostępach. Profesor Dawes wstaje i zaczyna przechadzać się po sali z książką w ręce.

- Niech każdy z was, czytając tę nowelę, wyobrazi sobie, że jest niedźwiedziem, a myśliwi są waszymi wrogami. Wejdźcie w skórę niedźwiedzia, poczujcie jego wściekłość, niepewność, strach. Myślę, że doświadcza tego wielu żołnierzy piechoty. Spróbujcie wczuć się w sytuację. Życie niedźwiedzia wisi na włosku. Jest bardzo silny, ale z wyjątkiem małych zwierząt, którymi się żywi, nie ma doświadczenia w polowaniu. Nie rozumie, dlaczego ludzie ścigają go na jego terytorium. Żołnierz na polu bitwy przeżywa podobne rozterki. Wysłicie wyobraźnię i inteligencję; przetrwanie polega w dużej mierze na spożytkowaniu tych umiejętności. Poddajcie się temu doświadczeniu. Od tego może zależeć to, czy staniecie się kolejną ofiarą wojny czy zaprawionym w boju żołnierzem. Do końca zajęć macie przejrzeć to opowiadanie i zapoznać się z jego treścią. Spodziewam się, że je przeczytacie i będziecie umieli odpowiedzieć na pytania, które wam jutro zadam, oraz że sami wymyślicie kilka pytań. A teraz odpowiedzcie na pytania, które przygotowałem na kartkach i zaraz wam rozdaję. Ocenę je pod koniec tygodnia pod kątem treści i kompozycji. Sprawdzę, jak radzicie sobie z gramatyką, pisownią i interpunkcją, a także z komunikacją ustną i pisemną. Pamiętajcie, aby podczas lektury zwracać uwagę nie tylko na akcję, ale i na to, jak oddziałuje ona na czytelnika. To właśnie poprzez literaturę możemy obcować z najwybitniejszymi umysłami Ameryki. William Faulkner jeszcze żyje, mieszka w swoim rodzinnym stanie Missisipi. Jego twórczość wywarła ogromny wpływ na większość pisarzy amerykańskich i anglojęzycznych. Macie okazję dołączyć do tego ścisłego grona myślicieli i przygotować się, jak przystało na prawdziwych mężczyzn, do sprostania trudom, miłości i zagrożeniom, które Faulkner opisuje w swojej noweli. - Po tych słowach profesor Dawes zamyka książkę i siada za biurkiem z przodu klasy. - Do końca zajęć zostało czterdzieści pięć minut. Gdy odezwie się dzwonek,

dowódca waszej sekcji, pan Sawyers, zaprowadzi was na następne zajęcia. My spotkamy się jutro w tej samej sali. Nie zapomnijcie wziąć podręczników, to nie jest biuro rzeczy znalezionych. Fizyka przypomina tę w liceum, lecz zapoznajemy się głównie z doświadczeniami praktycznymi, zwłaszcza z balistyki, pokazującymi różne trajektorie i skutki działania grawitacji. Eksperymentów jednak nie przeprowadzamy, są już opracowane, a na tablicy zamieszczono ich dokładny opis pozwalający nam się zorientować, o co w nich chodzi. Zadania rozwiązujemy w ćwiczeniach, które dostaliśmy wraz z podręcznikiem. Jak zawsze zdumiewa mnie to, co najbardziej oczywiste. Fizyka dla początkujących jest w zasadzie powtórką z tego, co każdy, kto choć odrobinę interesuje się światem i jego funkcjonowaniem, powinien wiedzieć. Nasz profesor jest przysadzistym, może nawet opasłym mężczyzną, najwyraźniej nie pozbawionym poczucia humoru. Jego zajęcia mogą się podobać. Jest niemal jak magik, sprawiający, że dzieją się rzeczy niemożliwe. Nie sądzę, bym miał kłopoty z fizyką. Chemii uczy starszy pan, który wydaje się nie mniej zafascynowany tym, co oczywiste. Ma fioła na punkcie tabel i tablic. Zmusza nas do pracy z logarytmami, kwadratami logicznymi, tablicami pierwiastków itp. Każdy, nawet najprostszy eksperyment wprawia go w zdumienie. Najczęstsze słowo, jakie pada z jego ust, to "fenomen". FENOMEN! - woła, a ja przytakuję w duchu, że sposób, w jaki on prezentuje materiał, jest fenomenem na skalę światową, lecz nie wydaje mi się, abym znacznie poszerzył swoją wiedzę na temat chemii. W sali unosi się zapach typowy dla pracowni chemicznej, choć mógłby on równie dobrze pochodzić ze średniowiecznego laboratorium alchemika. Nie jestem zachwycony. Ale skoro na drodze do uzyskania stopnia naukowego trzeba zaliczyć chemię i skoro unika się przy tym spotkania z kulami, to gotów jestem się poświęcić. Na końcu odbywa się szkolenie wojskowe. Główny element stanowi strzelanie. Stajemy przed spowitym oparami alkoholu sierżantem, który rozdaje nam karabiny kaliber .30 i ostrzega o związanych z nimi niebezpieczeństwach. Wierzę mu na słowo. W jego krwi krąży tyle alkoholu, że każda broń, jaka wpadnie mu w łapy, stanowi śmiertelne zagrożenie. Na szczęście nie wydają nam ostrej amunicji; podchodzimy do zwykłych laboratoryjnych stołów, gdzie sierżant, punkt po punkcie, demonstruje, jak rozłożyć i złożyć prosty karabin typu Springfield 06. Z zegarkiem w ręku sprawdza, jak szybko potrafimy uporać się z tym zadaniem. Większość łapie w lot, o co chodzi, i po godzinie dwóch kmiotków

z Pensylwanii potrafi składać broń prędzej od niego. Sierżant tłumaczy, że później otrzymamy karabiny innego typu, że od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego w piechocie używa się głównie półautomatycznego karabinu Garanda, zwanego M1. Dostaniemy go przed walką. Tymczasem, ćwicząc oko, będziemy strzelać ze starych springfieldów. Trochę się martwię o naszą siłę ognia, po tym jak odkrywam, że 06 oznacza rok 1906, kiedy ta broń stała się standardowym wyposażeniem piechoty. Też mi nowoczesna armia! Ukoronowaniem naszego doświadczenia z bronią będzie wymarsz na strzelnicę. Jest to tak zwana strzelnica o krótkim zasięgu, zbudowana specjalnie dla nas, gdzie oddaje się tylko jeden strzał z karabinu kaliber .22 do ustawionych tarcz. Ci, którzy twierdzą, że nie jesteśmy przygotowani do wojny, doskonale wiedzą, o czym mówią. Kiedy maszerujemy do akademika, gdzie czeka nas półgodzinny odpoczynek przed obiadem zwanym w wojskowym slangu "chów", zaczynam składać w myślach list, który napiszę do Mary. Mnie "chów" kojarzy się wyłącznie z psem o niebieskim języku, który pewnego dnia, gdy wracałem ze szkoły, pogonił mnie na słup telefoniczny. W pokoju zerkam na moją pryczę i widzę leżący na poduszce list. Pierwszy list od Mary. Nie tylko pierwszy, jaki dostałem, ale w ogóle - o ile mi wiadomo - pierwszy, który przyszedł do Fletcher Hali. List jest gruby i mam ochotę natychmiast go przeczytać, ale decyduję, że zrobię to dopiero po kolacji. Wsuwam list pod poduszkę, po czym wchodzę pod prysznic, splukuję z siebie brud całego dnia i przebieram się w cywilne łachy. Gdy tylko rozlega się SOUPY SOUPY SOUP, jestem gotów "rozejść się" i pomaszerować do stołówki. OD, oficer dyżurny, robi nam krótki wykład, po czym zostajemy zwolnieni i wysłani do stołówki, aby zjeść swoją porcję "chów". Akurat tego wieczoru trafia się nam prawdziwa wojskowa wyżerka, zwana przez nas "gówno na goncie", czyli duszona wołowina przyklejona do kawałka grzanki. Palce lizać. Jak zwykle zjawiam się po dokładkę. Gdyby ktoś zwrócił na mnie uwagę - choć nie przypuszczam, aby tak było - pewnie by pomyślał, że pochodzę z rodziny żyjącej w skrajnym ubóstwie. Wróciwszy do pokoju, pochylam się nad biurkiem z książką otwartą na Niedźwiedziu; między jej kartki wetknięty jest list od Mary. Jego lektura jest jak podróż do domu. Mary pisze mi o wszystkim. Ciocia Sophie nie czuje się za dobrze i musiała pójść do lekarza. Bała się, że ma "guz piersi". Postanawiam napisać do cioci Sophie, jak tylko będę miał wolną chwilę. Poza tym pies ciotki Ethel wybiegł na ulicę i o mało nie zginął pod kołami.

Stało się to już chyba dziesiąty raz. Wujek George lęka się, że straci pracę w Westinghouse, bo nie zna się na nowych maszynach używanych do budowy dynam. Niektóre z nich są tak wielkie, że wujek nie ma siły ruszyć ich z miejsca. Ciocia Ethel boi się, że wujek dostanie przepukliny. Mary wplata w swój list francuskie "żarciki", które brzmią dla mnie jak głos z domu, choć po francusku mówię kiepsko, a jeszcze gorzej piszę i czytam. Jak tam u was z jedzeniem. Will? Czy są twoje ulubione kanapki z mięsem i serem? Wyobrażam sobie, jak głodzisz się na śmierć otoczony górami jedzenia, bo nie ma kanapek mięsno-serowych. Jeśli chcesz, to dowiem się, z jakiego gatunku mięsa i sera się je robi. Na pewno znajdziesz gdzieś włoską dzielnicę, gdzie można kupić odpowiedni chleb. Georgie jeszcze do mnie nie napisał, ale on nigdy nie pisywał listów, nawet w szkole. Duaime'owie nie słyną z pisania, ale ja obiecuję pisać, jeżeli ty napiszesz do mnie. Wysłałam list do Richiego Duaima'a, ale ten też milczy jak grób. Zdaje się, że będę musiała się skoncentrować na korespondencji z tobą. Ale jeśli nie odpiszesz, więcej się do ciebie nie odezwę; mam nadzieję, że się nie obrazisz. Tak samo jest z Billym Kettiesonem. Jest już w takim wieku, że powinien rozumieć, o co chodzi, a ja wiem, że potrafi pisać - sama pomagałam Louise go uczyć, kiedy poszedł do Świętego Barnaby. Suń Oil również zwolnił ludzi, co znaczy, że Billy Duaima będzie bez pracy. Wygląda na to, że znów powtarza się Wielki Kryzys; zamiast NOWEGO ŁADU, który obiecał nam pan Roosevelt, mamy STARY BAŁAGAN. Czy słyszałeś, co się dzieje na południowym Pacyfiku? Podobno Japończycy wypierają Amerykanów z tamtejszych wysp. A niech je sobie biorą! Na co komu parę wysepek, osaczonych przez rekiny, a może i wieloryby. Mamy aż nadto kłopotów na głowie. Czy odpiszesz mi po francusku? Słowniczek został u mnie. Czy go potrzebujesz? Nie chcę prosić Louise o pomoc. Kiedy jej powiedziałam, że do ciebie napiszę, zachowywała się, jakby była o to zazdrosna. Wrzucę ten list do skrzynki na Lindbergh Avenue. Może pójdzie pocztą lotniczą. Uważaj na siebie. Nie zadawaj się z żadną z tych południowych belles. Napisz, co studiujesz. Czy nauczyłeś się już strzelać? Czy każą wam sypać okopy, jak to pokazują w kronikach? Pamiętaj, że twoja babcia i najlepsza przyjaciółka myśli o tobie bez przerwy. Gdybym wierzyła, że to cokolwiek pomoże, tobym się za ciebie modliła. Zresztą może się i pomodłę. Przecież to nic nie kosztuje. Może nawet zapalę świeczkę. Ucałowania.

Mary

ROZDZIAŁ 9

Dni biegły jeden za drugim, jakbym nadal był w Filadelfii, tyle że ogarniętej falą upałów. Nadszedł listopad, miesiąc moich urodzin; życie się unormowało. Wprowadzono drobną zmianę w naszym umundurowaniu - teraz mieliśmy chodzić do szkoły w krawatach. Dużo zamieszania wywołały furażerki i to, jak należy je nosić. Miały tkwić na naszych głowach przekrzywione nad lewym okiem, nawet jeśli byliśmy praworęczni, i zakrywać czoło, kończąc się tuż nad brwią lewego oka. Odległość między brwią a jej krawędzią miała równać się szerokości dwóch złączonych palców. Wkładanie tych nakryć głowy przypomina niemal salutowanie i stanowi, jak przypuszczam, część szkolenia. Dowódca naszego plutonu wpaja w nas również to, jak, kiedy i komu należy oddawać honory. Wyrabiamy w sobie nawyk, by automatycznie salutować profesorom, gdy tylko pojawią się w drzwiach klasy. Zawsze przychodzą po nas. Na dany przez Sawyersa znak wszyscy salutujemy, a profesorowie odpowiadają: SPOCZNIJ! Dopiero wtedy wolno nam usiąść. Bezsensowna procedura. Ponieważ większość klas nie ma ławek, siadamy na krzesłach z szerokimi blatami do pisania. Niełatwo się w nie wpasować bez narażania się na śmieszność. Gdy skręcamy się w tułowi, by wsunąć się w wąską lukę między blatem a krzesłem, metalowe nóżki strasznie zgrzytają na podłodze. Dwóch ludzi z naszego plutonu ma lekką nadwagę. Okazuje się, że manewr siadania i wstawania z krzesła prawie przekracza ich siły. Zajęcia zaczynają się zaraz po śniadaniu, to jest o siódmej rano. W południe przerywa je sygnał SOUPY SOUPY, po którym mamy godzinę na lunch i doprowadzenie się do porządku. Dyżur w kuchni obowiązuje według alfabetu, toteż wyliczam, że w pierwszym semestrze padnie na mnie dwa razy. ujdzie. Dyżurujących budzi się o piątej rano, gdy na dworze jest jeszcze szaro, a zwalnia się ich dopiero po tym, jak wszystkie garnki i sztucce są pozmywane, stołówka lśni czystością, podłogi są umyte, a stoły wytarte. Zwykle jest już wówczas po siódmej, więc na naukę przed ciszą nocną zostaje mało czasu. Dyżur w kuchni jest bardzo wyczerpujący, nie ma szans, że zdąży się odrobić zadania domowe na następny dzień. Zajęcia trwają na ogół do piątej po południu, kolacja zaś jest między szóstą a siódmą. Wolny czas - od siódmej do dziewiątej trzydzieści - spędzamy w pokojach, zanim o dziesiątej zapada cisza nocna. Rzadko się

nudzimy. Po tygodniu dopada mnie znużenie. Studia nie są trudne, ale rozkład zajęć okropnie mnie męczy. Staram się jakoś zorganizować sobie wolny czas, może nawet urwać się do miasta, chociaż nie uskarżam się na nadmiar gotówki. Do miasta możemy wychodzić wyłącznie w mundurze; jeżeli zostaniemy przyłapani w cywilnym ubraniu, grozi nam dodatkowy dyżur w kuchni. Życie tutaj właściwie nie różni się od zasadniczej służby wojskowej. Tyle że robimy szybkie postępy w nauce. Wiedzę podaje się w sposób syntetyczny. W przyspieszonym tempie zaliczamy wykłady, przerabiamy zadania z podręczników, wykonujemy eksperymenty w laboratorium, a nawet przyswajamy sobie wiedzę z zakresu wojskowości. Od września, odkąd tu przyjechaliśmy, do grudnia, kiedy dostajemy dwutygodniową przepustkę na Boże Narodzenie, przerabiamy materiał prawie pełnego roku uniwersyteckiego. Część ludzi zaczyna się wykruszać, jedni nie radzą sobie z nauką, inni nie mogą sprostać wymaganiom profesorów. Jeśli ktoś nie nadaża, wystarczy, że się zgłosi do dowódcy i poprosi go o honorowe przeniesienie. Kłopot w tym, że honorowo przenosi się człowieka, nawet niepełnoletniego, na szkolenie podstawowe do Fort Benning, leżącego kilka mil na północ od Gainesville. Tego rodzaju transfer do dywizji piechoty praktycznie oznacza dla przeniesionego samobójstwo. Wojsko coraz częściej posiłkuje się rezerwistami, a nasza grupa otwiera listę dających się wykorzystać rezerw. Teraz, gdy wojna rozpętała się na dobre, na armię wywiera się silny nacisk, by zakończyć program, w ramach którego studiujemy. W listach do Mary staram się pomijać te kwestie. Robię to dlatego, że trudno to wszystko wytłumaczyć, wpadliśmy w swego rodzaju pętlę, która tym mocniej się zaciska, im usilniej próbujemy się z niej uwolnić. Wiele uczę się na lekcjach nauk ścisłych, ale najbardziej podoba mi się angielski. Uwielbiam czytać, a właśnie tym się zajmujemy - zdajemy testy, piszemy streszczenia lektur i słuchamy profesora opowiadającego o życiu różnych pisarzy. Sprawdza też wypracowania z lektur, które przeczytaliśmy indywidualnie, i pokazuje, na czym polegają nasze trudności z wyrażaniem myśli. Zdaję sobie sprawę, jak wiele dało mi spisanie wspomnień mojego dziadka i tych, którymi podzieliła się ze mną Mary. Pisze do mnie prawie codziennie, co intryguje moich kolegów, którzy chcą wiedzieć, kim jest ta Mary Denis, i zobaczyć jej fotografię. Odpowiadam, że nie mam zdjęcia, ale ją o nie poproszę. Po moim liście Mary przysłała mi zdjęcie. Pisze, że zrobiła je prawdopodobnie jej ciotka, kiedy Mary była

mniej więcej w moim wieku. Wygląda pięknie na tej sepiowej fotografii, wykonanej w szkole w Belgii. Podpisała ją "Twoja ukochana", skutkiem czego na kilka dni zostaje plutonową Casanovą. Dużo pływam w basenie. Powietrze bywa chłodne, ale woda jest ciepła. To prawdziwy cud, że można pływać w listopadzie. Muszę się przygotować do egzaminów końcowych i wielkiego testu, jaki wkrótce nam zaaplikują, by odsiać tych, którzy nie nadążają z programem. Wyjmuję wszystkie książki i czytam je od nowa. Nie wiem, na czym to polega, ale studia sprawiają mi o wiele większą frajdę niż liceum. Może chodzi o to, że poważniej podchodzi się tutaj do nauki. Mary twierdzi, że po prostu dorosłuję. Radzi mi poszukać innych pracowitych studentów i uczyć się razem z nimi. Nie mogę się przyzwyczaić, że mam babcię, która tak świetnie wie, jak przetrwać na uniwersytecie. Chyba wszyscy przypisujemy innym do gotowych stereotypów, zamiast wejrzeć w ich prawdziwą naturę. Szkoda, że nie zrozumiałem tego wcześniej. Mam wrażenie, że "prześlizgnąłem się" po zbyt wielu ludziach. Czekające nas egzaminy zyskują na znaczeniu. W odpowiedzi na polityczne naciski zawiedzionych rodziców armia zamierza drastycznie skrócić program studiów. Wyniki tych testów staną się miarą jego sukcesu lub porażki. Ja podchodzę do tego raczej luźno, ale niektórzy z naszej grupy traktują sytuację w kategoriach "życie albo śmierć" - życie na uniwersytecie albo śmierć w oddziałach piechoty. Oczywiście, jest w tym trochę racji, lecz takie myślenie w niczym im nie pomoże. Mary podziela moje zdanie. Tak już jest w tym życiu, Will: jedni robią z igły widły, a inni udają, że żadnych widel nie ma, tylko igła. Kontynuuj studia, skup się na egzaminach, a dasz sobie radę. Jej listy przynoszą mi ulgę, ilekroć zaczynam ulegać presji. Kłopoty mam jedynie ze szkoleniem wojskowym. Potrafię nie gorzej od innych rozmontować i złożyć każdy rodzaj broni. Tor przeszkód pokonałem na pierwszym miejscu. Pływanie zawsze było moją mocną stroną, nawet w liceum, choć mieszkaliśmy z dala od jezior i oceanów. Problemy zaczynają się na strzelnicy. Przyjmujemy pozycję do strzału, z reguły leżącą. Idzie mi znakomicie, dopóki nie zacznę skupiać uwagi na celu - momentalnie robię się nerwowy i pot zalewa mi oczy. Wydaje mi się, że mam cel na muszce, ale gdy pociągam za spust, sromotnie pudłuję. Strzelam z różnych karabinów, lecz rezultat jest zawsze taki sam. Podoficerowie przecierają oczy. Ta część szkolenia plasuje mnie na jednym z ostatnich miejsc w klasie. A tak się składa, że strzelanie bardzo waży na końcowej ocenie. Dostaję pozwolenie na korzystanie ze

strzelnicy w czasie wolnym między obiadem a wieczorną nauką. Zużywam więcej amunicji, niż mi przysługuje. Gubię się w domysłach, o co chodzi - o huk wystrzału czy o to, że brzydę się myślą o zabijaniu. Jestem w kropce. Dzielę się swoim kłopotem z Mary. Odpowiada mi natychmiast. List jest napisany drukowanymi literami dwa razy większymi niż zwykle. Wdałeś się w dziadka. Will. On też nigdy nie mógł trafić do celu. Ale w końcu rozgryzł swój problem i stał się jednym z najlepszych strzelców w okolicy. Opowiedział mi o tym. - Widzisz, Mary - powiedział - przy strzelaniu poruszałem bronią. Tak się podniecałem, że myślałem, że im mocniej szarpnę za spust, tym dalej i szybciej polecą kula. Stwierdził, że strzelanie przypomina nawlekanie igły. Nie wiem, gdzie nauczył się szyc, ale nabył w tym sporej wprawy. Sam reperował swoje rzeczy, a nawet przyszywał obcasy do butów. Wówczas w Wisconsin para trzewików musiała nam starczyć na długo. Nasze dzieci nie chodziły do szkoły w butach, nosiły je na sznurówkach zawieszonych na szyi i wkładały dopiero po dojściu do szkoły. Will naprawiał dzieciakom wszystkie buty, a kiedy jedne wyrastały z nich, dawaliśmy je młodszym. Och, to były dobre czasy, ciężkie, ale dobre. No więc Will powiedział mi, że jak pociągał za spust, to wcale nie ciągnął, tylko naciskał go powoli, jakby nawlekał igłę. Nikomu jeszcze nie udało się na siłę przepchnąć nitki przez igielne ucho - trzeba to robić delikatnie, z wyczuciem. Ja wiedziałam, jak nawlec igłę, bo dużo szyłam, i widziałam, jak Will ćwiczy się w strzelaniu z tej swojej starej śrutówki. Koncentrował się, brał głęboki oddech, wypuszczał odrobinę powietrza, po czym wolno zaciskał palec na spuście. Nauczył tak strzelać wszystkich chłopców. Szkoda, że nie mogłeś chodzić z nimi na polowania, zapuszczali się w lasy Pensylwanii, a czasem docierali aż do Maine. Wtedy byś o tym wszystkim wiedział. Zgadza się, tylko że mama nie chciała wypuścić ani mnie, ani taty. Twardo obstawała przy swoim. Wiem, ale teraz musisz się nauczyć strzelać z tych karabinów i dziurawić tarcze jak sito. Myślę, że dzięki temu będziesz lepiej oceniał sam siebie. Przekonuję się o tym podczas następnej wizyty na strzelnicy. Pod czujnym okiem sierżanta Bowera wpieram mocno nogi w ziemię i wsuwam rękę pod karabin tak, jak nam pokazywał. Idąc za radą Mary, biorę głęboki oddech, wstrzymuję go i pomału wypuszczam powietrze. Ustawiam celownik na środku tarczy, ale zamiast szarpać za spust, leciutko zwiększam na niego nacisk. I, jak pragnę zdrowia, strzelam coraz lepiej, aż w końcu prawie za każdym razem trafiam w sam środek tarczy.

Bowerowi udziela się moja ekscytacja. Przynosi tarcze i stawia je przede mną, mówiąc, że nadal ściągam nieco w prawo; pomaga mi to skorygować. Po godzinie spędzonej na strzelnicy zdobywam tyle samo punktów co reszta plutonu. Mary ma rację: moja samoocena istotnie się poprawia. No i zostaję na Florydzie, zamiast wyjechać do Fort Benning w Georgii. Najgorsze w egzaminach jest to, że ciągną się przez cały dzień. Wieczorem jestem tak zmęczony, że ćmi mi się w oczach. Choć znam odpowiedzi na większość pytań, zdanie testów okazuje się nie tyle kwestią wiedzy, ile kondycji. Nie ma to zresztą znaczenia: na tydzień przed Bożym Narodzeniem dowiadujemy się, że wszyscy, z wyjątkiem garstki wybrańców, zostaniemy przeniesieni do Fort Benning. W końcu polityka zwyciężyła nad rozsądkiem. W grudniu przyjeżdżam do Filadelfii. Dzięki Mary ponownie zatrzymuję się w pokoju kuzyna Georgiego. Cudownie jest wrócić do rodziny, spotkać się z koleżankami, z którymi utrzymywałem korespondencję, odwiedzić nauczyciela plastyki z ogólniaka, zrzucić z siebie mundur. Mundury, które dostaliśmy w ASTPR, kazano nam zostawić na uniwersytecie i do domu wracamy ubrani po cywilnemu. Łapczywie przyjmuję aż trzy zaproszenia na kolację wigilijną i wędruję od przyjęcia do przyjęcia. Cóż za uroczyste wakacje. Popołudniami Mary i ja siedzimy w małej szwalni i rozmawiamy o sprawach, o których w listach mogliśmy zaledwie napomknąć. Czasami dołączają do nas ciocie Ethel, Sophie i Alice. Martwią się o swoich bliskich pełniących czynną służbę wojskową. Tylko Richie i ja służyliśmy w piechocie, pozostali - z powodów, których nie pojmuję - służą w marynarce. Fort Benning budzi niepokój Mary. Słyszała o tym, jak twardą szkołę przechodzi tam piechota, a zwłaszcza wojska powietrzno-desantowe. Przyznaję, że chciałbym wstąpić do spadochroniarzy. Płacą człowiekowi wyższy żołd, przypinają mu specjalną odznakę i dają specjalne buty - słowem wszystko, o czym marzy niespełna dwudziestoletni chłopak. Mary odwodzi mnie od tego pomysłu. Już sam skok z samolotu, dla mnie ekscytujący, ją napawa przerażeniem. Próbuje przekonywać, że codzienna harówka w piechocie jest gorsza niż najgorszy skok ze spadochronem, ale Mary nie daje się oszukać. - O czym my mówimy, Mary? Jestem pewien, że zdałem te testy celująco i przepiszą mnie do jakiegoś uniwersytetu na Środkowym Zachodzie, gdzie do końca wojny będę rozwiązywał zadania z wytrzymałości konstrukcji. - Chyba udaje mi się przekonać samego siebie. W Fort Benning szybko przekonuję się, że babcia miała rację. Mimo że

ośrodek leży bardziej na południe niż Filadelfia, nie wiedzieć czemu panują tu chłody. Kiepsko opalane koszary są przepełnione ludźmi. Za to intensywność ćwiczeń sprawia, że to, cośmy przeżyli na Florydzie, wydaje się harcerską igraszką. Dostajemy nowe mundury, które mamy "rozchodzić". Tak długo ćwiczymy musztrę, aż wszyscy padamy ze zmęczenia. Najgorsze jednak są ćwiczenia w polu. Bardzo trudne tory przeszkód, długie, czasem trzydziestomilowe marsze bez kropli wody. Albo zrobiją z nas żołnierzy, albo nas zabiją - po czym zawiadomią rodzinę! Szkolimy się w obsłudze większości typów broni, których używa się w piechocie, od chłodzonych powietrzem i wodą karabinów maszynowych kaliber .30 po zamontowane na jeepach i na trójnogach karabiny maszynowe kaliber .50. Przechodzimy też szkolenie specjalne, na którym uczymy się używać granatów: odbezpieczać je i rzucać ręczne, wystrzeliwać nasadkowe z karabinów, i miotać nimi z luf naszych karabinów. Strzelamy z nowych garandów kaliber .30, z siedmioma nabojami plus jeden w magazynku, używamy też mniejszych karabinków M1A1 mieszczących piętnaście pocisków. Nieoficjalnie dowiadujemy się, że po spiłowaniu zaczepu spustowego karabinek zamienia się z półautomatycznego w automatyczny. Ćwiczymy w maskach gazowych i biegamy w pomieszczeniach wypełnionych gazem łzawiącym. Czołgamy się pod gradem kul świszczących nad naszymi głowami; nigdy nie wiem przy tym, czy mam się wić jak wąż, czy pełzać jak niemowlę. Cały dzień przechodzimy od jednego zadania do drugiego, nie oszczędzają nam nawet porannej gimnastyki. Kiedy kładę się spać, jestem zmęczony, nazajutrz zaś budzę się wykończony. Po miesiącu nadchodzi wiadomość, że znane są już wyniki egzaminów, do których przystąpiliśmy na Florydzie. Zostajemy o nich powiadomieni indywidualnie. Cieszę się, że tortury dobiegły końca. Zdobyłem dziewięćdziesiąt trzy procent punktów. Na razie nie wiem, od ilu się oblewa. Ale wkrótce się dowiaduję. W zasadzie wszyscy, którzy brali udział w programie edukacyjnym, zostali oblani i mają się zgłosić do różnych jednostek piechoty po zakończeniu szkolenia podstawowego w Fort Benning. Koledzy, z którymi rozmawiam, są sfrustrowani. Żaden nie zdał. Ostatecznie wychodzi na jaw, że spośród dwustu studentów jedynie siedmiu pomyślnie przebrnęło przez egzaminy. Zbieramy się w jednym z punktów przerzutowych, aby uczcić nasze szczęście. Wygląda na to, że dadzą nam żyć. Dwa tygodnie później jednak dochodzą nas słuchy, że nawet tych siedmiu, którzy zdali egzamin, przenosi się do dywizji piechoty w

całym kraju. Cały czas regularnie pisuję do Mary. Wierzy we mnie tak mocno, że sam zaczynam w siebie wierzyć. Gdy przychodzą złe wieści, że zostają przeniesiony do 4. dywizji w Fort Jackson w Karolinie Południowej, Mary przeżywa to chyba jeszcze boleśniej ode mnie. Nie może w to uwierzyć. Zamierza napisać w mojej sprawie do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przekonuję ją jednak, że zapewne trafię do jakiejś bazy, gdzie będą potrzebować kogoś, kto włada francuskim i umie pisać na maszynie. Byłoby to nawet sensowne: obie te umiejętności są przydatne i wcale nie tak częste. Armia jednak nie zawsze postępuje sensownie, a im dłużej w niej służę, tym częściej stwierdzam, że prawie nigdy tak nie postępuje. Znowu jadę pociągiem na południe. Tym razem nie zatrzymujemy się w uroczym miasteczku z uniwersytetem, ale na obskurnej stacji położonej na odludziu. Wrzeszczą na nas, ustawiają w szeregu, dzielą na grupy i każą odmaszerować, z workami na odzież przerzuconymi przez ramię, do ogromnego holu. Stoi tam oficer o wyglądzie twardziela, który obrzuca nas takim spojrzeniem, jakbyśmy właśnie wyczołgali się spod zbombardowanego pociągu. Przez pół godziny oznajmia nam, że nigdy w życiu nie widział tak żalosnych gamoni, i zapewnia, że zrobi z nas żołnierzy. Wyciąga z szeregu, na chybił trafił, kilku żołnierzy i częstuje ich wyświechtaną gadką starego oficera. Prężymy się na baczność i oglądamy tę szopkę. Zastanawiam się, czy aby nie powiedzieć, że się z tego wypisuję, i niech się dzieje co chce, gdy przypominam sobie radę Mary - kto się wychyla, temu ucinają łeb. Ona nazywa to "kumikową" teorią przetrwania. W koszarach przypisują nas do prycz, przed którymi stoją małe szafki. Kapral, zwany T5, udziela nam drobiazgowych wyjaśnień na temat zasad przechowywania w nich odzieży. Przepisy regulują wszystko, nawet to, czy skarpety zwija się czy składa. Gatki mają być złożone w kostkę; mydło, pasta, szczoteczka do zębów i inne przybory toaletowe mają znajdować się na swoich miejscach. Nie wiem, czy podołam tym wymaganiom. Jakoś do mnie nie pasują.

ROZDZIAŁ 10

Szkolenie podstawowe w pełni zasługuje na swoją nazwę. Uczymy się samych podstaw życia, takich jak sztuka przetrwania. Opisuję Mary niektóre z niebezpiecznych, uwłaczających naszej godności prób, jakim zostajemy poddani. Należą do nich skoki spadochronowe, przed którymi babcia za wszelką cenę chciała mnie ustrzec. Sam jestem sobie winny, choć z drugiej strony nie mogłem przewidzieć, jak to będzie wyglądało. Mijają zaledwie trzy tygodnie, gdy pewnego dnia zostaję wezwany do sztabu naszego pułku. Nie bardzo mogę go odnaleźć. Mam nieliczne kłopoty z odszukaniem kwatery głównej batalionu, docieram tam dopiero z pomocą przyjaciół. Przesłuchuje mnie porucznik Andersen. Jest trochę tak, jakbym się ubiegał o pracę. Zaraz na wstępie porucznik daje "spocznij", wychodzi zza biurka i ściska mi rękę, jakby spotykało się dwóch zwyczajnych ludzi, a nie strażnik i więzień.

- Szeregowy Duaimé, jestem porucznik Andersen. Odpowiadam za pułkowy pluton zwiadu i rozpoznania. Przystudiowałem dokumenty żołnierzy przydzielonych do tego pułku, szukając kandydatów do mojego plutonu. Uznałem, że odznaczacie się zdolnościami i postawą odpowiednimi do wykonywania zadań zwiadowczo-rozpoznawczych. - Urywa. Rozumiem każde słowo, które do mnie mówi, ale gdzieś umyka mi sens.

- Weźmiemy was na miesięczny okres próbny. Jeżeli udowodnicie swoją przydatność, zostaniecie przypisani do sztabu pułku i przeszkoleni w działaniach specjalnych, których będziemy się po was spodziewać. Nadal sterczę tam jak bałwan, nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza. Porucznik uśmiecha się i ciągnie dalej:

- Egzaminy na ASTPR zdaliście z najwyższą notą. Także wyniki ze szkolenia podstawowego, zwłaszcza biegłość w strzelaniu, wyróżniają was spośród innych żołnierzy. Jeśli zostaniecie przyjęci do naszego programu, zamieszkacie w osobnej, zdecydowanie lepszej kwaterze i automatycznie awansujecie do stopnia odpowiedniego dla waszego nowego przydziału. Przystaniecie służyć w kompanii liniowej. Jeżeli natomiast okażecie się niezdolni sprostać nowym wymaganiom, wrócicie do starego oddziału liniowego. Ciągłe stoję jak słup. Słuchając porucznika, próbuję ocenić, jak jego słowa mają się do zasadniczego celu

mojej służby w armii - PRZEŻYCIA! Czy dłużej zostanę wśród żywych, czy też prędzej stanę się ofiarą wojny? To dla mnie decyzja dużej wagi. Widzę, że porucznik oczekuje bardziej pozytywnej reakcji. Nie chcę jednak robić mu fałszywej nadziei, a z drugiej strony, jeśli oferuje mi jakąś korzyść, chciałbym ją przyjąć. Mam świeżo w pamięci katastrofalne skutki ofert, które niedawno złożyło nam wojsko.

- Rozumiem, że trudno wam podjąć decyzję, szeregowy Duaime. Chcę wam jednak wspomnieć o kilku korzyściach. Po pierwsze, jak już mówiłem, zostaniecie przydzieleni tutaj, do sztabu pułku. Do czasu aż znajdziemy się na poligonie, skończą się dyżury w kuchni i regularna służba wartownicza. Rozpoczniecie specjalne szkolenie wojskowe i ćwiczenia z użyciem różnych rodzajów uzbrojenia, w tym także ciężkich armat kaliber 155 mm. Przejdziecie ćwiczenia w warunkach maksymalnie zbliżonych do tych, jakie panują na polu bitwy, w tym specjalne szkolenie z ruchomymi modelami samolotów, do których będziecie strzelać z karabinów maszynowych kaliber .50 zainstalowanych na jeepach. Odbędziecie zajęcia z alfabetu Morse'a, aż nabędziecie wprawę na miarę żołnierza korpusu wojsk łączności. Nauczycie się też prowadzić różne pojazdy, od jeepa aż po czołg, oraz pobierzecie lekcje nawigacji lądowej, abyście wykazali się skutecznością w działaniach bojowych. - Milknie. Myślę, że głównie po to, by wziąć oddech. - Wasze przeszkolenie nie obejmie działań szpiegowskich. Ograniczy się tylko do operacji zwiadowczych, sankcjonowanych przez konwencję genewską i inne protokoły. Porucznik informuje mnie o szkoleniu spadochroniarskim z 82. dywizją powietrzno-desantową. Staram się nic po sobie nie pokazać. Wszystko, co chcę powiedzieć, zachowuję dla siebie do chwili, gdy porozmawiam z Mary. Prawdopodobnie jestem jedynym rekrutem zwiadu i rozpoznania, który radzi się własnej babci, ale kto wie - może zdarza się to częściej, niż ludzie się przyznają. Wreszcie oddajemy sobie honory i odmaszerowuję. Mam czas na zastanowienie. Wracam do koszar i piszę list do Mary, używając szafki do butów jako stolika. Mógłbym się zamknąć w kancelarii, ale czuję, że muszę się skupić, wyciszyć w tym ogromnym pomieszczeniu, w którym nie ma prawie nic oprócz koi. Opisując minione wydarzenia, zaczynam rozumieć, co naprawdę czuję. Wiem, że nie marzy mi się zostać komandosem ani nawet wzorowym żołnierzem. Obchodzi mnie jedynie to, jak ująć z życiem. Kiedy o tym piszę, czuję przepelniający mnie wstyd.

Zastanawiam się, jak zareaguje Mary. Reaguje dokładnie tak, jak się spodziewałem. Zauważa pragmatycznie, że zapewne będę bezpieczniejszy w pobliżu miejsca, gdzie stacjonują oficerowie, gdyż ci zadbali już o to, by mniej nadstawiać karku niż zwykli żołnierze. Po rozważeniu sprawy uznaję, że Mary ma rację. W drodze powrotnej do sztabu pułku wysyłam list. Ponownie odnajduję porucznika Andersena. Najwyraźniej cieszy się na mój widok; każe mi przenieść rzeczy do siedziby sztabu i powiadomić dowódcę plutonu o zaistniałych zmianach. Tej nocy śpię w kwaterze pułku. Po kilku dniach Stoję na baczność w odchudzonej kompanii piechoty. Trzy drużyny skurczyły się do dwóch i został tylko jeden pluton. Rozumiem teraz, dlaczego baraki świecą pustkami. Czemu wychodki są poprzedzielane ściankami, a między zlewami i lustrami jest dosyć miejsca, aby się spokojnie ogolić, nie martwiąc się, że odetnie się komuś ucho albo straci własne. Poza tym jest o wiele ciszej. Rzadziej słychać tupot nóg na schodach. Apel trwa krótko. Porucznik Andersen zdaje dowództwo porucznikowi Brensonowi po tym, jak daje nam rozkaz "spocznij". Powoli dociera do mnie drugi sens tego słowa. Mam wrażenie, że czuję się tutaj bardziej wypoczęty niż kiedykolwiek, odkąd opuściłem rodzinny dom. Porucznik Brenson przedstawia mnie i wita w plutonie. Zostaję przydzielony do drugiej drużyny w charakterze pierwszego zwiadowcy. Zdażyłem się zorientować, że w piechocie funkcja ta równa się mniej więcej pilotom kamikadze. Psuje mi to odrobinę apetyt przed śniadaniem. Jednak posiłek przywraca mi spokój ducha. W kantynie panuje cisza, a jedzenie jest dwa razy lepsze, bardziej urozmaicone i obfitsze niż w tych kompaniach liniowych, w których dotychczas służyłem. Jem, ile dusza zapragnie, czując się jak skazaniec na moment przed egzekucją. Po śniadaniu rozchodzimy się do własnych zajęć; rano wyjaśnia nam zasady działania systemów komunikacyjnych. Trafiam pod rozkazy młodego sierżanta, dowódcy mojej drużyny. Okazuje się, że zwiad i rozpoznanie przydziela te same zadania co zwykły pluton liniowy, tyle że żołnierzom niższym rangą. Wszystko wypada o jeden stopień niżej. Mnie to nie przeszkadza. Nie przyszedłem do piechoty, żeby się dochrapać awansu, ale po to, aby przeżyć. W myślach kreślę już list do Mary, opisując jej zmiany, jakie zaszły w moim życiu. Jedna z nich następuje niebawem. Zamiast ubioru polowego wkładamy lekkie letnie mundury, i bez karabinów idziemy spacerowym krokiem do baraku łączności, gdzie uczymy się alfabetu Morse'a. Ja przeszedłem podobne szkolenie w liceum na kursie maszynopisania,

który odbywał się przed lekcjami. Najpierw zapisywaliśmy pojedyncze litery, a potem całe wyrazy, które dyktowano nam z różną szybkością z płyt, aż osiągnęliśmy biegłość i dokładność. Z chwilą ukończenia kursu potrafiłem nadawać i odbierać do trzydziestu liter na minutę. Zdawało się nam, że dzięki alfabetowi Morse'a wygramy wojnę, ale ostatecznie porozumiewaliśmy się nim w klasie, wystukując końcówkami ołówków wiadomości, które chcieliśmy sobie przekazać. Praktyki te doprowadzały nauczycieli do szewskiej pasji i dyrekcja szkoły stanowczo zakazała "stukania w ławki". Wtedy obmyśliliśmy coś w rodzaju miniklubu, który pozwalał nam na kontakt wszędzie - w klasie, na boisku, w świetlicy. Często łapałem się na tym, że wylawiam z otoczenia różne powtarzające się odgłosy, na przykład zgrzyt tramwaju na torach, i szukam zakodowanych w nich wiadomości. W wysyłaniu i odbiorze wiadomości nabrałem niemałej wprawy. Toteż najważniejsze, czego się uczę na zajęciach ze zwiadu, to obsługa elektrycznego nadajnika klawiszowego. Pokazują nam też, jak obsługuje się przenośny odbiornik radiowy. Mimo swej przenośności waży on tyle, że razem z karabinem trudno jest go nieść. Bateria zasilająca tego typu radio ma z grubsza rozmiar i ciężar samochodowego akumulatora. W jej wnętrzu tkwią miedziane ogniwa z ciekłym elektrolitem, którym jest kwas siarkowy. Ćwiczymy przeszukiwanie i triangulację, aby zlokalizować inne odbiorniki, uczymy się też pracy w ciemnościach i w deszczu. Wszystko to szalenie mi się podoba i wykazuję się dużą skutecznością w działaniach na poligonie. Przez jedną cudowną chwilę wydaje się, że przeniosą mnie do korpusu wojsk łączności, gdzie żyłbym sobie jak pączek w maśle, ale porucznik Andersen zatrzymuje ten transfer. Wykonuję dwa skoki spadochronowe z tymi wielgachnymi odbiornikami przyczepionymi do grzbietu i jeszcze jeden, po którym muszę pokonać zaorane pole, odszukać zrzucony osobno odbiornik i odzyskać spadochron. Są to takie skautowskie harce, które sprawiają mi dużo radości. Z jeszcze większą frajdą opisuję je Mary. Któregoś razu wyznaje, że nie wierzy w połowę moich historyjek, ale zbytnio się tym nie przejmuję. Przez cały czas byłem przekonany, że ta była dywizja stanowa Tennessee nigdy nie zostanie wysłana za granicę, a co dopiero do boju. Dowodziło nią zbyt wielu kretynów. Nadal nie zgłębiłem bezmiaru wojskowej głupoty, ale szybko się uczę. Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku najwyraźniej zapada decyzja w naszej sprawie. Wydają nam nowe mundury, karabiny, menażki i nowiutkie

buty z paskami na cholewach. Próbują chyba wzorować się na spadochroniarzach. Nawet spodnie kombinezonów wydymają się nam nad butami jak balony. Wreszcie zaczynamy przypominać prawdziwych żołnierzy. Odbywamy siedmiodniowe manewry, w czasie których dzielą nas na dwie przeciwne kompanie, i udajemy, że ze sobą walczymy. Ustanowiono jakiś skomplikowany system sędziowania, decydując, kto jest trafiony, a kto żyje. Na mój rozum to taka wojskowa wersja zabawy w "policjantów i złodziei". Mary pisze, że popłakała się ze śmiechu, kiedy czytała opis tych manewrów. Nie zmienia to faktu, że lało jak z cebra, zmarliśmy na kość i czuliśmy się podle. Co prawda nie zarobiłem kulki, ale za to się przeziębilem. Dwa dni po manewrach, niosąc oficerską szafkę na buty, nadwreżam sobie krzyż. Blisko tydzień leżę w szpitalu, podczas gdy lekarze biedzą się nade mną. Mam czas podzielić się z Mary swymi odczuciami na temat bezsensu tego, co robimy. Widocznie nie za bardzo przykładają się do cenzury naszych listów, bo inaczej wyekspediowałiby mnie do Niemców jako szpiega. Próbujemy wyczytać z gazet, jak przebiega wojna, ale ja nie wierzę w to, co tam piszą. Jedyne stałe źródło wiedzy stanowi "Stars and Stripes", lecz ponieważ wojsko całkowicie to pismo kontroluje, lekceważę prawie wszystko z wyjątkiem wspaniałych komiksów Billa Mauldina. Moim zdaniem można się z nich dowiedzieć więcej o niedolach żołnierza piechoty niż z pierwszych stron gazet. Następnie ktoś gdzieś postanawia, że zamiast na południowy Pacyfik popłyniemy do Europy. Niespecjalnie się uskarżamy: mówi się, że dżungla i Japońce są gorsze od najgorszego, co może człowieka spotkać w Europie. Nikt nie raczy nas o tym poinformować, ale ze zmian w umundurowaniu i uzbrojeniu, jak też na podstawie tego, co wyczytujemy między wierszami w gazetach, domyślamy się, że wejdziemy w skład Wielkiej Inwazji w Europie. Posunięcie to było zbyt sensowne, by mogło narodzić się w głowach amerykańskich strategów; Mary sama się tego domyśliła i była zaniepokojona. Pod osłoną nocy wyjeżdżamy pociągami i ciężarówkami z Fort Jackson i docieramy do Nowego Jorku. Nawet dziennikarze nie mają do nas dostępu. Prawdę powiedziawszy, jeden z moich listów zostaje przechwycony i cenzor ze sztabu pułku zaczerpnął w nim wzmiankę na temat Europy. Biedna Mary wpada w popłoch. Wojna doprowadza ją do paranoi. Coraz bardziej zdają sobie sprawę, że ma rację. Wspinamy się nocą, z pełnym ekwipunkiem, po stalowych rampach i zagłębiamy się w czymś, co wygląda jak naga ściana, a w rzeczywistości jest

ogromnym statkiem cumującym przy nowojorskim nabrzeżu. Nim dociera do mnie, co się dzieje, pokonuję rampę i znikam w czeluściach statku. Zakwaterowano nas po ośmiu w kajutach przeznaczonych na dwie osoby. Upychamy nasz majdan gdzie się da i wyciągamy się na twardych pryczach. Porucznik Brenson wsuwa głowę do naszej kabiny i zlicza nas, mrużąc coś pod nosem. Później dowiaduję się, że na ten nowo przystosowany do przewozu wojsk statek zaokrętowano piętnaście tysięcy ludzi; na wojnę popłynęliśmy na "Queen Elisabeth", wówczas największym statku pływającym po morzach i oceanach. Wtedy wiedzieliśmy jedynie, że wyruszamy w drogę przed świtem, nie mając eskorty. Ścigamy się z niemieckimi UBootami. Gdy dobiega nas sygnał SOUPY SOUPY SOUP, wyszarpujemy z plecaków nowe menażki i maszerujemy wąskimi korytarzami poprzez trzewia tego gigantycznego potwora, by się ustawić w długim ogonku. Po wielu godzinach dochodzimy do tak zwanej mesy, gdzie kuchciki ładują nam do menażek breję zwaną jedzeniem, a do kubków wlewają lurę zwaną kawą. Najpierw sądzimy, żeśmy się nią upili, bo ledwie się trzymamy na nogach. Potem zdajemy sobie sprawę, że statek wychodzi z portu i to nie my kolebiemy się na nogach, lecz on kolebie się na fali. Przeciskamy się do naszych kajut, schodami w górę, to znowu w dół, próbując się nie zgubić. W jednej ręce ściskam kubek kawy, w drugiej zamkniętą menażkę. Gdy docieram do kabiny, jedzenie jest już zimne. Usiadłszy na skraju górnej pryczy, z głową pod sufitem, stwierdzam, że opuścił mnie apetyt. To pewnie przez to chybotanie statku. Znowu rozwalam się na pryczy. Z całych sił próbuję zatrzymać jedzenie w żołądku, przecież nie jesteśmy jeszcze nawet na pełnym morzu; ciągle znajdujemy się w nowojorskim porcie. Popijam kawę i udaje mi się zasnąć. Kiedy się budzę, nie wiem, czy to dzień czy noc. Statek porusza się, my zaś mamy wrażenie, jakbyśmy się znaleźli w jakiejś zbzikowanej windzie, która pędzi dwadzieścia pięter w górę, by za moment zjechać trzydzieści w dół. Dopóki nie stoję na nogach, nie wyczuwam specjalnie ruchu poziomego. Muszę udać się do toalety. Kibełek mieści się spory kawał od naszej kajuty, ale udaje mi się go odnaleźć. Nie jestem całkiem pewien, z czego chcę się wypróżnić, wydaje mi się jednak, że osiągam w tym względzie rozsądny, choć zgniły, kompromis. Kiedy wracam do kajuty, wszyscy siedzą z wyściółkami hełmów na głowach i rzygają do pustych skorup, po czym biegną przez korytarz, by opróżnić hełmy. Nie trzeba pola bitwy, żeby nas wykończyć, ten statek wnet uczyni z nas

inwalidów wojennych. Wyleguję się spokojnie na pryczy, delektując się podróżą, kołysaniem i stękaniami dochodzącym z głębi statku. Pogodziłem się już z myślą, że nigdy nie dotrę tam, dokąd płyniemy. Rozważam, co napiszę do Mary. Jej istnienie jest jak drewniana tratwa na wzburzonym morzu, coś, czego można się uchwycić. Gryzmołę przy mdłym sufitowym świetle, a moje pismo musi sugerować, że albo mam atak epilepsji, albo jestem pijany. Ciekawe, jak wysłę list ze środka oceanu. W drzwiach staje pozieleniały na twarzy porucznik Brenson, dowódca plutonu.

- Jak ktoś chce wyjść na pokład, niech zrobi to w ciągu następnej półgodziny. Co cztery godziny każda kajuta będzie miała półgodzinny dostęp do pokładu. Teraz wasza kolej. Trzymajcie się linek i nie podchodźcie za blisko burty. Co powiedziawszy, znika. Przerwywam pisanie i złażę po niższych pryczach na podłogę. Dołączam do wielkiej wędrówki ludów ciągnącej ku pokładowi, drogę wskazują nam żołnierze z patrolu brzegowego. Docieram do otwartego włazu na pokład, nie mogąc się doczekać powietrza. Gramolimy się po ukośnej, podskakującej drabinie, po czym przylegamy do siebie w nagłych porywach wiatru. Straciwszy z oczu moich współpasażerów, przedzieram się na przód statku, tak daleko, jak pozwolą mi pójść, i oparty o grodz oddycham głęboko. Jakiś podoficer wydziera się na mnie, że nie mam wykładziny hełmu na głowie, ale kompletnie go lekceważę. Próbuję oddychać, dopóki mogę. Pół godziny spędzone na pokładzie przywraca mnie do życia. Jestem gotów wrócić do kabiny i dokończyć pisanie listu. Schodzę pod pokład, wspinam się po pryczach moich towarzyszy i ponownie wyciągam na swojej koi. Piszę na leżąco, opierając głowę o hełm. Postanawiam nie wspominać o niedogodnościach podróży statkiem. Mary tylko by się zmartwiła. Koncentruję się na pięknie oceanu widzianego z pokładu. Prujemy przez północny Atlantyk jak opętani. Przeprowa trwa niespełna pięć dni - to chyba nowy rekord. Przez całą drogę statek wierzga i bryka niczym dziki rumak. Odkrywam opustoszałe pomieszczenie, w którym jest wanna. Napełniam ją wodą i walę się do środka, aby zmyć z siebie przykry zapach, który się za mną snuje: potu, wymiotów i ogólnego odoru, jaki panuje, gdy wielu mężczyzn przebywa w zamknięciu przez dłuższy czas. Odkrywam jednak, że można zrobić z wanny także inny użytek. Woda chlupocze o jej ścianki, ale gdy tam włożę, chlupotanie wyraźnie słabnie. Przekonuję się, że kołysanie statku staje się łagodniejsze. W jakiś sposób wanna łagodzi

chybotanie, tak że kiedy pływam w wodzie, mój żołądek zachowuje się mniej więcej normalnie. Upewniam się co do słuszności swego odkrycia i pędzę do kajuty po książkę, którą upchałem razem z przyborami do jedzenia. Ma tytuł Wieczny bursztyn. Właśnie tego mi było trzeba, by ukoić obolałą duszę. Od tej pory albo stoję na pokładzie, wciągając w płuca powietrze, albo pływam w wannie, oddając się lekturze tej pikantnej powieści. Dawajcie tę wojnę, ja jestem gotów! Opisuję Mary swoje nowe doświadczenie wodowania na wodzie, ale o Wiecznym bursztynie milczę jak grób. Świsnąłem tę powieść z kosza na śmieci w kancelarii, którą słusznie uważa się za śmietnisko. Któregoś dnia leżę na pryczy, gdy w pewnym momencie statek przestaje histeryzować. Wymykam się z kajuty na pokład. Nadal cisza. Potem, gdy wychodzę znowu, pokład roi się od ludzi. Wszyscy zapomnieli o półgodzinnym ograniczeniu w dostępie do pokładu. Wyspa na tle wody wygląda pięknie, ale największe wrażenie robi zalegająca w porcie cisza. Ludzie pozdrawiają nas machaniem i odpowiadamy im tym samym. Po raz pierwszy w życiu widzę wyspę i kraj inny niż Ameryka. Dowiadujemy się, że to Irlandia! Do statku podpływają małe motorówki Padają polecenia: mamy wrócić do kajut i spakować manatki. Jestem tak podekscytowany, że omal nie wymiotuję; mógłbym w końcu porządnie zrobić to, na co zbierało mi się przez całą drogę. Pakuję się i wyciągam Wieczny bursztyn, służący mi za biurko, przy którym piszę list. Mówię Mary wszystko - jak to jest, patrzeć z ogromnego statku na obcy ląd, i że czuję się niemal jak podróżnik. Prawie zapominam, że jestem żołnierzem, którego uprowadzono na wojnę! Staram się jej wytłumaczyć, że chociaż nigdy nie byłem tak oddalony od domu, nie odczuwam nostalgii, lecz tylko rodzaj smutku, że żyjąc tyle lat na świecie, nie widziałem dotąd czegoś równie pięknego - góry wyrastającej z wody. Żałuję, że Mary nie może tego oglądać wraz ze mną. Wiem, że urodziła się w Kanadzie, więc z pewnością potrafi to sobie wyobrazić. Unoszę się w zachwytach nad ciemną zielenią morskiej wody i błękitem nieba z miękkimi białymi chmurami. Odmalowuję prawie ilustrację do dziecięcej książeczki. Kiedy jestem zajęty pisaniem, na pokład przepycha się porucznik Martin, oficer odpowiedzialny za pułkową orkiestrę, prowadząc ze sobą około dziesięciu ludzi z instrumentami. Zaczynają grać Gwiazdzisty sztandar. To dobry pomysł - miło jest usłyszeć narodowy hymn w takim miejscu. Trzymający megafon pułkownik oznajmia, że wylądowaliśmy w Irlandii, po czym zaraz dodaje, że jest to

informacja poufna, której nie wolno nam ujawniać w korespondencji do domu. Ma się rozumieć, natychmiast piszę o tym Mary. Przytaczam kilka linijek z piosenki pod tytułem Mary. "Bo to była Mary, Mary, najśłodsze imię, jakie znam. Przyzwoici ludzie powiedzą Marie, ale ja wolę staromodne Mary". Wiem, że babcia nie jest Irlandką, ale nie znam żadnych francuskich pieśni. Spoglądam na zielone wzgórza pączkujące z morza i zasnuwane błękitnymi pasemkami chmur unoszącymi się znad wody. Wylądunek zajmuje całe przedpołudnie. Dopiero teraz widać, ilu ludzi i jak wiele sprzętu pomieściło się na "Queen Elisabeth". Są tutaj jeepy, ciężarówki i wszelkie uzbrojenie, niezbędne do prowadzenia wojny. Marynarze i podoficerowie wywołują nas z kajut. Pokonanie wąskich metalowych schodni i przeciskanie się przez korytarze to nie lada sztuka. Dobrze, że nie cierpię na klaustrofobię. Optymistyczniej nastraja mnie list do Mary, który kończę pisać w głębi serca. Gdy przychodzi moja kolej, złażę po trapie na ląd i dołączam do szeregu ustawionego na nadbrzeżu. Powietrze jest rześkie i czyste, nie licząc okrętowych zapachów i smrodu spalin z silnika diesla. Nieopodal sterczą ciężarówki z odkrytymi plandekami, do których wsiadamy - po drużynie na ciężarówkę. Zdaje się, że auta ruszają jednocześnie i w żółwym tempie posuwają się wzdłuż brzegu. Próbuję wypatrzeć, dokąd jedziemy, ale udaje mi się jedynie stwierdzić, że wylądowaliśmy nie tyle na wyspie, ile raczej na półwyspie albo w jakimś porcie. Konwój zatrzymuje się zaledwie dwie, trzy mile dalej, na stacji kolejowej, gdzie zostajemy - jak bydlę wprowadzeni prosto do wagonów. Znajduję wolny przedział, rzucam płócienny worek na półkę i opadam na drewnianą ławkę podobną do tych w trolejbusach. Dłuższy czas siedzimy tak w półmroku, przy zaciągniętych zasłonkach. Dostajemy instrukcje zakazujące nam kontaktów z miejscową ludnością i wysyłania listów do Ameryki z informacją, gdzie jesteśmy. Albo jest to najlepiej, albo najgorzej strzeżona tajemnica, jaką można sobie wyobrazić. Tkwimy na tej stacji chyba z pół dnia. Otrzymujemy racje polowe, abyśmy mieli czym zająć myśli. Pojedynczo chodzimy na drugi koniec pociągu, by napełnić kawą żeliwne kubki i pobrać dodatkowe papierosy, oprócz trzech zawartych już w racjach. Wpycham je do kieszeni polowej kurtki. Wyciągam Wieczny bursztyn i kładę na nim przybory do pisania. Próbuję dać Mary wyobrażenie o tym, co się dzieje, ale ścisk jest taki, że nie sposób pisać. Zresztą jestem zbyt podekscytowany i przestraszony, żeby napisać coś sensownego. W końcu zdejmuję hełm; na głowie mam tylko wełnianą czapkę.

Odchylam się na oparcie i próbuję rozkoszować się odmianą, jaką stanowi przebywanie w nieruchomym pojeździe. Nachodzą mnie refleksje i lęki związane z tym, w co się pakuję. Wiedziałem, że jadę się bić na wojnie, ale myślałem o tym w kategoriach abstrakcyjnych. Pomyśleć, że armia przeniosła mnie z Filadelfii do Dix i z Benning do Jackson, przerzuciła statkiem przez Atlantyk, a teraz przetacza mnie pociągiem, szykując Bóg wie do czego. Może ocknę się w ogniu walki. Kto to wie? Ale jest inaczej. Po zapadnięciu zmroku wracamy do ciężarówek i ruszamy dalej. Jakimś cudem kierowcy znajdują drogę. Jedziemy przez mgłę z wygaszonymi światłami. Powietrze jest bardzo ciężkie i wilgotne, choć deszcz nie pada. Znowu pragnę podzielić się tymi spostrzeżeniami z Mary, lecz papier nasiąkłby jak gąbka, a i ołówek odmówiłby pewnie posłuszeństwa. Walę się jak kłoda spać, zdążywszy tylko zrzucić buty. Budzą nas dwie godziny później. Wytaczamy się na środek dziedzińca, zwany teraz "ulicą kompanii", i stajemy w szeregu. W oczach mam mgłę, ledwo jestem w stanie trzymać prosto głowę. Zostawiłem wyczyszczony karabin na łóżku. Ponieważ nie było stojaków, większość zapomniała zabrać broni. Uzbrojeni w menażki maszerujemy do innego budynku. Z grubsza przypomina naszą kwaterę, tyle że nie ma prycz. To zaimprovizowana stołówka z ogromnymi kotłami pełnymi jedzenia i kociołkiem z kawą. Ciągłe senny, dowlekam się na miejsce. Jedząc swoją porcję, prawie nie czuję smaku. Choć umieram z głodu, nie mam apetytu. Kiedy wśród rozgwaru kończymy obiad, wchodzi porucznik Andersen i podoficer daje sygnał "Bacność!" Wszyscy się prężymy, mniej lub bardziej odchyleni od pionu.

- No, chłopcy. Tymczasem tu będzie wasz dom. Wyśpijcie się dziś dobrze, pobudka będzie o siódmej. Rozbierzcie się i na razie powieście mundury na gwoździach w ścianie. Jutro czeka nas ciężki dzień. Mamy mnóstwo roboty, więc capstrzyk będzie już za pół godziny. Rozejść się! Nie ma deseru! Człapiemy z powrotem po schodach. Porządniejsi z nas rozbierają się i wieszają ubranie i ekwipunek. Kilku żołnierzy kleci nawet stojaki na karabiny. Bynajmniej nie przypominamy oddziału bojowego. Wpełzam pod ciężką, szorstką derkę i zasypiam, nim zdążę się poskarżyć na swój los. Nie wiem, kto tu wyłącza światło, ale gdy budzę się w nocy, by zejść do znajdującej się u podnóża schodów latryny, na schodach pali się żarówka. Jeśli światło nie zgaśnie, napiszę parę słów do Mary. Chcę podzielić się z nią swymi przeżyciami i tym, co o nich myślę. Gdy zasypiam, wydaje mi się, że znów jestem w jej

malutkiej szwalni na Robinson Street w południowo-zachodniej Filadelfii. Wizja jest bardziej realna niż kiedykolwiek przedtem. Z tą myślą usypiam. Gdy rano zbieram siły, aby podnieść się z pryczy i zejść do latryny, większość drużyny już wstała i kręci się po pokoju. Wielu kłania się zlewom albo siedzi w wychodku. Widok znajomy z amerykańskich koszar, tutaj jednak wszystko jest nadgryzione zębem czasu i nie odpowiada normom. Na podłodze widać ślady po śrubach, którymi przykręcono maszyny. Ćwiczymy zwykłą zbiórkę na ulicy, w mundurach i z karabinami na ramionach. Gdy stoimy na baczność, sprawdzają listę obecności, następnie przechodzimy do stołówki. Dostajemy dobre naleśniki z jajkiem i bekonem. Wyglądają i pachną niebiańsko. Taki jestem głodny, że zjadam dwie dokładki. Po śniadaniu ponownie zbieramy się na "ulicy kompanii" i wysłuchujemy rozkazów dziennych.

- Macie posłać prycze tak jak zwykle. Dostaniecie szczotki i mopy, żeby posprzątać wokół łóżek. Szafki na buty zostały zarekwirowane oddziałom, które stacjonowały tu przed wami. Wybierzcie sobie szafkę i postawcie ją w nogach pryczy, jak to robicie w domu. Ułóżcie w niej sprzęt tak, jak was uczono na szkoleniu podstawowym. Zrozumiano? Jeden z szeregowych podnosi rękę. Podoficer spostrzega go.

- Sir, w domu nie mamy szafek na buty. Wszyscy parszczą śmiechem. Dobrze, żołnierzu. Umówmy się, że macie szafkę, i zróbcie w niej porządek. Dziś po południu dokonam przeglądu i spodziewam się zastać wszystko jak należy. Niektórzy z was będą mieli szansę dostać przepustkę na miasto. Eleganckie szafki pomogą wam ją zdobyć. Ciągłe tęsknię za deserem. Wiem, że na śniadanie nie daje się deseru, ale ta myśl wszędzie za mną chodzi. Rozgrzebuje swoją pryczę i usiłuję posłać ją od nowa, tak jak pokazywano nam w Fort Benning. Kiedy słyszę, co się wokół mnie wygaduje, nie wierzę własnym uszom:

- Rozmawiałem z chłopcami ze stołówki i wiecie, co mi powiedzieli? Że w tym budynku mieszkali przed nami ci z batalionu ciężarówek. Chyba wiecie, co to znaczy? Czarnuchy! Włazimy do łóżek, w których spały czarnuchy. Kilku innych to podchwytuje i robi się niezły harmider. Oświadczają, że zgłoszą ten fakt sierżantowi plutonu i porucznikowi Andersenowi. Wiedziałem, że trafiłem do grupy walców z Tennessee i Arkansas, ale miarka się przebrała. Nie wiem, czy mam się odezwać, czy siedzieć cicho. Po chwili jest za późno: nikt nie chce się wychylić. Ci kretyni są tak nasrożeni i zacietrzewieni, że ściągają z prycz materace i ciskają je

przez okno. Zabierają także mój. Gdy hałas nieco przycicha, zjawiają się sierżant i dowódca patrolu. - Okej, ośle łby. Jak nie chcecie spać na wygodnych pryczach, gniewcie się na podłodze. Nie będziemy robić z tego sprawy, chociaż wyposażenie, które wyrzuciliście przez okno, należy nie do was, tylko do wojska. Sierżant sobie, a tymczasem reszta plutonu podpala materace. Płomienie ogniska strzelają w górę, trawiąc łatwopalną jutę i słomę. Stoimy bez ruchu. Podoficerowie i oficerowie oddalają się. Nikt nie panuje nad tą zgrają dzikich rasistów. Pochodzę z ubogiej dzielnicy, w której było mało czarnych ludzi, toteż nie bardzo się przejmuję. Prycze składają się z płóciennych pasów naciągniętych na drewniane ramy, więc straty są niewielkie. Jakoś urządzamy się na ogołoconych z materacy kojach.

- Co to, to nie, sir - stwierdza któryś z prowodyrów. Nie będę kimał na ziemi ze szczurami tylko dlatego, że spała tutaj banda czarnych sukinsynów. Wszyscy kładą się więc na płóciennych pasach. Co do mnie, wsuwam pod siebie obydwie koce i dochodzę do wniosku, że mogę spać w rzeczach. Kilku chłopców znalazło gdzieś starą, opalaną drewnem kozę, którą ustawiają pośrodku pomieszczenia. Rura piecyka uchodzi przez dach na zewnątrz. Sierżant z pierwszej drużyny organizuje zespoły ogniowe, które mają kolejno czuwać przy kozie i dorzucać drewna; przypuszczam, że mają też nadzieję, iż uchronią całą tę szopę przed spalaniem. Odnoszę dziwne wrażenie, że cofnąłem się o kilka szczebli w rozwoju cywilizacji, że jeszcze trochę, a będziemy żreć surowe mięso. Czyż nie do tego dąży wojsko - by obudzić drzemiące w nas zwierzę? Skoro wysyłają nas, żebyśmy zabijali, najpierw muszą uczynić z nas zabójców. Większość żołnierzy, grzejąc się przy ogniu, siedzi na pryczach i czyści broń. Karabiny nie mogą być brudne, bo na strzelnicy używaliśmy innej broni. Wyfasowano nam całkiem nowy sprzęt - karabiny, bagnety, menażki, zapasowe magazynki itd. W wojsku odchodzi straszne marnotrawstwo. Późnym wieczorem smaruję list do Mary. W zaadaptowanych na kancelarię koszarach znalazłem trochę papieru. Pokój jest opustoszały, nie ma tam nawet biurka i stołów. Ale żarówki są mocniejsze. Znowu piszę na Wiecznym bursztynie. Nie widzę tu żadnych książek. Pewnie poprzedni lokatorzy nie przepadali za czytaniem, to samo można powiedzieć o tym stadzie zwierząt, z którym teraz mieszkam. Mam kancelarię dla siebie do godziny dziesiątej, kiedy zaczyna się cisza nocna i gasną światła. Droga Mary, Odkryłem coś nowego o sobie: jestem nadwrażliwy. Lubię proste czynności, takie

jak czyszczenie zębów, mycie nóg i czesanie włosów. Nie podoba mi się też mój zapach, kiedy długo maszeruję z miejsca na miejsce. Tymczasem zaczyna brakować mydła i pasty do zębów. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki byłem rozpieszczony; nie spodziewałem się, że tego może nie być. Pobyt w Dix, Benning i Jackson niczego mnie nie nauczył. Może tu chodzi o Anglików? Słyszałem, że brakuje im wielu podstawowych artykułów, na przykład jajek i masła. Kiedyś nie mieściło mi się w głowie, że będę jadł czerstwy, nie posmarowany masłem chleb. Ale to nie wszystko. Mieszkam wyłącznie z Amerykanami i przekonuję się, że nie mam z nimi nic wspólnego. Niedawno wyrzucili wszystkie materace z prycz tylko dlatego, że spały na nich "brudasy". Jak wojsku udaje się rozwiązywać te problemy? Wiem, że czarni chłopcy pracują głównie w korpusach wojsk łączności i transportu, nie w jednostkach bojowych. Przypuszczam, że dowódcy im nie ufają albo coś w tym stylu. Daję słowo, że chyba zgodziłbym się być czarny, gdybym dzięki temu miał dbać tylko o dostawy i jeździć ciężarówkami. Czułbym się jednak prześladowany z racji wykonywanej pracy, a to z kolei trudno by mi było znieść. Sądzę, że w wojsku po prostu nie ma dla mnie miejsca. Nie uważam, żeby ludzie tak bardzo różnili się od siebie, bo mają inny kolor skóry. Co ty o tym myślisz? No cóż, spróbuję teraz zdrzemnąć się na tych resztkach pryczy. Pewnie obudzę się z uczuciem, że jestem zaginioną egipską mumią. Uważaj na siebie. Nie wychodź na mróz. Wiem, że teraz w Filadelfii jest zima. Ubieraj się ciepło - noś szal, czapkę i rękawiczki. Dobranoc. Twój Will

ROZDZIAŁ 11

Tydzień później, w niedzielę, dostaję przepustkę. Obchodzę wzdłuż i wszerz miasteczko, które nazywa się Bidulph. Metalowe poręcze okalające parki i ogrody zostały pozrywane. Gdy o nie pytam starszego jegomościa, ten wyjaśnia uprzejmie, że mamy wojnę i cały metal przetapia się na działa. Poręcze kazało usunąć wojsko. Nie jestem pewien, czy żartuje, czy mówi poważnie, ale okazuje się, że to prawda. Kiedy ludzie mają wyrzuty sumienia albo gdy mogą powołać się na patriotyzm, są gotowi na wszystko. Za miastem zauważam pasące się owce. Nie pozwalają mi się do siebie zbliżyć, a ja nie bardzo się staram. Miło je widzieć, bo w Bidulph widzi się jedynie - lub słyszy - pracujące młyny. Mamy zakaz wstępu do nich. Wszystko zresztą w tym mieście objęte jest dla nas zakazem. W niektórych kościołach odbywają się potańcówki. Żołnierze mogą tam wchodzić za darmo, toteż wybieram się na kilka. Przychodzi mnóstwo dziewcząt, większość pracuje w młynach i interesuje się nami równie mocno, jak my nimi. Ale tańca jest jak na lekarstwo, a dobrej muzyki jeszcze mniej. Niewielki zespół, złożony ze starych muzykantów, gra na bębnach, trąbkach i saksofonie, ale do ich muzyki właściwie nie da się tańczyć. Dziewczyny podchodzą i biorą nas za ręce, a gdy rozbrzmiewa muzyka, wszyscy tworzymy koło i tańczymy w nim. Najbardziej gustują w tańcu, który nazywa się hopka czy jakoś tak. Tańczą, śpiewają i usiłują nauczyć nas kroków. Jak żyję, nie widziałem głupszego tańca. Najpierw wysuwa się prawą nogę do przodu i potrząsa nią na wszystkie strony, potem wysuwa się lewą nogę i resztę ciała, aż człowiek znajdzie się w kole - wtedy wszyscy wpadają na siebie, starając się "obłapić", to znaczy chłopcy próbują złapać i pomacać każdą dziewczynę, jaka im wpadnie w ręce; one zresztą nie mają nic przeciwko temu. Przypominają mi się potańcówki organizowane przez Irlandczyków naprzeciw "Chez Vous" przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Tyle że te pląsy nie mają nic wspólnego z tańcem, coś takiego mogłaby wymyślić nauczycielka wychowania fizycznego, aby katować swoje uczennice. Na koniec odstawiliśmy jeden wspólny taniec, wymachując rękami i stawiając kroki w rytm piosenki Zapamiętamy Pearl Harbor. Nie wiem, ilu z nas zapamięta Pearl Harbor, ja w każdym razie nieprędko zapomnę o tym tańcu. Wracam do koszar i piszę list do Mary. Obawiam się, że mi nie uwierzy, chociaż niewykluczone, że

kiedy była małą dziewczynką, wieśniacy bawili się w równie głupi sposób. Kręcąc się po miasteczku, natrafiam na sklep z gazetami i artykułami papierniczymi. Wchodzę tam z nadzieją, lecz bez większej wiary, że znajdę do czytania coś, co lubię. Kiosk prowadzi starsza kobieta wraz z córką. Tłumaczę, że chciałbym kupić książkę, ale nie mają książek.

Dziewczyna mówi, że w miasteczku jest biblioteka, ale o tej porze jest nieczynna. Mówi, że pokaże mi drogę. Matka nie wydaje się zachwycona tym, że dziewczyna wychodzi ze mną, ale ja jestem zdesperowany. Okazuje się, że biblioteka mieści się w ratuszu w centrum Bidulph. Kiedy spacerujemy wolno przez miasto, zauważam, że dobrze mi się z nią rozmawia, czego nie mogę powiedzieć o innych młodych kobietach. Interesuje się tym, co czytam i których pisarzy lubię najbardziej. Odpowiadam, że bardzo lubię powieści Amerykanina Zane'a Graya, że przeczytałem też Zbrodnię i karę oraz Komu bije dzwon. Ona również czytała Dostojewskiego. Ja przeczytałem Zbrodnię i karę tylko dlatego, że w liceum była to lektura obowiązkowa. Dziewczyna wypytuje mnie o Ernesta Hemingwaya, gdyż przyjaciółka opowiadała jej o Słońce też wschodzi i o jego opowiadaniach. Zawstydzam mnie - znacznie lepiej się orientuje w literaturze niż ja. Poza tym odkrywam, że jest starsza. Ma dwadzieścia trzy lata.

- Żałuję, że tak mało czytam. Lubię czytać, właśnie dlatego chciałem kupić książkę, ale w szkole uczyłem się głównie matematyki i fizyki i nie starczało mi czasu na czytanie. A potem wciągnął mnie sport i żyłem tylko nim. Nie wyjawiam, że książki w naszym domu gościły rzadko. Nie było nas na nie stać, a jeżeli rodzice cokolwiek czytali, to gazety i czasopisma. Kiedy tak przechadzamy się niespiesznie, dziewczyna obraca ku mnie głowę i się uśmiecha.

- Więc mógłbyś powiedzieć o sobie, że jesteś typowym Amerykaninem?

- Chyba tak. Ale muszę też powiedzieć, że jeśli ludzie, z którymi teraz mieszkam, są typowymi młodymi Amerykanami, to ja nim nie jestem.

- Co masz na myśli? - pyta, patrząc na mnie. Opowiadam jej o materacach, które spalono tylko dlatego, że spali na nich Murzyni. Mówię, że nie mam z kim pogadać na ciekawe tematy, że mało który żołnierz cokolwiek przeczytał i że ich pomysł na dobrą zabawę polega na żłopaniu piwa. Trzepię jęzorem jak najęty.

- Innymi słowy, zachowują się jak typowi młodzi Anglicy, którzy nie zdobyli

wykształcenia.

- Chyba tak. Ale większość to mili chłopcy. Prawdę mówiąc, moją grupę przerzucono tutaj prosto ze studiów na amerykańskim uniwersytecie. Wybrano nas jako wybitnie inteligentnych. Trudno w to uwierzyć, ale to prawda. Odchyła głowę i się śmieje. Nagle wskazuje punkt za moimi plecami.

- Biblioteka jest tam. Otwarta codziennie oprócz niedziel, od dziesiątej do czwartej. Właściwie nikt z niej nie korzysta. Mama i ja mamy ją dla siebie. Jak widzisz, Anglicy, a raczej Angielki, niewiele się różnią od Amerykanów. Bardzo mało czytają. Uczniowie mają zadane lektury, ale jak tylko opuszczą szkołę, przestają czytać. Być może w Ameryce jest podobnie.

- Mamy publiczne biblioteki i księgarnie. Ale ja najczęściej nie mam pieniędzy na kupno książek. Pożyczam je od przyjaciół i dzielę się swoimi zbiorami. Czasem kupuję też używane książki. W sumie jednak masz rację: Amerykanie nie należą do zagorzałych czytelników, są zbyt zabiegani: kupują samochody, motory, rowery i jedzenie, hot dogi i hamburgery. Taka jest Ameryka.

- My kupujemy ryby z frytkami. Jadłeś to już?

- Słyszałem o tym i chciałbym spróbować. Tak oto toczy się nasza rozmowa. Dziewczyna oznajmia, że musi wracać do sklepu, i zaprasza mnie, bym ją odwiedził ponownie. Zrywa się do biegu, ale zaraz okręca się na pięcie.

- Będę tam po szkole między czwartą a szóstą. Jeśli będziesz mógł przyjść, porozmawiamy jeszcze. - Znów rusza przed siebie i przystaje. - Pożyczę ci którąś z moich książek. Z tymi słowy znika. W ten sposób poznaję dziewczynę, która była moją pierwszą miłością. Wieczorem piszę o niej do Mary. Próbuję przekazać, co czuję, i wyjaśniam, że mimo krótkiej znajomości bardzo się do niej zbliżyłem. Przyznaję też, że czuję się przy niej niedokształcony i młodszy niż w rzeczywistości. Tego samego wieczoru kończę czytać Wieczny bursztyn. Książka nadal mnie nie zachwyca, ale innej nie mam. Zanim ogłoszą capstrzyk, przechadzam się wzdłuż rzędów prycz po obu piętrach, rozpytując, czy ktoś nie mógłby mi pożyczyć książki. Wyniki moich poszukiwań są skromne: jeden egzemplarz Księgi Mormona i jedno pismo z panienkami. Mogłem się tego spodziewać. Tej nocy, kładąc się spać, postanawiam się dowiedzieć, jak dziewczyna ma na imię, i spotkać się z nią ponownie.

Nazajutrz tuż po śniadaniu, o siódmej trzydzieści, nasz pluton wyrusza na pieszą wyprawę w pełnym oporządzeniu polowym. Marsz w nowych butach, których człowiek nie zdążył rozchodzić, bywa bolesny. Mam na sobie mundur khaki, kurtkę polową i lekką bieliznę. Dźwigamy taśmy z amunicją, pełne menażki, bagnety i apteczki. Przez dwie mile maszerujemy w wojskowym tempie, stawiając trzydziestocalowe kroki, po dwa kroki na sekundę, a potem wracamy w tym samym tempie. Gdy pada rozkaz "Rozejść się!", jesteśmy wycieńczeni. Obliczam, że pokonaliśmy około dwunastu mil. Nikt nie "pęknął", więc porucznik Andersen jest z nas zadowolony. Nie jestem pewien, ale zdaje się, że większość oddziałów skoszarowanych w okolicznych młynach przeszła podobny marsz. Gdy stajemy w szeregu, Andersen oświadcza, że po południu będziemy robić przysiady i pompki. Rozlega się gremialny jęk skargi; porucznik każe nam wracać do koszar. Sądzę, że oni po prostu nie wiedzą, co z nami począć. Na obiad są pulpety wieprzowe, twarde jak kamienie i wygotowane tak, że w zasadzie nie czuje się smaku. Mimo to zjadam trzy pulpety z ziemniakami i zieloną fasolą. Gimnastyka okazuje się całkiem znośna, po niej zaś odbywa się pogadanka o tym, na czym będą polegać nasze zadania w zwiadzie i rozpoznaniu. Chociaż wciąż nie wydano oficjalnego komunikatu, co będziemy robić po opuszczeniu Anglii, jesteśmy przekonani, że weźmiemy udział w inwazji na Europę. Pytanie tylko kiedy. Andersen mówi, że za tydzień albo dwa będzie wiedział coś konkretniejszego. Kończymy o wpół do czwartej i dostajemy pozwolenie na wyjście do miasta, z tym że nie wolno nam wdawać się w rozmowy z miejscowymi. Odczekuję do czwartej, a potem idę do sklepu papierniczego. Jakby co, mam wytłumaczenie: chcę kupić papier rysunkowy i podkładkę.

Dziewczyny nie ma w sklepie, ale jej matka tym razem jest bardziej przyjazna.

Ucinamy sobie pogawędkę, gdy pojawia się córka, niosąc pod pachą dwie książki.

- Miałam nadzieję, że przyjdiesz. Przyniosłam książki, które być może ci się spodobają. Jedną napisał Lawrence Durrell, a drugą jego brat Gerald, ten, który ma ogród zoologiczny na wyspie Jersey. Myślę, że przeczytasz je z przyjemnością, zwłaszcza tę o zoo. To jedna z moich ulubionych lektur. Zwraca się do matki, aby nas sobie przedstawić, i wtedy zdaje sobie sprawę, że nie wie, jak mam na imię, podobnie zresztą jak ja nie znam jej imienia. Rumieni się.

- Nazywam się Bert du Aime - spieszę z pomocą. - To francuskie nazwisko, może wkrótce odwiedzę kraj swoich przodków.

- Ja się nazywam Violet Simons, a to jest moja matka. Jesteśmy bardzo rade, że cię poznałyśmy, i mamy nadzieję, że miło spędzisz czas w Anglii, nawet jeżeli będziesz tu krótko. Na moment zapada krępujące milczenie. Upatrzyłem już sobie szkicownik, o który mi chodzi, mam też przy sobie brytyjskie funty, które wymieniłem w koszarach. Stoimy we troje, milcząc.

- Mamo, czy pozwolisz, że pójdziemy na spacer? Chcę pokazać panu Bertowi nasze miasteczko i okolicę. Na pewno spodoba mu się nasz wiejski kościółek, jeżeli jest jeszcze otwarty.

- Raczej zamknięty, kochanie. Ale miłej przechadzki. Wychodzimy. Violet zamyka za sobą drzwi i lekko ujmuje mnie za rękę. Czuję się jak prawdziwy dżentelmen, spacerując wąską uliczką z piękną dziewczyną u boku. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek przedtem dziewczyna trzymała mnie w ten sposób. Owszem, z wieloma dziewczętami tańczyłem jitterbuga, fokstrota, a nawet walca, ale to był jedynie taniec. Jeśli z którąś z nich spotykałem się po potańcówce i odprowadzałem ją do domu, czasem udawało mi się ukraść na pożegnanie całusa, lecz na tym się kończyło. Zawsze byłem nieśmiały. W drugiej ręce niosę książki.

- Przeczytam je najszybciej, jak będę mógł, Violet. Światło gaszą o dziesiątej, a cały dzień mamy zajęcia, więc nie ma za dużo czasu, ale dam sobie radę. Bardzo ci dziękuję, że mi je pożyczyłaś. Kiedy mówię, Violet patrzy mi prosto w oczy. Chyba nigdy nie czułem takiej bliskości z kobietą, nie licząc mojej matki, siostry i Mary. Uśmiechamy się do siebie z byle powodu.

- Chciałbyś odwiedzić nasz zamknięty kościół?

- Nieszczęśliwie.

- Co byś chciał zobaczyć? Nie ma tu wiele do oglądania. Chyba że lubisz zwiedzać stare młyny, ale jak sądzę, dosyć się już na nie napatrzyłeś.

- Zrobiłem sobie dłuższy spacer za miasto i widziałem pasące się owce. Czy na tych terenach hoduje się zwierzęta? Ja też zajmuję się hodowlą, kiedy nie muszę się bić na jakiejś szalonej wojnie.

- Udział w wojnie nie jest szaleństwem. My, Anglicy, cenimy sobie niepodległość i jesteśmy wdzięczni wam, Amerykanom, że pokonaliście taki szmat drogi, żeby narażać dla nas swoje życie. Pamiętaj o tym. Teraz z kolei mnie ogarnia zażenowanie. Nie chciałem urazić jej uczuć ani dopraszać się pochwał z tej racji, że jestem żołnierzem. Nie wiem, co powiedzieć - boję się, że jak otworzę usta, znowu palnę głupstwo.

- Jakie zwierzęta hodujesz w Ameryce? Jesteś kowbojem? Hodujesz bydło czy konie? Sądząc z filmów, zdaje się, że Amerykanie są w tym dobrzy.

- Kanarki. Hoduję kanarki. Nie jest to aż tak ekscytujące, ale równie ciekawe.

- Masz na myśli te małe śpiewające ptaszki?

- Tak. W chwili wyjazdu miałem prawie pięćdziesiąt kanarków. Mam nadzieję, że ojciec dba o nie, kiedy mnie nie ma. Mieszkamy w małym szeregowym domu na zwyczajnej ulicy. Czasami, bardzo rzadko, widzimy konie rozwożące mleko i chleb. Krów u nas nie ma. Na pewno strasznie cię rozczarowałem. Ależ skąd. Jak doszło do tego, że zacząłeś hodować kanarki? Czy dobierasz je ze względu na ubarwienie czy śpiew? Miałam kiedyś papużkę, ale mi zdechła. Utrzymanie przy życiu tak wielu ptaków musi być trudne. I tak się zaczyna. Sądzę, że przynajmniej z początku kanarki nie bardzo ją interesują. Siadamy na ławeczce przed kościołem, którego żadną miarą nie można uznać za interesujący. Lubię mówić o swoich ptakach. Najpierw opisuję jej Ptasię, moją pierwszą, ukochaną samiczkę, mówię o tym, jak wybrałem jej towarzysza i że oboje mieli pisklęta z kilku lęgów. Opowiadam, jak wybudowałem klatkę pod łóżkiem, a samo łóżko podniosłem pod sufit, żeby mieć więcej miejsca. Gadam jak natchniony. Spoglądam jej w twarz, szukając oznak znudzenia. Prawie każdy, z kim rozmawiam o kanarkach, szybko się nudzi, a szczególnie te nieliczne dziewczęta, z którymi próbowałem pogadać na ten temat. Bogiem a prawdą, z wyjątkiem sportu o niczym innym nie potrafię mówić. Violet jest inna - zadaje trafne pytania i uważnie wysłuchuje odpowiedzi. Z każdą upływającą minutą kocham ją coraz bardziej. Na kościelnej wieży zegar wybija godziny. Siedzę z Violet tak długo, że zbliża się czas SOUPY SOUPY - pora na kolację.

- Wspaniale się z tobą rozmawia, Violet. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy: znaleźć kogoś, kto interesuje się moimi ukochanymi ptakami.

- Wiem. Słyszę. Nie spotkałam jeszcze osoby, która by mówiła o czymś z taką pasją.

Jestem pewna, że spodoba ci się książka Geralda Durrella.

- Bardzo mi przykro, Violet, ale muszę wracać do obozu. Mamy obowiązek meldować się na kolację.

- Oczywiście. Proszę, mów mi Vi.

- Jeśli sobie tego życzysz. Mnie jednak bardzo się podoba imię Violet. Fiołek to mój ulubiony kwiat.

- W porządku, skoro tak chcesz. No, biegnij już, bo się spóźnisz. " Podnoszę się, a ona staje przede mną. Pochyla się wiem, że się spodziewa, iż ją pocałuję. Chcę tego i robię to. Okazuje się to prostsze, niż myślałem. Całujemy się dwukrotnie - raz cmokam ją w policzek, a potem całuję w usta. O mało się nie przewracam, a potem rzucam się przed siebie. Ale już po sekundzie wracam.

- Czy jutro mógłbym znowu spotkać się z tobą tutaj? Błagam! Kiwa głową na znak zgody i macha mi ręką. A ja pędzę już niczym wiatr w stronę koszar. Włączam się do szeregu w ostatnim momencie. Porucznik Andersen spogląda na mnie kwaśno, ale nic nie mówi. Staję w kolejce po jedzenie. Tej wiosny Violet i ja spotykamy się, gdy mamy na to ochotę. Nie wiem, co armia zdecydowała w sprawie inwazji na Europę. Wszyscy paplają tylko o tym, ale nic się nie dzieje. Nie powiem, abym czuł się przez to nieszczęśliwy. Z Vi jestem szczęśliwy. Robi mi się smutno, kiedy wyjawia, że obiecała poślubić mężczyznę, który był nauczycielem w tutejszej szkole, a teraz służy w siłach powietrznych i jest prawdziwym bohaterem, jak zresztą wszyscy brytyjscy piloci, którzy walczą z Niemcami próbującymi zasypać Anglię lawiną bomb. Pilotuje Hurricane'a i od sześciu miesięcy nie pojawił się w Bidulph. Raz został strącony, ale udało mu się wylądować na spadochronie w kanale La Manche, gdzie przejęło go brytyjskie lotnictwo. Całe miasteczko uważa go za bohatera. Niestety, Violet również go podziwia: czyta mi jego listy albo ich fragmenty. Jest mi ciężko. Kiedy opisuję swoją sytuację Mary, radzi mi, abym nie mówił przy Violet złego słowa o tamtym mężczyźnie, tylko słuchał tak, jakbym był jej dobrą przyjaciółką, z którą może porozmawiać o swoim ukochanym. Mary jest przekonana, że to najlepsze wyjście. Idę za jej radą. Słucham, jak Violet powtarza ciągle, że kocha tamtego, odkąd ukończyła piętnaście lat, i że to mężczyzna jej życia. Że jest inteligentny, nie wywyższa się i mimo jej młodego wieku traktuje ją jak prawdziwą kobietę. Ma już trzydzieści lat, ale Vi

zupełnie to nie przeszkadza. Pyta, czy moim zdaniem starszy mężczyzna jest dla kobiety lepszy. Być może, Violet, ale chciałbym, żeby było inaczej. Pragnąłbym, abyś pokochała kogoś młodszego, takiego jak ja. Uważam, że bylibyśmy razem bardzo szczęśliwi. Słowa te wyskakują ze mnie, zanim zdążę ugryźć się w język. Wiem, że Mary by tego nie pochwaliła. Czasami zdarza mi się chlapnąć coś bezmyślnie.

- Wiesz, że szaleję za tobą. To nie twoja wina, taka po prostu jesteś. Wyobrażam sobie, że każdy, kto cię spotka, musi się w tobie zakochać.

- To najmiłszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam. Wiesz, Bert, myślę, że gdyby nie Tom, mogłabym cię pokochać. Przy tobie czuję się jak królowa. Dziewczyny to lubią. Na tym rozmowa się urywa. Jest mi nieco lżej, ponieważ teraz Violet zna prawdę. Odtąd rzadziej wspomina o Tomie. W następną sobotę, gdy jak zwykle się spotykamy, Violet jest bardzo podekscytowana. Domyślam się, że dostała kolejny list od Toma, i nie wiem, czy potrafię stawić temu czoło.

- Och, Bert! Mam pomysł. Niedaleko stąd, w Cogleton, jest potańcówka. Autobus odjeżdża co godzinę sprzed poczty. Czy moglibyśmy tam pojechać? Zapłacę za swój bilet. Kocham taniec i bardzo bym chciała z tobą zatańczyć. Rzecz jasna, ja też jestem podekscytowany. Chciałbym zatańczyć z Violet, ale skończyły mi się pieniądze, a żołd dostaniemy dopiero w przyszłym tygodniu. Myślę jednak, że znajdę na to jakiś sposób.

- A co z Tomem? Jak by się czuł, gdybyś poszła ze mną na potańcówkę?

- Jest wojna, głuptasku. Nawet mężatki tańczą z obcymi mężczyznami. Nie będziemy stać i czekać, aż Hunowie się wyniosą. Nie chcę umierać, nie nacieszywszy się tańcem i młodością. Mówiąc to, znowu wsuwa rękę pod moje ramię. Schylam głowę i całuję ją w policzek. Nie opiera się. Wiem, że mogę pożyczyć pieniądze od Koploff, który dostaje je w listach z domu.

- Marzę o tym, by z tobą zatańczyć, Violet. Dziękuję, że chcesz ze mną tańczyć. Jestem pewien, że będziemy się świetnie bawili. A może znasz jakąś smażalnię w Cogleton, gdzie zjedlibyśmy rybę z frytkami? Wspaniale. Chciałam wziąć na drogę kanapki, ale zjemy w smażalni. Będzie jak na prawdziwej randce, czyż nie? Kiedy się pochylam, by ponownie ją pocałować, podnosi ku mnie twarz, a ja dotykam ustami jej ust. Tym razem całujemy się na

serio. Violet idealnie pasuje do moich ramion. Zaraz jednak się odwraca.

- Musimy uważać, Bert. Ktoś może nas zauważyć. W takim małym miasteczku jak to pełno jest samotnych, ciekawskich ludzi. W Cogleton bawimy się pysznie. Cały czas się spodziewam, że zatrzyma mnie któryś z patroli żandarmerii kręcących się po miasteczku, ale nikt nas nie niepokoi. Co prawda zarówno muzyka, jak i sala taneczna są dość koszmarnie, ale wynagradzają to kolorowe światła igrające na ścianach i podłodze. Można potańczyć. Orkiestra gra przeważnie wolne kawałki, jednak raz po raz pojawiają się kompozycje Glenna Millera i Tommy'ego Dorsey'a, które nie przekraczają umiejętności muzyków. Violet i ja tańczymy spleceni w mocnym uścisku. Czuję się przy niej jak dorosły mężczyzna. Czasami wpycha mi kolano między nogi i obawiam się, że wyczuwa moje podniecenie. Mam gigantyczny wzwód. Nie odpuszczamy ani jednego tańca. Vi ma na sobie bawełnianą sukienkę, cienką i miękką jak jedwab. Czując jej napierający na mnie biust, tym silniej do niej lgnę. Z wrażenia ledwo łapię oddech. Po potańcówce idziemy do sklepu, w którym można na miejscu zamówić i zjeść rybę z frytkami. Żałuję, że nie mam więcej pieniędzy, Koploff wysupłał jedynie dwa funty, czyli około dziesięciu dolarów. Okazuje się, że to wystarczy, jednak Vi proponuje, żebyśmy zamiast jechać autobusem, wrócili do Bidulph na piechotę. Choć pomysł wydaje mi się wariacki, dla niej jestem gotów zgodzić się na wszystko. Po drodze sprawdzam na zegarach upływający czas - powinienem zdążyć akurat na kontrolę łóżek. A ściśle mówiąc, kontrolę prycz.

- Znam drogę na skróty, Bert. Myślę, że ci się spodoba, pójdziemy przez wrzosowisko. Rzadko kto tamtędy chodzi. Będziemy sami. Ogarnia mnie jednocześnie strach i podniecenie. Czyżby Violet czegoś się po mnie spodziewała? Czy lada chwila przyjdzie mi się pożegnać z dziewictwem? A także, jak sądzę, pozbawić ją cnoty? Idziemy, z rzadka się odzywając. Jak ja to wszystko wytłumaczę Mary? Urodziła dziesięcioro dzieci i pewnie dobrze wie, o co chodzi w tych sprawach, ale ja jestem kompletnie zielony. Wprawdzie słyszałem w obozie, jak chłopaki, a potem mężczyźni, przechwalają się swoimi miłosnymi podbojami, ale kończyło się na słuchaniu. Kiedy nikogo nie ma w pobliżu, przystajemy i obejmujemy się. Violet rozluźniła poły płaszcza, tak że pasek nie obejmuje ciasno jej kibici. Ja mam na sobie wojskową kurtkę narzuconą na zwykły mundur. Oddajemy się czynności, którą moi koledzy w ogólniaku

nazywali francuskim pocałunkiem. Tak oto poznaję, na czym on polega, mimo że nie jestem nawet we Francji. Wpijamy się w siebie łapczywie. Opieram Violet o jedną z tych dziwnych bram, przez które pędzi się owce - robię to głównie po to, aby samemu się nie wywrócić. Kręci mi się w głowie.

- Czy chcesz mnie dotknąć, Bert? Bardzo tego pragnę. Gdzie mam jej dotknąć? Marzę o tym, by jej dotykać, lecz ani w ząb nie umiem się do tego zabrać. Bierze mnie za rękę i wolno rozpina kilka guzików sukienki. Wsuwam dłoń między guziki i wymacuję jej piersi pod biustonoszem. Przez materiał czuję twarde sutki. Trzymając jedną rękę na piersi, drugą sięgam jej za plecy, żeby odpiąć haftkę, ale nie mogę sobie z tym poradzić. Próbuję kilka razy, wreszcie Violet robi to sama. Teraz wyraźnie wyczuwam brodawki, które są takie, jak być powinny - twarde i wypukłe. Nie wiem, co robić dalej. Zastanawiam się właśnie, czy opuścić głowę i całować jej piersi, jak wyczytałem o tym w pewnej książce robiącej karierę w Fort Jackson, gdy nagle czuję jej dłonie manipulujące przy moim rozporku. Violet odpina guziki i wsunawszy rękę do spodni, unosi gatki, aby dotknąć mojego członka. Tego już za dużo. W tej samej chwili strzelam prosto w nią, a także w siebie. Czuję się okropnie, podczas gdy ona, jęcząc, ściska członek. W końcu wyjmuję z kieszeni chusteczkę i zaczynam wycierać nas oboje. Czuję, jak drży. Przypuszczam, że płacze. Śmieje się!!! Wciągam mundur z powrotem i zapinam się, wycierając jej ręce. Opuszcza wzrok na sukienkę, szukając śladów po mojej palbie. Najwyraźniej nic nie znajduje. Ma mokre policzki - nie wiem, czy to łzy śmiechu czy żalu.

- Ojej, ależ z ciebie dzieciak, Bert. Przepraszam, jeśli cię rozczarowałam. Obejmuję ją. Nie wiem, co powiedzieć, aby wyrazić wdzięczność i miłość, jakie do niej czuję. Staram się nie myśleć o jej przyjacielu, Tomie. Prawdopodobnie to on ją nauczył "tych rzeczy". A może wszyscy są uświadomieni, tylko ja jestem ostatnim ciemniakiem na świecie. Zawsze sądziłem, że chłopcy prześcigają się w czczych przechwałkach, ale może się myliłem. Vi przestaje się śmiać i ujmuje moją głowę w dłonie. - Pewnie myślisz, że jestem okropna, ale tak bardzo cię kocham, że chciałam ci coś podarować, zanim odejdziesz. Czy jesteś szczęśliwy? Bo ja bardzo. Nie mijają dwa dni, jak spada na nas wiadomość o wyjeździe! Próbuję się urwać, aby powiadomić Violet, co się dzieje, jednak wszyscy mamy zakaz opuszczania koszar. Resztki

wolnego czasu poświęcam na pisanie listów do Mary i Violet. Nie wiem, w jaki sposób przekazać list Violet. Noszę go w kieszeni koszuli, czekając na okazję, by wrzucić go do skrzynki pocztowej, ale się jej nie doczekuję. Zamierzam wręczyć ten list pierwszej napotkanej osobie z prośbą, aby oddała go Violet w sklepie papierniczym, jednak z tego także nic nie wychodzi. Dochodzę do wniosku, że gdzieś po drodze znajdę skrzynkę i po prostu wrzucę do niej kartkę, z dołączoną dwuszylingową monetą i wiadomością dla listonosza, żeby zaniósł ją do sklepu papierniczego, lecz nawet tego nie mam szans uczynić. W nocy pakują nas do dwuipółtonowych ciężarówek, takich samych jak te, które nas tutaj przywiozły, i cicho, z wygaszonymi światłami wywożą nas z Bidulph. Cała akcja przebiega migiem, nie ma mowy, aby nawiązać z kimś kontakt. Czuję się, jakbyśmy uciekali z więzienia o zaostrzonym rygorze. Z trudem powstrzymuję się od łez. Przygniata mnie poczucie winy wobec Vi, Mary, Toma i siebie samego. Jak prędko wszystko legło w gruzach! Przez całą noc suniemy po opustoszałych drogach. Zatrzymujemy się dopiero o świcie. Ciężarówki mają postawione budy, ponieważ siąpi lekki deszcz. Zaciągnięte z tyłu plandeki zasłaniają nam widok, ale za to ochraniają przed szprycami wody bijącymi spod kół. Tłoczemy się w mroku, ściskając kurczowo karabiny i worki. Nasze hełmy co chwila uderzają o siebie, przez co słychać nieustanny grzechot. Przed opuszczeniem koszar nakarmili nas hot dogami i fasolą, derki zostawiliśmy na pryczach. Nasze zbite ciasno ciała wydzielają teraz duszącą woń fasoli, którą przesiąkły wełniane ubrania. Zaczynam podejrzewać, że Niemcy przystąpili do ataku, a my pędzimy, żeby ich zatrzymać. Jestem kompletnie zdezorientowany. Wyskakujemy z ciężarówek i natychmiast nasze twarze i ręce owiewa wilgotna bryza ciągnąca od morza. Do reszty straciłem już poczucie czasu i przestrzeni. Jestem gotów się okopywać. Dzielą nas jednak na drużyny i kierują do namiotów. W środku stoją stare składane łóżka, na które padamy plackiem, nie zdejmując płaszczy wydanych nam parę dni wcześniej. W hełmie z wykładziną, w kamizelce, butach i płaszczu wyglądam, jak gdybym brał udział w wyprawie na Arktykę. Po twarzy spływają mi zimne strużki potu. Andersen i Miller ganiają między namiotami, każąc nam siedzieć w środku i czekać na rozkazy. Ciekawe jakie. Słońce schowało się za chmurami, ale w namiocie, mimo wietrzyku, robi się gorąco. Ktoś stwierdza, że to nie ocean, tylko kanał La Manche, a ja mu wierzę. Nie wiem dlaczego, ale wierzę.

Pewnie dlatego, że każdy, z kim rozmawiam, uważa, że właśnie tam się znajdujemy. Wszyscy jesteśmy przekonani, że stanowimy część wielkiej inwazji, która tylko patrzeć, jak ruszy. Po jakimś czasie Miller i Andersen wracają i każą nam kopać doły. Może mam rację co do niemieckiej inwazji. Łapiemy za nowiuteńkie saperki i dwójkami bierzemy się do kopania. Zdawkowe rozmowy przechodzą w głośnie posapywanie. Większość zrzuciła z siebie płaszcze, niektórzy zdjęli nawet kamizelki polowe. Ta decyzja o okopywaniu się wygląda mi na nie planowaną i spontaniczną. Nie oszczędzamy się. Od czasu do czasu zerkam w dół, gdzie widać wodę. Jesteśmy na półmetku, gdy przechodzący żołnierze każą nam iść do namiotu i odebrać posiłek. Dochodzi dziewiąta rano. Żeby się uwinąć, dyżurujący w kuchni musieli wyjść pierwsi. Umieramy z głodu - jajecznica, kielbaski i kawa momentalnie znikają w naszych żołądkach. Dokładek nie ma. Zaganiają nas z powrotem do na wpół ukończonego okopu. Razem z Gallagherem, który zajmuje łóżko obok mnie, wykopujemy klasyczny okop ze stanowiskiem ogniowym i wszystkim, co trzeba. Gdyby nie twarde skały, poszłoby nam jak z płatką. Kamienie rzucamy na kupę od strony wody, czyli, jak przypuszczamy, z przodu okopu. Spoceni siadamy na dnie i zdejmujemy hełmy, żeby odsapnąć. W dalszym ciągu nie wiemy, co jest grane. Wszyscy nabrali wody w usta. Może to tylko ćwiczenia polowe, ale jeżeli tak jest, to tym razem przeholowali. W końcu zjawia się Andersen w asyście Millera i robią zbiórkę. Zbieramy rozrzucony sprzęt i ustawiamy się w szyku regularnego plutonu. Myślałem, że zwiad i rozpoznanie to coś nadzwyczajnego, a tymczasem, poza szkoleniem w Fort Jackson, służba wygląda tak samo jak w innych drużynach, plutonach i pułkach piechoty. Tyle że jest nas mniej. W sumie to dobrze, jednak w boju będzie to działać na naszą niekorzyść. Podczas gdy Miller wywołuje nazwiska, przez głowę przelatują mi dziwaczne, nieskładne myśli. Andersen staje obok porucznika Brensona na czele plutonu i daje rozkaz "Spocznij!"

- Żołnierze, przepraszam, że targam was tutaj po ciemku, nie zamieniając z wami słowa, ale nie mogłem temu zaradzić. Szanuję wasz wysiłek - zachowaliście się jak prawdziwi żołnierze. Nie mogę za wiele wyjawić, ale wiedźcie, że było warto, nawet jeśli te okopy do niczego nam się nie przydadzą. Kazano mi migiem sprowadzić was tutaj i przygotować do walki. Najwyraźniej komuś puściły nerwy, ale nic nie szkodzi. Jak już zapewne wiecie, stoimy przed poważnym zadaniem - inwazją na Francję. Pójdziemy tam dużymi siłami, u boku

Anglików, Francuzów i Kanadyjczyków. Spodziewamy się natrafić na silną niemiecką linię umocnień. Mamy ją przełamać tak szybko i sprawnie, jak to tylko możliwe. Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że to nie będzie łatwe. Że będzie wymagało od was wielkiego poświęcenia, męstwa i profesjonalizmu. Do tego wyzwania przygotowaliśmy was w czasie szkolenia. Nie muszę wam mówić, ile zależy od najbliższej potyczki. Wiecie równie dobrze jak ja, że atak na okopane formacje wroga należy do najtrudniejszych. Jestem jednak pewien, że mając po swojej stronie prawdę i sprawiedliwość, zwyciężymy. Słuchając go, niemal przewiduję, co zaraz powie. Mała z tego pociecha. Oczami wyobraźni widzę pływające w morzu trupy, słyszę, jak karabiny maszynowe omiatają plaże gradami kul, wiem, że nacierające wojska zostaną zarzucone granatami moździerzowymi i armatnimi pociskami. Próbuję nie ulec panice. Boję się, ale nie na tyle, aby wystąpić z szeregu i oznajmić, że odmawiam udziału w ataku. Jest głupi i niepotrzebny. Musi być inny sposób zdobycia tych okopanych fortyfikacji niż rzucanie się na nie własnymi ciałami. Żołądek mi się burzy, w ustach czuję smak jajek, a zwłaszcza kielbasek, które zjedliśmy na śniadanie. Zastanawiam się, kiedy sforsujemy tę wodną przeszkodę i brnąc przez płyciznę, wylądujemy na francuskiej plaży. Może jeszcze dziś wieczorem albo jutro rano. Słucham, ale staram się zagłuszyć myśli. I tak nic nie zależy ode mnie. Andersen kończy mowę i wracamy do namiotów. Gallagher i ja dyskutujemy o naszej sytuacji. Obaj przyznajemy, że mamy pietra. Zastanawiamy się, jak zamierzają nas przerzucić na kontynent. Nigdzie nie widać barek ani okrętów. Wiemy, do czego służą barki desantowe, ćwiczyliśmy na nich na jeziorze w Fort Jackson. Ale ciągnąca się przed nami woda to nie jezioro. Koploff ma lornetkę, przez którą lustrujemy kanał w poszukiwaniu łodzi, ale obserwujemy też morze. Widok nie przedstawia się zachęcająco, a prawdę mówiąc, wygląda upiornie. Z pełnym sprzętem, nie licząc broni, jestem w stanie przepłynąć około pięćdziesięciu jardów. To też sprawdziłem w Jackson, kiedy jeszcze zakładano, że popłyniemy zdobywać jakąś wyspę leżącą w południowym basenie Oceanu Spokojnego. Lecz woda, którą widzimy przed nami, nie jest ani spokojna, ani ciepła. Im więcej o tym gadamy, tym bardziej się boimy. Lęk karmi się samym sobą, a my mamy go w zapasie więcej niż potrzeba. Po powrocie do namiotów padamy do łóżek. Uporaliśmy się już z okopami, a do kolacji zostało jeszcze trochę czasu. Ponieważ mój żołądek odrobinę się

uspokaja, idę obejrzeć kryte transzeje, które wykopali tutaj nasi poprzednicy. Mimo woli jestem ciekawy, kim byli ci, którzy mieszkali w tych namiotach i wykopali tę kloakę, zanim tu przyszliśmy. Może tak ja my sądzili, że wybierają się na południowy Pacyfik, odbyli przeszkolenie, po czym rzucono ich w zupełnie inne miejsce. To by się zgadzało z wojskowymi metodami działania. Pod wpływem paniki snujemy najbardziej wariackie scenariusze, które chyba jednak pomagają nam poukładać sobie wszystko. Później, w południe, trąbka wzywa nas na obiad. Sygnał SOUPY SOUPY odbija się echem od białych klifów Dover. Stoimy w marznącym deszczu z wyciągniętymi menażkami i kubkami. Wracamy do namiotów i jemy, siedząc na krawędziach koi. Bankiet to nie jest. Postanawiam zaryzykować i udaję się po dokładkę, ale zostały tylko resztki ziemniaków puree, które kuchciki wyskrobują z dna wielgachnego gara. Biorę, co dają, i czmycham z podkulonym ogonem. Następnego dnia rozwieszamy mokre rzeczy po całym namiocie i wsłuchujemy się w deszcz bębniący o płótno. Na szczęście nie muszę zaliczać warty: to jedyna korzyść ze służby w zwiadzie i rozpoznaniu, toteż w nocy śpię jak suseł. Często myślę o Violet! powoli uświadamiam sobie, że prawdopodobnie nigdy już jej nie zobaczę. Postanawiam napisać do Mary. Podkładkę do pisania trzymam razem z niezbędnikiem, który umyłem poprzedniego wieczoru. Na początku opisuję sytuację ogólną, uważając, aby nie ściągnąć sobie na głowę porucznika Andersena. Piszę, że obozujemy pod namiotami i że pada deszcz, żadnych wojskowych tajemnic. Dalej jednak ponosi mnie pióro i wyznaję, że bardzo się boję. Mój strach nie tylko nie maleje, ale staje się coraz większy. Żaden inny żołnierz nie wydaje się tak przerażony jak ja. Skupiam się na prozie życia - opisuję piękno nadmorskiego krajobrazu, wspominam o wypełniających tło klifach i o kościele, który dostrzegam, idąc do kuchennego namiotu. Nie sędzę, abym zdradzał jakiś sekret. Tak naprawdę czuję się jak więzień. Jestem więźniem własnej armii. Piszę Mary, że tęsknię za nią, za naszymi lekcjami i za ciszą małej szwalni. Jestem jej wdzięczny, że mogę do niej pisać, i mam nadzieję, że jak tylko będę miał adres do korespondencji, ona napisze do mnie. Na mój adres w Bidulph nic nie przyszło. Stacjonowaliśmy tam zresztą krótko i daję głowę, że zatrzymywano wszelkie listy, które mogłyby wyjawić, że w ogóle przebywamy w Anglii. Wcześniej, kiedy napisałem do Mary o swoim strachu przed szrapnelem, zdradziła mi swoją tajemnicę polegającą na powtarzaniu słów: "Nigdy, nigdy mnie nie złapiecie". Choć

uznałem to za dobry żart, później, kopiąc rów z Gallagherem, powtarzałem je w myślach, nie wiedząc jeszcze, czy będą mi potrzebne. Najlepszy dowód, jak kiepsko było ze mną. Idę umyć kubek i niezbędnik; po drodze zahaczam o stanowisko dowodzenia kompanii i oddaję list porucznikowi Andersenowi. Tamten odbiera go bez słowa. Nie łudzę się, że dopilnuje, aby ten list wysłano. Przeczyta go i dowie się, że nie zaliczam się do tych żołnierzy, którzy powinni brać udział w inwazji. Szczerze powiedziawszy, nie przychodzi mi do głowy żaden pożytek, jaki wojsko mogłoby ze mnie mieć, może z wyjątkiem sortowania poczty, pracy w kuchni albo pisania na maszynie. Schodzimy z mokradeł, przed nami, u stóp wzgórza, cumują barki transportowo-desantowe. Nisko pochyleni, ćwiczymy wejście na pokład, następnie okręt się obraca i schodzimy na ląd, jakbyśmy właśnie przepłynęli kanał La Manche. Prząd barki opada i wszyscy gramolimy się najszybciej jak możemy. Sierżant Miller podkręca tempo i pilnuje, żebyśmy trzymali nisko głowy. Mamy udawać, że wbiegamy na plażę, chowając się przed ostrzałem z broni maszynowej i Bóg wie czym jeszcze. Miller też chyba nie wie. W pewnej chwili barki gubią się w gęstej mgle, wskutek czego nacieramy na siebie nawzajem. Co prawda powinniśmy byli wrzeszczeć "do ataku", ale większość tego nie robi. Po pierwsze jesteśmy zziębnięci i wyłączenie z barki kosztuje sporo sił. Poza tym tkwimy w wodzie po pas, a niektórzy po szyję. Zastanawiam się, czy oficerowie to sobie przemyśleli. Cały ten manewr wydaje się przypadkowy i bezładny. No, ale ja nie jestem wojskowym strategiem. Wykonuję tylko rozkazy, starając się ograniczyć do minimum zagrożenia i nieprzyjemności dotyczące mojej osoby. Jednak nawet to minimum okazuje się za wiele. Ćwiczenie powtarzamy nieskończenie wiele razy, aż wreszcie ktoś, kto je wymyślił, dochodzi do wniosku, że więcej z nas nie wyciśnie. Dostajemy dwa dni odpoczynku. Rozpalamy ogniska za osłonami, aby nie rzucały się w oczy, i w końcu możemy wysuszyć spodnie i kalesony. Buty robią się ciepłe, ale nie chcą schnąć. Trzeciego dnia rano, przekonani, że wyruszyliśmy na kolejne ćwiczenia, wypływamy dalej niż zwykle. Kadra sprytnie to wykombinowała. Mówią nam prawdę dopiero wtedy, gdy kolebiemy się na wodzie we mgle, bez szans na powrót, i po raz ENTy wbijają nam do głów, że po wylądowaniu mamy biegiem przeciąć plażę i ukryć się za pierwszą osłoną, jaką znajdziemy. O ile dobrze rozumiem, a słucham z uwagą, nikt nie raczy nas poinformować, w którym miejscu wybrzeża jesteśmy ani gdzie mamy szukać schronienia.

Cały czas przypominają nam, abyśmy, wychodząc na brzeg, nie zamoczyli karabinów i trzymali pasy z ładownicami wysoko nad wodą. Obsługa browningów i bataliony moździerzy dostają specjalne instrukcje - mają zająć stanowiska podczas przerw w ostrzale artyleryjskim. Ostrzale ze strony wroga. Nasza artyleria ma bowiem wstrzymać ogień na plażę w czasie, gdy rozpoczniemy desant, co wydaje mi się wcale rozsądne. Przed nami wylądują tam, i prawdopodobnie zajmą przyczółki, trzy fale desantowe, toteż nie wolno nam strzelać do niczego, co przypomina amerykańskiego żołnierza. Nie wolno nam się też zatrzymywać i pomagać rannym. Tym się zajmą sanitariusze. Jest ich dwóch na cały pluton. Założę się, że będą mieli pełne ręce roboty. Na końcu ostrzegają nas przed minami. Niemcy prawdopodobnie zaminowali plażę. Większość z nas sama na to wpadła, ale pewnie uznają, że od przybytku głowa nie boli. Mnie w każdym razie boli. Znam się co nieco na rodzajach min, których można się spodziewać - od przeciwpiechotnych, tak zwanych "min butowych", zakopanych w piasku, które wybuchają po nadeptnięciu, aż po miny przeciwczołgowe, które roznoszą człowieka w drobny mak. "Miny butowe" zawdzięczają swoją nazwę temu, że przy wybuchu ściągają buty - razem ze stopą. Na pewno natkniemy się również na wbite rączkami w ziemię niemieckie granaty, zwane przez Amerykanów "tłuczkami do ziemniaków", powiązane pierścieniami zawleczek z innymi minami, tak iż dotknięcie lub przerwanie drutu powoduje eksplozję. Zanim dopływamy do plaży, decyduję, że padnę na dno łodzi i pozwolę plutonowi przewalić się po mnie. To jedna z moich ostatnich przytomnych myśli. W pewnym momencie nasza barka zahacza o wystający z dna morza pal i okręca się o sto osiemdziesiąt stopni, ale po chwili prostują ją - mniej więcej - przybrzeżne fale. Ktoś, nie widzę kto, pociąga za przytwierdzoną do zawiasów klapę i woda wdziera się do środka, wymywając nas na zewnątrz. Nie spodziewaliśmy się takiej głębiny, woda jest tutaj znacznie głębsza niż w starej, dobrej Anglii, gdzie ćwiczyliśmy desant; brniemy, brodzimy, przebieramy nogami, zataczając się i upadając, ale zmierzamy ku plaży. Mój pomysł, by zadekować się na barce, okazał się niewykonalny. Nawet gdybym się nie utopił, zginąłbym od kuli bądź szrapnela. W powietrzu roi się od odłamków, latających jak wściekle szerszenie. Część żołnierzy dryfuje bezwładnie na falach, inni tratuja ich w biegu, w sumie jednak pluton przedziera się w stronę plaży. Nikt nie strzela. Bieg, omijanie przeszkód i utrzymanie się na powierzchni z dala od barki - są tak

wyczerpujące, że nie starcza sił na strzelanie. Na domiar złego nie ma odwrotu - wspinamy się ciężko na plażę, ślizgamy na mokrym piasku, próbując omijać miny, widzimy padających towarzyszy, krew wsiąkającą w piasek. O mało nie dostaję obłądu. Wywrzaskuję swoją mantrę "nigdy, nigdy!", ale słowa unosi wiatr, nikt zresztą mnie nie słucha. Wyszędłszy z wody, odkrywam, że jakimś cudem nie zostałem trafiony, i zrywam się do biegu, potykając się i drąc wniebogłosy. Nie oddałem dotąd ani jednego strzału. Łapiąc oddech, usiłuję dojrzeć coś spod hełmu, który bez przerwy ześlizguje mi się na oczy. Przy pokonywaniu plaży dwa razy upadam. Otaczają mnie inni leżący, jedni krzyczą, drudzy zastygają nieruchomo, z twarzami w piasku lub wodzie. Wiem, że nie mogę tu zostać. Miller przebiega obok mnie, wrzeszcząc: "Naprzód!" Podnoszę się i pędzę za nim - daję może sześć kroków, gdy tamten nagle pada. Doganiam go i zatrzymuję się, lecz z jego twarzy, w miejscu, gdzie powinien być nos, sterczy wielki odłamek szrapnela. Miller ma szeroko otwarte oczy. Nie rusza się, tuż obok leży porzucony karabin. Oglądam się za siebie: w pobliżu nikogo nie ma, pozostali brną, płyną, turlają się na falach. Zdaje mi się, że dostrzegam przed sobą kilku amerykańskich żołnierzy - i rzeczywiście, pięciu czy sześciu leży pokotem, grzmocąc z karabinów, choć ja nie widzę nic, do czego można by strzelać. Strugi potu ciągle zalewają mi oczy, a na dodatek jeszcze płaczą. Padam na brzuch i wijąc się jak wąż, zbliżam się do tamtych. Piasek wciska mi się pod mundur polowy i koszulę. Odbezpieczam karabin i ponownie spoglądam przed siebie. Nie widzę nic: ani ludzi, ani przedmiotów. Wystrzeliwuję wszystkie pociski, pusta lódka wylatuje łukiem z komory, więc wciskam nową. Przynajmniej zużyję część tej amunicji, którą tachałem ze sobą taki kawał drogi. Wystrzeliwuję połowę drugiej łódki, gdy ktoś zniecka chwytą mnie za ramię. - Co tam widzisz? Nawet go nie znam. Jest w stopniu sierżanta sztabowego.

- Nie widzę nic dokładnie, ale tam powinny być te niemieckie umocnienia, prawda? Daję wsparcie ogniowe w razie, gdyby ktoś inny atakował. Nie odwracam się, by zobaczyć, jak reaguje na moje wyjaśnienie. Sierżant podnosi się i mnie omija. Ruszam za nim. Chętnie ustąpię mu pierwszeństwa. Powietrze przecinają chmary pocisków, świszczą wokół nas i ryją w piasku. Nie pojmuję, jak udaje nam się ująć z życiem. Biegniemy tak, zgięci w pół, aż na skraj piaszczystej plaży, gdzie zaczyna się trawa. Zerkam na boki i widzę, że pojedyncze grupki wdarły się w głąb lądu na tę samą wysokość co my. Zużywam drugą łódkę. Pozostali

strzelają bez przerwy. Nie sędzę, aby ktoś z nas wiedział, do czego strzelamy. Wyjmuję saperkę z plecaka i biorę się do okopywania, gdy przy mnie wyrasta dwóch chłopaków.

- Chodź z nami - rzuca jeden z nich. - Trochę dalej zakładamy stanowisko obronne. Nie bardzo rozumiem, o co mu chodzi. Moja saperka jest do połowy wysunięta z plecaka. Jakiś odłamek trafia ją z metalicznym brzękiem. Ze strachu omal nie robię w portki. Reszta ludzi w naszej grupce także już kopie, dołączają do nas inni żołnierze z desantu. Udaje mi się jakoś wyciągnąć saperkę i zaczynam spulchniać ziemię, kopiąc zagłębienie, w którym mógłbym się ukryć. Wszystko toczy się w okamgnieniu, nie ma czasu do namysłu. Przez moment rozważam, czy nie pobiec z powrotem na barkę, ale za bardzo się boję. Do tej pory zebrало się ludzi w sile drużyny, którzy na zmianę to strzelają w szarą, skłębioną mgłę, to znowu kopią jamę. Na mój rozum sytuacja wygląda beznadziejnie. Nigdy nie wykaraskamy się z tego bagna. Machanie saperką, wymiana łódek nabojoych, a nawet oddychanie wymagają ode mnie najwyższej odwagi. W pewnej chwili, gdy akurat kopię, podczołguje się do mnie porucznik Brenson. Mam wrażenie, że go wyśniłem.

- Kopcie dalej, Duaime - poleca. - Będę was osłaniał. Zdaje się, że szkopy zaczynają się wycofywać. Przytrzymajcie ich, dopóki nie dotrze reszta naszych. Rozplaszczam się na trawiastej murawie i zaczynam strzelać jak opętany. Przyświeca mi tylko jedna myśl: wystrzelać wszystkie naboje. Jak mi się skończy amunicja, będę mógł prysnąć na barkę i może zdołam się uratować. Właśnie wtedy nad naszymi głowami przelatują z hukiem pociski artyleryjskie. Odruchowo przypadam do ziemi. Walą z wielkokalibrowych dział z okrętów stojących nieopodal wybrzeża. Przychodzi mi do głowy, że pewnie zrezygnowali z inwazji i dają nam osłonę ogniową, abyśmy bezpiecznie wrócili na okręty. Mylę się jednak bardzo. Plażą nadciągają kolejni amerykańscy żołnierze, za mną, na drodze, którą przed chwilą przyszedłem, wybuchają dwie miny. Kryję się przed odłamkami, kładę na boku i załadowuję łódkę nabojoyą wyjętą już z wewnętrznej ładownicy. Oparłszy się na łokciach, ponownie otwieram ogień. Robimy okropny raban. Nasza grupka liczy już co najmniej dwudziestu ludzi. Staram się nie myśleć. Mój karabin tak się rozgrzał, że parzy mnie w dłonie, gdy go załadowuję. Dokoła mnie walają się wystrzelane łódki. Czym się to wszystko skończy? Nie wiem ani nie chcę wiedzieć. Na moment zalega cisza, po czym zasypuje nas grad granatów

moździerzowych. Dajemy nura do jam, które zdążyliśmy wykopać. Okolica, jak okiem sięgnąć, upstrzona jest lejami i wykopami; jedne przechodzą w drugie. Czuję, że zaraz urwie mi się film, częściowo ze znużenia, a częściowo dlatego, że utrata świadomości to bodaj najlepszy sposób, by się stąd wydostać. Wtedy czyjaś ręka dotyka moich pleców. Popycha mnie naprzód. Ruszam więc, zostawiając za sobą wykopane naprędce okopy, i wspinam się na wzgórze ku skałkom. Spostrzegam bunkier, którego przedtem w ogóle nie widziałem. Nie widać, by ktokolwiek stamtąd strzelał. Brenson podczołguje się do bunkra, odbezpiecza granat i ciska go na dach. Odłamki rozbryzgują się na wszystkie strony. Znów gorączkowo rozkopuje murawę. Z ledwością poruszam rękami i łapię oddech. W końcu się poddaję: kładę się na ziemi i po prostu udaję, że umarłem. W pewnym sensie istotnie jestem martwy - nie pamiętam nawet, kiedy napływa i przetacza się obok mnie następna fala atakujących. Zostawiam wojnę daleko w tyle. Jest ponad moje siły, więc przestaję się nawet wysilać. Naraz uzmysławiam sobie, że sanitariusz owija mi rękę i kark bandażem. Nie ruszam się. Nie chcę, aby się dowiedział, że jestem przytomny. Nic nie czuję, ogarnia mnie śmiertelne, niosące sen zmęczenie. Mimo łoskotu i podniecenia zasypiam. Później dociera do mnie, że dwaj sanitariusze wyciągają mnie z okopu i niosą na plecach. Nie wiem, jak to się stało, ale jestem cały zakrwawiony. Wyglądam jak bohater starego, cikliwego filmu wojennego. Ciągłe morzy mnie sen, w głębi ducha obawiam się, że ktoś się zorientuje, iż bezwstydnie symuluję. Płaczę; robię to chyba głównie dla efektu, aby przekonać łapiduchów, że powinni mnie nadal nieść. Mam w nosie dumę. Nic mi po niej. Bezwiednie mruczę pod nosem magiczne słowa Mary: "Nigdy, nigdy mnie nie złapiecie". No cóż, stało się inaczej. Rzucają mnie na twarde dno łodzi, potem słyszę, że jedna z barek desantowych zawraca. Wbijają mi igłę w ramię i wojna w przyspieszonym tempie dobiega dla mnie końca. Jestem cały odrętwiały i dzwoni mi w uszach. Wciąż dolatują do mnie odgłosy bombardowania, wrzaski rannych i okrzyki nacierających, ale nie zwracam na nie uwagi. Stałem się, jak mówią Francuzi, hors de combat, niezdolny do służby. Mary byłaby dumna, że zapamiętałem to wyrażenie. Któryś z łapiduchów obraca mnie na brzuch, dno barki zapełnia się ciałami rannych, których przyniesiono z plaży. Nie bardzo kojarzę, co się dzieje. Nic mnie to zresztą nie obchodzi. Zaszywam się w jakimś zakamarku swego umysłu, szukając kryjówki zarówno przed

okropieństwami wojny, jak i przed samym sobą. Ostatnie, co pamiętam, to to, że wylądowano mnie z barki.

ROZDZIAŁ 12

Kompletnie się wyłączam - od wojny, od inwazji i od samego siebie. Gdy składam się z powrotem do kupy, okazuje się, że minęło pięć dni. W tym czasie wieziono mnie statkiem, łodzią, jeepem, karetką i samolotem - świetna zaprawa w różnych rodzajach transportu, kiedy się jest nieprzytomnym. Targają mną dziwne, sprzeczne uczucia. Wiem, że żyję, i boję się. Uważam, że moje obrażenia nie zasługują na tak troskliwą opiekę, jaką otrzymuję. Gryzie mnie sumienie. Mam kłopoty z odpowiedzią na najprostsze, płynące z serca pytania, które zadają mi lekarze i pielęgniarki. Jak gdybym pękł na dwoje. Jedna część jest im wdzięczna za leczenie i pomoc, druga martwi się, co powiedzą, dowiedziawszy się, że tak naprawdę wcale nie jestem ranny. Dochodzę do siebie w londyńskim szpitalu i odkrywam, że jednak zostałem ranny, lekko ranny. Tamtego obłąkanego dnia, podczas lądowania na plaży, odłamek ugodził mnie w lewy nadgarstek i ciągle tam tkwi, ponadto w skórę wbiły mi się niezliczone drobiny piasku i żwiru. Moje obrażenia z pewnością nie są ciężkie, a szpitale są pełne rannych - to sprawia, że brakuje czasu i miejsca, aby wykonać operację. Troszczę się o obłożony kompresem nadgarstek i tulę rękę na temblaku, jakby to były moje dzieci. Są całą moją przyszłością. Gdy doktor w asyście pielęgniarki zdejmuje mi okład z nadgarstka, odwracam wzrok. Nie chcę patrzeć w obawie, że ujrzę ledwie drobne skaleczenie. Wreszcie zerkam: rana rzeczywiście wydaje się drobna. Kiedy lekarz ją bada, zarazem cierpię i cieszę się. Ból jest karą, na którą sobie zasłużyłem. Wciąż nie odzyskałem pełni władz umysłowych. Poddają mnie próbom - każą mi zamknąć oczy i zetknąć przed sobą palce wskazujące, zgiąć mały palec i tym podobne. Po trochu wyciągają też z mojej twarzy i rąk piasek i kamienie. Wszystko to jednak są drobnostki. Cały czas czekam, aż ktoś każe mi się ubrać i opuścić szpital. Pod koniec drugiego tygodnia lekarze decydują się usunąć ów kawałek szrapnela. Podają mi środek znieczulający i na jakiś czas odpływam, uwalniając się od niepokoju i bólu. Gdy się budzę, chirurg pokazuje mi metalową kuleczkę, mniejszą od ziarnka grochu, leżącą na kawałku gazy na stoliku przy moim łóżku. Widok skromnych rozmiarów odłamka ponownie budzi mój niepokój.

- To wszystko?

- Owszem. Masz, jak to mówią, ranę za dwa dolary. Szczęściarz z ciebie. Niewielu zapłaciło za ten desant tak niską cenę.

- Odsyłacie mnie z powrotem? Jasne, ale dopiero za parę dni. Damy ci trochę odsapnąć, a potem skierujemy cię do "Bazuzy". Nie martw się, ani się nie obejrzysz, jak będziesz znowu w swojej jednostce. Mówi to tak, jakby wyświadczał mi nie wiadomo jaką przysługę. Może powinienem uderzyć w krzyk albo przynajmniej zemdleć? Czuję się słabo. Chirurg oddała się, kontynuując obchód. Moje myśli wirują wokół jednego pytania: "Co robić?" Co mam robić? Okazuje się, że nic nie mogę uczynić. Rana goi się błyskawicznie, chirurg zdejmuje mi szwy, cieszy się, kiedy mu pokazuję, że ręka w nadgarstku porusza się prawidłowo. On się cieszy, bo wyjął mi odłamek. Ja się smucę. Milowymi krokami nadchodzi dzień, w którym ciężarówka odstawia mnie do Bazy Uzupełnień Armii Amerykańskiej w Londynie, zwanej potocznie "Bazuza". Tam wydają mi nowiuteńki sprzęt - od skarpet do hełmu, niestety wraz z karabinem. Proszę o spotkanie z oficerem dyżurnym. Jest w randze majora. Wyjaśniam, że zostałem ranny podczas lądowania w Normandii, że trafiłem do szpitala w Londynie, a obecnie odsyłają mnie z powrotem na front do mojego oddziału. Staram się mówić prosto i spokojnie, dając do zrozumienia, że nie zabiegam o szczególne względy. Major siedzi za biurkiem, pstrykając sprężynką długopisu. Odnoszę graniczące z pewnością wrażenie, że wcale mnie nie słucha. Nawet się nie dziwię.

- No tak, żołnierzu. Z tego, co tu mówicie, wynika, że wasze rany były dość powierzchowne, więc przywrócono was do czynnej służby. O co wam właściwie chodzi?

- Uważam, sir, że jestem jeszcze w zbyt kiepskiej formie, by wrócić na front. Proszę o przeniesienie mnie na inny odcinek. Nie czuję się na siłach pełnić obowiązków powierzonych mi w piechocie.

- Czy wasz problem ma charakter fizyczny czy psychiczny? To pytanie pada po raz pierwszy. Nie wiem, co odpowiedzieć. Próbuję zyskać na czasie.

- Jeśli chcecie się zwolnić ze służby na podstawie paragrafu osiem - ciągnie major - to pewnie coś by się dało załatwić, ale nie polecam tej drogi. Smród będzie się za wami ciągnął do końca życia. Będziecie tego żałować. Spogląda mi głęboko w oczy. Wygląda jak chłopiec w skautowskim mundurku. Uświadamiam sobie, że nie mam szans.

- Wydaje mi się, że nie podpadam pod paragraf osiem, sir. Rzecz w tym, że nie mogę spać, cały czas myślę o niebezpieczeństwach i o tym, jak łatwo zginąć.

- Uważacie, że wasi towarzysze broni o tym nie myślą?

- Nie wiem, sir. Mam nadzieję, że nie. W każdym razie lepiej sobie radzą ode mnie.

Jestem tak wściekły, że muszę hamować łzy. Prawdopodobnie powinienem był się rozbeczeć, ale dałem sobie wmówić, że "mężczyźni nie płaczą". Może jestem po prostu tchórzem albo maminsynkiem. Major jakby czytał w moich myślach.

- Czy aby nie obleciał was tchórz? Tchórzostwo na polu bitwy kwalifikuje się pod sąd polowy. Przypuszczam, że o tym wiecie.

- W tej chwili nie jestem na polu bitwy, sir, a mimo to nie mogę usnąć. Ręce bez przerwy mi się trzęsą. Wysuwam dłonie. Trzęsą się jak gałęzie osiki, nie muszę nawet udawać. Zastanawiam się, czy mam się przyznać do tego, że budzę się po nocach, gdyż zbiera mi się na wymioty. Powinienem był wyjawić, że męczą mnie ciągle ataki biegunki, ale robi mi się wstyd. Nie wiem, co takiego trzeba uczynić, aby przekonać zawodowego żołnierza, że człowiek znalazł się na skraju wytrzymałości, ale najwyraźniej ja tego zrobić nie potrafię. Wychodzę z biura i wracam do koszar. Nie rozpieszczają nas tutaj nadmiarem obowiązków, czekamy na odesłanie do naszych oddziałów. Leżę na pryczy, usiłując wziąć się w garść. Piszę kilka listów do Mary. Czuję, że ona mnie rozumie. W końcu moje nazwisko pojawia się na grafiku służby. Powinienem być wdzięczny armii, że posyła mnie do macierzystej jednostki, a nie łąta mną dziury w jakimś pułku czy dywizji. I jestem wdzięczny. Co nie zmienia faktu, że bezustannie się boję. Nie mam apetytu, a to, co zdołam przełknąć, zaraz zwracam w postaci biegunki albo wymiotów. "Herald Tribune" donosi, że nasza dywizja przełamała właśnie niemiecką obronę pod St. Lô i posuwa się do przodu. Cieszę się na spotkanie z chłopakami, ale ich nie spotykam. Została tylko garstka. Mam nadzieję, że przydzielono ich do rezerw. Natarcie nastąpiło w dniu "D+II", czyli jedenastej doby od desantu wojsk sprzymierzonych w Europie. Trwały intensywne walki i było wielu zabitych, szczególnie wśród żołnierzy zwiadu i rozpoznania, którzy mieli zadanie wytropić niemieckie gniazda oporu. Wśród żywoptotów Normandii często wywiązywała się walka wręcz; czołgi nie mogły wesprzeć piechoty. Pluton zwiadowczo-rozpoznawczy poniósł okropne straty. Nie ostał się prawie nikt z mojej drużyny.

Odnajduję Gallaghera, który awansował tymczasem na sierżanta. Jest równie nerwowy jak ja i nie umie sobie z tym poradzić. Referuję mu, co mi się przytrafiło, nie pominąwszy spotkania z majorem w "Bazuzie". Gallagher zdejmuje hełm - włosy ma mokre od potu. Jemu również doskwiera biegunka i niestrawność. Aż żal patrzeć. Gdyby przynajmniej można się było upić trzyprocentowym wojskowym piwem. Ale nawet ta lura już się skończyła. Mamy wspólny namiot, Gallagher mianuje mnie zastępcą dowódcy drużyny. Pękamy ze śmiechu.

- Skoro doszło do tego, że ja zostałem dowódcą drużyny, a ty moim zastępcą, to znaczy, że jest naprawdę źle zauważa Gallagher. - Powinniśmy podnieść rączki do góry i powiedzieć szkopom, żeby nas zgarnęli. Ale to nie takie proste, AL Ostatnio szukam byle pretekstu, żeby się poddać, ale nic z tego. Siedzimy w tym gnoju po uszy. Do końca.

- Do końca czego?

- Naszego życia, matolku. Wiesz o tym, i ja też. Wtedy uzmysławiam sobie, że wojna w końcu mnie dopadła.

ROZDZIAŁ 13

Niekiedy można by odnieść wrażenie, jak gdybym sam gonił za tą wojną. Naszywki na moim mundurze potwierdzają mój awans na zastępcę Gallaghera. Kilka dni później, w trakcie pościgu za Niemcami, dowódca naszego plutonu, Lewis, zostaje ranny w kolano: znowu odłamek. Ma otwarte złamanie podudzia i zalewa się krwią, trzeba go błyskawicznie przerzucić na tyły. Gallagher zastępuje sanitariusza, kiedy ten zajmuje się innym przypadkiem. Nie wiem, skąd się wzięły te łapiduchy. Nie znam ich. Zjawiają się i wywożą Lewisa na starodawnym wozie strażackim. To zdumiewające, ale ofiary zdarzają się wszędzie, od prostych szeregowców do dowódców plutonu. Gallagher tryska humorem.

- Zostań z nami, Al, zanim się połapiesz, zrobią z ciebie dowódcę kompanii. Znaczy się, jeśli przeżyjesz. Dowódca drużyny i jego zastępca nie powinni razem trzymać warty, ale ilekroć wyczerpią się nam kandydaci, stajemy na warcie obaj. Gallagher jest takim służbistą, że zaciągamy więcej wart niż trzeba, jednak z nim czuję się na posterunku bezpieczniej niż z kimkolwiek innym. Rolin wplątuje nas w potyczki w lesie Hlirtgen. "Wypożycza nas" w charakterze dowódców patroli zupełnie obcej dywizji działającej obok naszej - dwudziestej ósmej. Pakujemy się w najgorsze starcia, jakie można sobie wyobrazić. Tkwimy w gęstym sosnowym lesie, a Niemcy walą do nas z przeciwlotniczych osiemdziesiątek ósemek, jakby chcieli wystrzelać całą amunicję. Las wypełnia się okrzykami rannych: "Sanitariusz! Pomocy!!!" Większość pocisków rąbie w korony drzew, po czym osypuje się po gałęziach, zarzucając nas metalowym gradem. Na nic zdają się próby ukrycia się. W czasie ostrzału odmawiam kilka razy Zdrowaś Mario. O mało nie bzikuję. Wreszcie zostajemy odesłani do naszego oddziału, gdzie proponują Gallagherowi promocję oficerską. Rolin odmawia. Oświadcza, że woli pozostać podoficerem. Ale jak armia raz coś postanowi, trudno jej się sprzeciwić. Rolin odpowiada, że po prostu zignoruje swój patent, ale w tym czasie dochodzi do masakry w Malmedy, która strasznie go dołuje. Wojna nigdy nie budziła w nim patriotycznego ducha, ale tym razem ma już dosyć. Jest gotów zdezerterować i rozgląda się za towarzyszami. Ja bym chciał się przyłączyć, ale tchórzę. W tym okresie Niemcy przystępują do ofensywy w Ardenach; nawet Rolin nie może się uporać ze wszystkimi

walkami, strzelaninami i kowbojskimi pojedynkami, które wtedy odchodzą. Ledwo wywijamy się z krótkiego, ale śmiertelnego starcia z Niemcami, którzy w końcu składają broń, a my przypadkowo masakrujemy ich wszystkich. Żarty się skończyły. Jestem gotów się poddać - odmówić wykonywania rozkazów i oznajmić, że dłużej tego nie zniosę. Mogę nawet dostać ataku płaczu i drzeć się na całe gardło, jeśli w ten sposób udowodnię, że się nie nadaję. Wyznaję wszystko Rohnowi, kiedy siedzimy w okopie wychodzącym na mały zameczek, w którym się zakwaterowaliśmy. Nie mażę się, ale wie, że mówię serio. Od jakiegoś czasu ma mnie na oku. Nie trzeba być lekarzem czy psychologiem, aby się zorientować, że ze mną jest coś nie tak.

- Słuchaj, Al. Wytrzymaj jeszcze trochę, okej? Jak z tego wyjdziemy, będę twoim świadkiem. Jestem wielkim bohaterem, no nie? Powinni mi uwierzyć. A może obaj zaczniemy łączyć po drzewach albo strzelać do księżyca, żeby ich przekonać? Jest taki zabawny, gdy snuje swoje wariackie plany, że jakoś się otrząsam. Być może branie wszystkiego na wesoło jest sposobem na to, aby nie sfiksować. Nasze następne stanowisko to centrum łączności linii Zygfryda. Nie od razu dowiadujemy się, gdzie jesteśmy. Leży na kompletnym zadupiu, między miastami Reuth i Neuendorf. Rejon ten objęty jest tęgim strzelaniem. My używamy głównie wielkich haubic kaliber 155 mm, Niemcy natomiast strzelają z samobieżnych dział 88 mm lub armat ciągnionych przez konie. Największe straty obu stronom zadają strzelcy wyborowi i zwiadowcy. Śnieg prószy ustawicznie, odkąd dotarliśmy do Saint Vith, zanurzeni po szyje brniemy przez zaspę, zostawiając za sobą ślady. Kiedy próbujemy obejść po lewej rozpościerającą się przed nami nieckę, wypełnioną nawianym śniegiem, zostajemy zmuszeni do odwrotu. Niemcy usiłują przemknąć się z prawej, ale wtedy my przygważdżamy ich ogniem. Tkwimy tam przez trzy tygodnie. Wygląda na to, że wojna pomału przeobraża się z manewrowej w pozycyjną, podobną do pierwszej wojny światowej. Mnie to pasuje. Koczujemy w piwnicach w Neuendorfie, a Niemcy jak przypuszczamy - gnieźdzą się w Reuth. Wysyłam kilka listów do Mary, nie mam pojęcia, czy przechodzą, czy też ktoś je zatrzymuje. Raz na dzień dowożą nam gorący posiłek i gotujemy wodę na okopconych, cuchnących piecykach. Przynajmniej w piwnicy jest ciepło. Zaciągnęliśmy wartę na dachu domu, w którego piwnicach przemieszkujemy. Jestem na tym posterunku i piszę Mary moją sagę drugiej wojny światowej,

gdy raptem spostrzegam jeepa wspinającego się po zrytej bombami drodze na tyłach domu. Kręcę korbką telefonu i melduję sztabowi, co widzę. W tym momencie pada strzał z osiemdziesiątki ósemki. Jeep przewraca się na bok, wyrzucając kierowcę i pasażera na drogę. Strzelam z dachu krótkimi seriami, mam wrażenie, jakbym oglądał mecz futbolowy z odległego miejsca na trybunie. Wypadają sanitariusze. Widzę przez lornetkę, że jedna z nóg pasażera jeepa wisi na pasku skóry. Tamten leży w kałuży krwi, obok poniewiera się jego hełm. Ma czerwone włosy. Facet jest martwy, to pewne jak amen w pacierzu, a nasz porucznik, tymczasowo pełniący obowiązki dowódcy kompanii, wścieka się, ponieważ tamten miał go zluzować; zostałby naszym piątym dowódcą w ciągu dwóch miesięcy. Czyżby Rolin miał rzeczywiście dojść do dowódcy kompanii? Nie, jest na to za młody, nie skończył jeszcze dziesięciu lat. Poza tym nie chciałbym chyba, żeby nami dowodził. Oczami wyobraźni widzę, jak pakuje kompanię w taki czy inny pasztet wyłącznie po to, aby się zabawić. Tydzień później Rolin i ja lądujemy na najbardziej wysuniętym posterunku, oddalonym od Neuendorfu o blisko sto jardów. Oto jedna z sytuacji, w jakie Rolin lubi nas pakować. Okop wygląda całkiem solidnie, saperzy zaś oczyścili okoliczny teren z żelastwa, więc żołnierze obejmujący posterunek mogą czuć się w miarę bezpiecznie. Ponadto wszystkie punkty mają doprowadzone linie telefoniczne, pięć okopów, pięć telefonów - istny gabinet dyrektorski. Podczas gdy jeden z nas stoi u nasypu przedniej ściany, drugi siedzi na półce na dnie okopu. Warty zmieniają się co cztery godziny, po których można urwać trochę snu. Jeżeli można to nazwać snem - leżymy w pierdziworkach na zimnym klepisku piwnicy, z wytkniętymi na zewnątrz śmierzącymi nogami, bo boimy się odmrożenia stóp. Za sprawą śniegu i wilgoci wszyscy mamy co najmniej kilka czarnych plam na palcach, niektórym zaś gniją całe paznokcie. Nie powinni nas byli straszyć sądem polowym za to, że przyjdziemy do namiotu medycznego z przemarzniętymi nogami. Człowiek ma do wyboru dwa wyjścia. Albo na okrągło nosi cuchnące, przepocone skarpety i modli się o odmrożenia, mając gdzieś sąd wojenny, albo co wieczór, przed wejściem do pierdziworka, zdejmuje buty i skarpety, przewietrzając sobie nogi, ale za to zatruwając wszystkim powietrze. Co bardziej cywilizowani wkładają skarpety do worka, żeby wysuszyć je i ogrzać. Tak czy siak, śpi się fatalnie, zwłaszcza w zatłoczonej piwnicy używanej do przechowywania ziemniaków. Rolin i ja radzimy sobie,

wymieniając nasze przyciasnawe buty na dodatkowe pary skarpet i obszerne kalosze. Co prawda stąpamy głośno, brzęcząc odpiętymi zatrzaskami kaloszy, ale przynajmniej nasze stopy mają się nie najgorzej. Pełnimy zatem służbę wartowniczą. Rolin dopiero co skończył swoje cztery godziny, a ja zaczynam moje. Jakaś połowę z tego udało mi się przeklinać. Nie wiem, czy Rolin spał na warcie, ja jestem mniej więcej przytomny. Rolin nosi zegarek: to jedna z prerogatyw sierżanta sztabowego. Stoi na górnym stopniu, oparty łokciami o ziemny nasyp, który utwardziliśmy wokół obrzeża okopu. Dzielimy ten grajdoł z dwójką Irlandczyków, MacMahonem i Learym, którzy uchodzą za bliźniaków, choć nie są nawet braćmi. Obejmą wartę przez pierwsze cztery godziny dnia. Postawiłem na nasypie ręczny karabin maszynowy typu Browning, bicz boży Armii Amerykańskiej, i wsunąłem zgrabiałe dłonie pod brodę, aby je ogrzać. Mam pewność, że teraz nie zasnę przed wschodem słońca. O tej porze roku w tej części świata zmrok zapada już o wpół do piątej wieczorem i utrzymuje się do dziewiątej rano. Moja zmiana wypada od czwartej do ósmej. Przesuwam spojrzeniem po rozciągniętej przede mną białej łące. Wszyscy jesteśmy wciąż pod wrażeniem nagłej śmierci niedoszłego dowódcy naszej kompanii. Nie wiem, jaką drogę przeszedł na bojowym szlaku, ale urwała się ona w naszym oddziale. Uplywa może godzina warty, kiedy wydaje mi się, że dostrzegam coś przed sobą mniej więcej na godzinie dziesiątej. Rośnie tam kilka drzew, które wcinają się w szeroką, otwartą przestrzeń. Z początku sędzę, że widzę cienie. W czasie księżycowej nocy, gdy chmury pędzą po niebie, najlepiej przypaść nisko do ziemi i obserwować teren kątem oka. Przekonałem się, że to najlepszy sposób na obserwację w ciemnościach, wszyscy go stosujemy. Nie przypominam sobie, by ktokolwiek nam o nim powiedział, a szkoda. Przeszedłem już przez tyle pól minowych, że ludzie niechętnie chodzą ze mną na patrole. Zyskałem sobie nawet przydomek "Skacząca Betsy" - od znanej niemieckiej miny przeciwpiechotnej, która w momencie wybuchu wyskakuje w powietrze. Teraz jednak mógłbym przysiąc, że coś tam jest. Tężeję w bezruchu, nie kładąc nawet palca na spuście browninga. Zauważam drugi przesuwany się cień, dalej na łące, ale również z boku. Dzieli mnie od nich ponad sto metrów, a nocą, na śniegu, trudno być pewnym tego, co się widzi. Nie chcę budzić Rolina bez potrzeby. Wtedy zauważam, jak jeden z cieni przemyka się szybko, a drugi podąża tuż za nim. Staram się zachować ciszę. W oddziale znany jestem jako "cykor",

bo kiedy się denerwuję, zaczynam czkać. Mocno przygryzam dolną wargę i staram się powstrzymać czkawkę. Lekko szturcham stopą śpiącego Rolina.

- Obudź się, Roi. Chyba coś widzę. Odpycha mnie parokrotnie, mrużąc coś przez sen.

- Rolin, mówię poważnie. Słowo honoru! Widzę coś po lewej stronie. Obudź się! Zrywa się i staje obok mnie.

- Pokaż gdzie, Al? Wskazuję mu miejsce, gdzie zauważyłem oba cienie.

- Chrystusie Nazareński! Masz absolutną rację, coś tam jest. Patrol. Co najmniej sześciu ludzi. Dzwoni na punkt dowodzenia, tylko nie narób hałasu. Biorę do ręki telefon i dwa razy kręcę korbką. Czas odbębnić ustaloną procedurę telefoniczną.

- Baker dwa wzywa Abła jeden. Jak mnie słyszysz? Zgłaszają się. Od razu przechodzę do rzeczy.

- Wydaje nam się, że odkryliśmy wrogi patrol. Pytają, czy na pewno.

- Tak. Gallagher mówi, że jest ich przynajmniej sześciu. Co mamy robić? Po drugiej stronie zapada dłuższa cisza. Prawdopodobnie budzą dowódcę warty i porucznika. W słuchawce odzywa się porucznik.

- Tak jest, sir. Wygląda nam to na szkopski patrol w sile siedmiu albo ośmiu ludzi, na godzinie dziesiątej. Oddaję telefon leżącemu obok mnie Rolinowi. Podnoszę się i zajmuję pozycję za browningiem. Nadal dławię w sobie czkawkę, dygocząc od stóp do głów. Ciekawe, czy potrafię obsłużyć ten karabin maszynowy. Strzelałem z niego jedynie na ćwiczeniach. Zazwyczaj noszę tylko garandę, czasem nasadzam fosforowy granat na koniec lufy. Mimo rad Mary nie mam zaufania do swoich umiejętności strzeleckich.

- Tak jest, sir. Jesteśmy w tym okopie z Duaimem. Damy sobie radę, ale gdybyście mogli wysłać kogoś do pomocy, chętnie skorzystamy. Każcie im zachować ostrożność. Szkopy na razie nas nie namierzyły, może uda się nam złapać ich w pułapkę. Urywa. Nadal nie spuszcza z oka skradających się Niemców. Raczej nie wiedzą o naszym istnieniu, mogli się też zgubić. Nie wyglądają na formację bojową. Może to niemiecki patrol zwiadowczy, który - podobnie jak my - szuka czegoś, o czym mógłby zameldować przełożonym? Rozkaz, sir. Rolin odwiesza słuchawkę i staje koło mnie. Nie odzywamy się, patrzymy wprost przed siebie. Wstrzymuję oddech, by nie pokazać, że wstrząsa mną czkawka. Stojący tuż przy mnie Rolin

szepcze mi do ucha.

- Dorwijmy ich, AL Zaczniemy od końca. Skosisz ich serią, a ja zdejmę tych, których nie trafisz. Myślę, że położymy wszystkich. Jestem pewny, że jest ich tylko ośmiu i nikt ich nie osłania. Siedzą tam jak stadko kuropatw na polu, tylko wycelować i pociągnąć za spust. Bierzmy je, piesku! Z kimś takim jak Ronn nie sposób się długo bać. Milczę, czekając, co będzie. Szkopy leżą prosto na nas. Może doskonale wiedzą, że tu jesteśmy, i odstawiają swoją wersję utęTysiego patrolu"? Co do mnie, nie mam nic przeciwko temu, aby resztę wojny spędzić jako jeniec, ale Rolin nie chce o tym słyszeć; ostrzeliwałby się tak długo, dopóki byłoby to możliwe. Niemcy się zbliżają. Obawiam się, że za chwilę się zmoczę; nie byłby to pierwszy raz, odkąd zaczęła się ta głupia wojna.

- Spójrz, AL Widzisz tego na końcu, po lewej? Kiwam głową w ciemnościach.

- Okej, zacznij od niego i przejedź się po reszcie ogniem ciągłym z tej twojej bestii.

Tylko pamiętaj, żeby trzymać lufę w dół. Dobrze? Masz drugi magazynek? Przytakuję. Oprócz załadowanego magazynka mam też dodatkowy, przylepiony taśmą do kolby. Nie sądziłem, że będę go potrzebował. Biorę kilka głębokich oddechów, czkawka jakby nieco zelżała.

- Al, każdego, który ci się wywinie albo zacznie się cofać, biorę na siebie. Trzeba działać szybko. Nie wiem, ile czasu zajmie naszym chłopcom dotarcie tutaj, więc sami to załatwimy. Okej? Korci mnie, aby się wygramolić z tej dziury i uciec do cieplej, śmierdzącej piwnicy, lecz paraliżuje mnie strach. Kiwam głową, ocieram dłonią zimny pot z czoła i przywieram do browninga. Pociągam za spust, tak jak uczyła mnie Mary, i przesuwam broń, nadal naciskając spust, i nic. Choć szarpnię za język spustowy, nic się nie dzieje! Rkm się zaciął, to się często zdarza browningom. Próbuje go odblokować, ale bez rezultatu. Słyszę, jak obok mnie Rolin oddaje w regularnych odstępach pojedyncze 1A1 strzały. Czekam, aż nieprzyjaciel odpowie ogniem. Obracam się i wymieniam magazynki. Broń strzela raz i znów się zacina. Rolin nadal strzela w odmierzony, równy sposób, niemal jak automat. Dzwoni mi w uszach.

- Myślę, że już koniec, AL Dorwaliśmy wszystkich. Za nami odzywa się brzęczyk telefonu. Rolin klęka koło aparatu.

- Wszystko w porządku. Podchodzili do naszego stanowiska, ale ich zatrzymaliśmy. Nie

wysyłacie ludzi, dopóki nie dam znać, że droga wolna. Mówi to takim tonem, jakbyśmy właśnie się opędzili od roju szerszeni. Cały się trzęsę, prawie że osuwam się na dno okopu. Gallagher odkłada słuchawkę i prostuje się. Ja w dalszym ciągu kulę się nad moim bezużytecznym karabinem.

- Kurczę, szkoda, że nie mamy lornetki. Andersen ma i prawie jej nie używa.

- Może tu przyjdzie, Roi.

- Nie przyjdzie, chyba że będzie musiał, a nie będzie musiał, dopóki nie zamelduję.

- O czym? Rolin gapi się we mnie w księżycowej poświacie.

- Że droga wolna i mogą przyjść.

- Jak myślisz, kiedy to nastąpi?

- Czy zauważyłeś tam jakiś ruch po naszej rozwałce? Wiem, że wpakowałem każdemu co najmniej jedną kulkę. Najpierw ruszyli do ataku, ale potem zaczęli uciekać.

- Ja strzeliłem dwa razy, na początku i na końcu, ale chyba żadnego nie trafiłem. No, może tym pierwszym strzałem. Rolin przeciąga się i rozluźnia ramiona. Robi skręty tułowia.

- Zobaczysz, Al, przyznają ci za to Brązową Gwiazdę. Andersen nie będzie się czepiał o drobiazgi. Może wcześniej wrócisz do domu. Podobno zamierzają wycofywać z frontu tych, którzy zbiorą ileś tam "punktów". Brązowa Gwiazda powinna być warta kilka punktów. Śmieje się, przesuwając spojrzeniem po nieruchomych, białych łąkach. Okolica przywodzi na myśl naprędce zaimprovizowany cmentarz. Bo też nim jest. Choć zaczynam odzyskiwać czucie w członkach, mój żołądek wywraca się na drugą stronę i zbiera mi się na wymioty. Czy powinienem powiedzieć Mary o tym, co tu się stało? Sam ledwie w to wierzę. W pewnym sensie to nawet gorsze niż te okropieństwa, które działy się na normandzkiej plaży. Zdecydowanie nie urodziłem się żołnierzem, może nawet nigdy w pełni nie dorosnę. Zgadzam się zostać w okopie i osłaniać Rolina. Odblokował zamek w moim browningu, a przynajmniej tak twierdzi. Chce wyjść, pod warunkiem że będę go osłaniał. Patrzę, jak wdrapuje się na nasyp, rozgląda i puszcza biegiem w dół zbocza. Nie wiem, na jakiej podstawie sądzi, że nikt go nie widzi. Czasem wydaje mi się, że ma wszystko w nosie. Na swój sposób Rolin jest podobny do mnie - nie chce dorosnąć. Traktuje życie jak zabawę i czuje się ważny, robiąc takie rzeczy jak w tej chwili. Obserwuję go brnącego przez śnieg. Biały puch sięga mu do

kolan. Chwilami zdaje się znikać, to znowu pojawia się w moim polu widzenia. Wreszcie wyłania się z lasku nieopodal miejsca, gdzie leżą trupy niemieckich zwiadowców. Przechodzi od jednego do drugiego i odwraca ich nogą na wznak. Najwyraźniej miał słuszną rację: zabiliśmy wszystkich. Akurat gdy o tym myślę, rozlega się strzał, a tuż po nim następny. Rolin cofa się w stronę lasku i ponownie strzela w jedno z ciał na ziemi. Więc jednak nie całkiem miał rację. Zastanawiam się, czy i ja zdołałbym zastrzelić leżącego na ziemi człowieka. Armia stanowczo mnie przecenia, płacąc mi żołd sierżanta. Gallagher podchodzi po kolei do ciał. Nie widzę dokładnie, co robi. Mam nadzieję, że nikt go nie śledzi tak badawczo jak ja. W końcu odwraca się i rusza do okopu. Kiwa na mnie, abym do niego wyszedł. Do czego miałbym mu być potrzebny? Widząc, że ignoruję jego sygnały, daje za wygraną. Maszeruje różnym krokiem przez śnieg, jakby szedł szlakiem narciarskim albo bawił się na kuligu. Czekam na niego. Myślę, czy nie powinienem zadzwonić do punktu dowodzenia, gdzie Andersen i reszta towarzystwa, usłyszawszy wystrzały, pewnie gryzą palce ze zmartwienia. Jednak nie robię tego. Rolinowi by się to nie spodobało. Ześlizguje się po ścianie okopu, zgarniając ze sobą śnieg, i szczyrzy zęby jak idiota.

- Czemu nie przyszedłeś, Al? Straciłeś niezły widok: te szwabskie świny zaczynają już zamarzać. Trzeba przyznać, że strzelaliśmy wyborowo. Tylko paru zatrzepotało. Kilku z nich załatwiliśmy za drugim strzałem. Widziałeś tego starszego gościa, który chciał mnie kropnąć z ukrycia? Zrobiłby to, gdybym mu nie przestrzelił ręki. Musiał mieć co najmniej pięćdziesiąt lat. Palnąłem mu prosto w twarz. Wyobrażasz sobie, zginąć przez takiego staruszka? Człowiekowi może się z miejsca odechcieć wojaczki. Roi, chyba nie mówisz tego wszystkiego poważnie? Najwyraźniej takie zabijanie sprawia ci przyjemność.

- To prawda, Al. Wiesz, że mój ojciec i ja jesteśmy zawodowymi myśliwymi. Przed wojną zabieraliśmy ludzi z Nowego Jorku i Pensylwanii do lasu i pomagaliśmy im polować na jelenie, niedźwiedzie czy co tam sobie upatryli. Ustrzelenie jelenia o wielkim, rozgałęzionym porożu albo wyrośniętego samca baribala to niesamowita frajda. Nie przepadam za łowami na bażanty, kuropatwy czy króliki, wolę grubszą zwierzynę. Polowanie strasznie wciąga. A znasz bardziej ekscytujące zwierzę łowne niż człowiek? Rany, marzę o tym, żeby pojechać do Afryki i ustrzelić lwa albo bawołu. Myślę, że instynkt zabijania wielkich zwierząt mamy we krwi,

przypomina nam, że stoimy na najwyższym szczeblu drabiny życia. - Rolin przyklęka i kładzie telefon na kolanach. - Tu Baker dwa, Abel jeden zgłoś się. Zredukowaliśmy niemiecką populację o ośmiu. Trochę wyrównaliśmy rachunki, no nie? - Urywa i mruga do mnie porozumiewawczo. - Jasne, chodźcie tu. Nie zapomnijcie hasła - dodaje z uśmiechem. Rolin naraża się na ciągle kłopoty, bo nie pamięta haseł. Zmyśla więc nowe, świetnie się przy tym bawiąc. Jego zapominalstwo doprowadza Andersena do szału. Siada na piętach i zaczyna opróżniać kieszenie. Z górnych kieszeni wyciąga obcięte insygnia i pokazuje mi je.

- Mam dla ciebie nagrodę, Al. W wyciągniętej garści trzyma zegarki, pierścienie i naszywki.

- Bierz, do wyboru do koloru, zanim te sępy się tutaj zlecą. Ten zegarek jest chyba najlepszy. Ściągnąłem go dowódcy patrolu. Popatrz tylko, ma odblaskową tarczę i sekundnik. Ten facet wyglądał na oficera. Teraz gryzie ziemię. - Podsuwa zegarek w moją stronę. - No, weź go. Dobrze chodzi. Nakręciłem go, wracając do okopu. Pamiątka jak znalazł, podarujesz ją swojej dziewczynie, Mary. Nim zdążę zareagować, Rolin podkasuje rękaw mojej kurtki polowej i wsuwa mi zegarek na nadgarstek.

- Widzisz, ma elastyczną bransoletkę, a z tyłu jest jakiś napis. Nie mogę go odczytać w tych ciemnościach. Przez jakiś tydzień, dwa nie pokazuj go chłopakom, bo jeszcze któryś się przyczepi. Jest tyle głupich przepisów zabraniających odbierać więźniom rzeczy osobiste. Zresztą, ci faceci nie byli więźniami, natomiast kradli wszystko, co wpadło im w łapy. Mówię ci, Al: spadliśmy na nich jak grom z jasnego nieba. Pokazaliśmy szkopom, jak się walczy, no nie? - Spogląda na mnie. - Chyba znalazłem tego, którego ty położyłeś. Szedł na końcu, tak jak mówiłem, zrobił może z dziesięć kroków, kiedy dopadła go druga kulka. Nie pożył dłużej jak dwie minuty od twojego strzału. Pojawiają się pozostali chłopcy z drużyny. Andersen rozstawił ich na całej długości okopu. Rolin, jak przystało na sierżanta plutonu, składa wyczerpujący raport: podaje stan liczebny wroga, odległości, liczbę oddanych strzałów. Kiedy mu się chce, bywa prawdziwym żołnierzem, ale nie przywiązuje się do swojej roli. Gdy Andersen odwraca wzrok, puszcza do mnie oko. Porucznik ogląda przez lornetkę miejsce, gdzie spoczywają niemieccy zwiadowcy, a potem zwraca się do Rolina.

- Myślisz, że jest ich tam więcej?

- Przypuszczam, że więcej niż kompania, ale mniej niż pułk, sir. Trudno powiedzieć. Sądząc po sile tego patrolu rozpoznawczego, zalecałbym atak. Wiem, że Rolin robi sobie jaja, napędzając porucznikowi stracha. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Sierżancie, świetnie się spisaliście. Chcę wam pogratulować. Wyślę pułkownikowi pełny raport na temat tego, co tutaj zaszło. Sierżancie Duaime, was również nie pominę w swoim raporcie.

- Tak jest, sir. Sierżant Duaime jak najbardziej zasłużył sobie na to. On pierwszy zadał straty niemieckiemu patrolowi, a potem do końca osłaniał mnie z okopu. Zasługuje na zaszczytną wzmiankę, sir.

- Moja w tym głowa. Co zrobimy z ciałami?

- Ja bym ich tam zostawił, sir. Nikt im nie zrobi krzywdy. Po prostu zamarzną, i tyle. Po co narażać naszych ludzi? Mam przy sobie insygnia i inne oznaczenia, które obciąłem z niemieckich mundurów.

ROZDZIAŁ 14

Mniej więcej w tym czasie porzucam wojnę. Nie chodzi o to, że boję się jeszcze bardziej niż dotychczas, tylko o to, że teraz zaczynam się bać również o Niemców. Zaczynam ich widzieć takimi, jacy są: zwykle, żalodne, głupie sukinsyny uwikłane w szaleństwo, z którego nie potrafią się wyplątać. Żaden z nas nie ma pojęcia, na jakiej podstawie dwa dni później pułk decyduje się ruszyć naprzód. Rolin twierdzi, że wojskowi prostują fronty, ale to chyba zbyt łatwe wytłumaczenie. Próbuję pogadać z Rolinem o tym, co czuję, o mojej decyzji, by zrezygnować i wziąć nogi za pas, ale mnie nie rozumie. Sądzę, że nie chce. Nie staram się go przekonać na siłę.

- Jezu, Al, zabijamy ludzi, o których nie wiemy nic poza tym, w co każą nam wierzyć - przyznaje Gallagher. Jedni i drudzy chcą nas ukatrupić. Zupełne wariatkowo.

- To czemu nie chcesz ze mną uciec, Roi?

- Odpada, Al. Uważam, że w momencie, gdy zapisałem się na wojnę, przekreśliłem swoje uczucia osobiste. Pewnie by nas nie rozstrzelali, ale już nigdy nie daliby nam spokojnie żyć w Ameryce. Lepiej już siedzieć w tym syfie. Jesteśmy na tyłach piwnicy, gdzie leżą nasze śpiwory. Dopiero co wyczyściliśmy karabiny, bo chodzą słuchy, że rano wyślą nas do ataku. Udało mi się wcisnąć tego browninga komuś z drugiego plutonu. O tym, że karabin się zaciął, nie zająknąłem się ani słowem, może powinienem był o tym wspomnieć, ale wtedy nikt by się ze mną nie zamienił. Gallagher i ja próbujemy upiec zmrożone na kość ziemniaki tłukące się w naszym worku, a zamiast tego pokrywamy je warstwą czarnej sadzy. Do gotowania służy nam mała butanowa kuchenka; nie mamy ani garnka, ani wody. Trzymamy kartofle nad ogniem nadziane na bagnety. Przynajmniej mamy jakieś zajęcie, które zaprzęta nasze myśli. Odkrywam, że teraz, gdy zdecydowałem, iż zrezygnuję z udziału w wojnie, moje samopoczucie wyraźnie się poprawiło.

- Co byś pomyślał, gdybym zwiął. Roi? Gdybym zdezerterował którejś nocy, kiedy nie mam warty?

- Skoro pytasz, to ci powiem. Pomyślałbym, że padło ci na mózg, Al, i że podpasz pod paragraf ósmy. Z tego frontu nie można ot, tak sobie, odejść, nie natykając się przy tym

na blokadę drogową albo żandarmerię. Tak długo jak każą nam tu siedzieć, jesteśmy swego rodzaju więźniami. Na samą myśl o tym dostaję gęziej skórki. Na twoim miejscu, Al, nie próbowałbym tej sztuczki. Wielu chłopców chciałoby uciec, ale się boją - tak samo jak ja. Wpadliśmy w pułapkę.

- Taak, chyba masz rację. Jednak nie rezygnuję. Umacniam się w przekonaniu, że albo zginę, albo zostanę ciężko ranny. W szpitalu pojąłem, że lekarze są tam po to, byśmy tkwili tutaj między młotem a kowadłem, nie mając wyjścia. Sytuacja wydaje się beznadziejna. Swoje myśli zachowuję dla siebie. Uznaję, że im mniej ludzi wie, co planuję, tym łatwiej będzie mi się wymknąć. Zaczynam rozumieć chłopców, którzy przestreliwują sobie rękę czy nogę. Zgoda, idą pod sąd wojenny, zostają wyrzuceni z wojska i mają plamę w życiorysie, ale lepsze to niż śmierć od kuli na ośnieżonym polu. Ci, których zastrzeliliśmy, nadal tam leżą, znikając pomału pod zwalami suchego, nawianego śniegu. Pożyczam lornetkę i uważnie im się przyglądam, a zwłaszcza żołnierzowi, którego przypuszczalnie zastrzeliłem. Domyślam się, który to, Roi zaś nie ma cienia wątpliwości. Nie mieści mi się w głowie, że jestem zdolny do takiego czynu. Klóci się on ze wszystkimi świętościami, które wpajano mi przez całe życie, z wartościami, w które głęboko wierzę. Wyruszamy następnego dnia o piątej rano. Przejdziemy tuż obok zwłok niemieckich żołnierzy. Wybieramy tę drogę, gdyż przejście to daje najlepszą ochronę przed nieprzyjacielem. Drużynę prowadzi Rolin, my za nim gęsiego, w odstępach pięciu jardów. Z powodu gęstej mgły nawet na tę odległość kiepsko widać. Kiedy mijamy ciała zabitych, nie mogę się powstrzymać przed spojrzeniem. Trupy są sinobiałe, krew wsiąkła już w śnieg, robiąc w nim dziury. Jest tak ciemno, że na dobrą sprawę trudno orzec, czy to krew. Dłuższą chwilę przyglądam się żołnierzowi z rozprutym rękawem, któremu Rolin zwędził zegarek. Zmuszam się do patrzenia, ponieważ nie chcę, aby zawiodła mnie pamięć, gdy przyjdzie czas uczynić to, co trzeba. Około stu jardów dalej, pokonując niewielkie wzniesienie, dostajemy się pod ogień broni maszynowej i ostrzał z dział pancernych. Nadal prawie nic nie widzę. Nie słychać krzyków, więc wnioskuję, że nikt nie jest ranny. Roi podrywa się i rzuca w kierunku, skąd zdaje się dochodzić ogień. Nie zamierzam mu towarzyszyć. Moszczę się w małej niecce wypełnionej wodą. To dziwne, że woda zachowała się przy tej ilości śniegu, ale jest - padam w nią i zanurzam się w lodowatej wilgoci. Nasadzam granat fosforowy na lufę karabinu. Tak

schowany, szukam ruchomego celu. Rozlega się wybuch i słyszę wrzask dolatujący z mojej lewej strony. Nie zastanawiając się długo, gramolę się w tym kierunku. Podeszedłszy bliżej, rozpoznaję Gallaghera. Leży na plecach w śniegu i kołysze się w tył i w przód, trzymając się za nogę.

- Pomóż mi, Al! - woła między jękami bólu. - O Boże! Nadepnałem na pierdoloną minę. Sanitariusz, sanitariusz, pomocy!!! Staję przy nim. Mina urwała mu nogę od kolana w dół. Stopa została w wykręconym bucie. Karabin leży w śniegu. Wbrew sobie odwracam wzrok. Znow cały drzę. Biorę się jednak w garść, wsuwam bagnet w postrzępioną, zakrwawioną nogawkę spodni i zaciskam ją na nodze. Nikt nie nadchodzi. Zaczynam wzywać sanitariusza. Unoszę wzrok i rozglądam się wokół - nikogo nie ma. Kusi mnie, by wziąć nogi za pas, ale tutaj leży przecież Rolin Gallagher, mój przyjaciel. Wstaję i wołam, wrzeszczę, drę się ile sił w płucach: NA POMOC! NA POMOC! NA POMOC!!! Sanitariusz! Lecz sanitariusz się nie zjawia. Nikt się nie zjawia. Zaczyna się natomiast ostrzał pociskami smugowymi, do których po chwili dołączają głucho eksplozje granatów moździerzowych. Padam na ziemię obok Rolina. Wiem, że między każdą z tych przecinających powietrze czerwonych linii, które widzę, lecą cztery, których nie widzę, ale które równie dobrze mogą mnie zabić. Czuję wzbierającą falę mdłości, myślę jednak tylko o tym, aby zatamować krwawienie Gallaghera. Moje dłonie i twarz lepią się od jego krwi. Rolin jest bliski utraty przytomności, raz po raz bredzi coś, miaucząc jak dziecko albo kotek. Nagle wypręża się w łuk i skręca. Mój bagnet, tworzący opaskę uciskową, wyslizguje się i znika w śniegu. Usiłuję wydobyć z pasa zestaw opatrunkowy, ale nie mogę tam dosięgnąć, bo apteczka przesunęła mi się na plecy i zapchała śniegiem. Zrywam z siebie pas z amunicją i odczepiam zestaw. W półmroku wydaję bandaż i owijam nim nogę Gallaghera tam, gdzie przed chwilą było kolano. Rolin się nie rusza. Przygryzam bandaż, oddzieram go i próbuję mocno zawiązać, ale kiepsko mi to idzie. Krew sama przestała wypływać. Cały czas mówię półgłosem do Gallaghera, pocieszam go, że się z tego wyliże, lecz nie odpowiada, o Sanitariusz! Pomocy!!! Sanitariusz!!! Nigdzie żywego ducha. Jakby wszyscy zniknęli. Układam Gallaghera na śniegu, z nogami opartymi o pochyłość zbocza, i patrzę na krzepnącą na nim i na śniegu krew. Zrzucam płaszcz i okrywam nim Rolina. Chcę dołączyć do reszty plutonu, znaleźć kogoś, kto mi pomoże. Bez przerwy wydaje mi się, że za

moment zemdleję. Wciąż mam przy sobie karabin, który teraz ładuję. Zaczynam piąć się po stoku wzniesienia, którym Gallagher i pozostali musieli zejść. Spostrzegam niemieckiego żołnierza - zbliża się do mnie z podniesionymi rękami na znak poddania. To może być moja szansa, droga ucieczki. Bez namysłu strzelam weń granatem fosforowym, który trafia go w brzuch i zwala na ziemię. Niemiec wyje. Ruszam biegiem w jego stronę. Wygląda, jakby płonął. Fosfor zapalił na nim płaszcz i spodnie. Niemiec podnosi się i trzepie po sobie rękami w mitenkach. Podbiegam do niego i obrzucam go śniegiem. Wypuścił swój karabin, ja rzucam mój; zgarniam oburącz śnieg i próbuję go nim zasypać. Obalam go na ziemię i tarzam w śniegu, wyciągając z jego munduru i ciała odłamki granatu, ale - podobnie jak Rolin - traci przytomność. Nic tu po mnie. Chcę jedynie wrócić do plutonu. Zostawiam Niemca i spoglądam za siebie, w stronę Rolina, ale się nie porusza. Nikt nie przychodzi mu z pomocą, nikt nas nie osłania. Można odnieść wrażenie, że wszyscy rzucili tę wojnę w diabły. Ślizgając się i potykając, wchodzę na wzgórze i zauważam rozciągnięte na śniegu ciało. Nie jest to anonimowy trup, tylko jeszcze jeden ranny żołnierz amerykański; nie znam go. Charczy coś bełkotliwie, próbując krzyczeć, i macha na mnie rękoma. Obraca się w moją stronę a wtedy hełm zjeżdża mu z głowy. Nie ma twarzy! Wygląda tak, jakby zamiast twarzy nosił maskę, która teraz zsunęła mu się na pierś. Krew wytryskuje zeń coraz słabszymi strumykami. Krztusi się, gdy usiłuję zatrzymać krwotok, a kiedy dotykam jego skóry, wyczuwam pod palcami krwawą miazgę. Staram się go ratować, lecz nagle ziemia wyskakuje mi spod nóg, tracę oddech i czuję, że wzbijam się w powietrze. Dochodzę do siebie w namiocie służącym za szpital polowy. Znów wylądowałem na składanych noszach. Obmacuję się po rękach, nogach, palcach, głowie, chcąc się upewnić, że niczego mi nie brakuje. Dwóch sanitariuszy obmywa mnie z krwi, którą jestem umazany od stóp do głów. Co chwilę oblewają mnie wodą i wycierają całe ciało. Moja głowa jest owinięta bandażem, a na brzuchu i udach mam opatrunek. Wciąż sprawdzam wszystkie członki. Czy moje rany są na tyle poważne, aby wykluczyć mnie z udziału w wojnie? Doliczam się dwóch nóg, dwóch rąk i tego, co trzyma je w kupie. Kładę się na łóżku z uczuciem, że wojna się wreszcie skończyła, przynajmniej dla mnie. W tym momencie tylko to się liczy. Kłują mnie igłą i zanim zasnę, przez jedną czy dwie sekundy martwię się jeszcze o Rolina, Niemca i żołnierza bez twarzy. Próbuję zwrócić czyjąś uwagę,

ale wszyscy krzątają się wokół swoich spraw. Mam coś do zrobienia, o czym mój umysł tak łatwo nie zapomni. Kołaczę się we mnie jeszcze trochę życia - chcę je przeżyć najlepiej jak umiem. Powtórnie odbywam znajomą pielgrzymkę z pola bitwy do szpitala. Tym razem jednak nie mogę zapanować nad łzami. Nie wiem, dlaczego płaczę. Chyba oplakuję los wszystkich ludzi. Czemu istoty ludzkie traktują się nawzajem z takim okrucieństwem? Jak mogłem zostawić biednego Rolina, tego Niemca, w którego bezmyślnie palnąłem granatem fosforowym, i tego młodego żołnierza ze zdartą twarzą? Jakże mogłem zastrzelić człowieka, którego zegarek dał "mi Rolin, i żyć sobie dalej jakby nigdy nic? Przesuwam wzrok na rękę, tę nie obandażowaną, i widzę, że zegarek znikł. Pewnie zabrał go któryś z łapiduchów. Ponownie zaczynam cicho szlochać, w końcu zasypiam. Później dowiaduję się, że od tej chwili leżałem nieprzytomny przez dwa dni. Przenoszą mnie do Metzu, a potem do Paryża. Gdy przytomnieję, młody lekarz wyjaśnia mi, co i jak będzie operował. Okazuje się, że dostałem nagłej, obustronnej przepukliny; moje trzewia próbują się ze mnie wyslizgnąć. Lekarz pyta, co się stało. Nie wiem. Przy każdym słowie wybucham płaczem. Płaczę zresztą większość czasu, także wtedy, gdy nie staram się mówić. W pewnym momencie ziemia wyskoczyła mi spod nóg, sir. Nie wiem, co było potem.

- Musiałeś się znaleźć w polu rażenia pocisku. Sądząc po odłamkach, które z ciebie wydłubałem, wygląda mi to na amerykański 155 milimetrów. Sanitariusz, który cię przyniósł, myślał, że nie żyjesz. Odwalił kawał dobrej roboty - zatamował krwotok i wepchnął ci jelita z powrotem, nie uszkodzając ich. Zawdzięczasz mu życie. Zanoszę się tak silnym szlochem, że z trudem słyszę i rozumiem, co lekarz do mnie mówi.

- Dziś po południu będę cię operował. Trzeba odbudować podporę dolnych mięśni brzucha. - Spogląda mi prosto w oczy. - Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Do wesela się zagoi. Próbuję się uśmiechnąć przez płynące stale łzy. Jestem tutaj, prawda? I żyję, prawda? To mi wystarczy, sir. Proszę robić to, co uzna pan za konieczne. Ja będę wdzięczny. Wtedy musiałem ponownie zemdleć. Właściwie to nie chcę być przytomny. Może nafaszerowali mnie środkami usypiającymi. Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Ilekroć bowiem zaczyna mnie obchodzić, przed oczami staje mi Gallagher, Niemcy i ranny żołnierz. Sen przynosi ukojenie. Żyję z dnia na dzień, może przestaję nawet płakać. Nie przypominam

sobie, żebym jadł. Nie ma mnie. Gdy się otrząsam - na tyle, by wróciła mi pamięć stwierdzam, że jestem już po operacji. Czuję się jak mumia, ciasno spowity bandażami. Wodzę po sobie dłońmi, mając wrażenie, że zostałem odizolowany od świata. Pamięć opuszcza mnie na kolejnych parę dni. Czuję, że gdybym chciał, mógłbym sobie to i owo przypomnieć, ale nie chcę. Następne, co dociera do mojej świadomości, to karmienie zupą. Sympatyczna pielęgniarka w średnim wieku powoli wsuwa łyżkę do moich ust. Krztuszę się i ślina spływa mi po podbródku.

- Ejże, żołnierzu, przyłóż się trochę. Jeśli nie będziesz jadł, trzeba cię będzie znowu karmić przez zgłębnik żołądkowy. Jej słowa sprawiają, że przytomnieję. Patrzę na pogodną twarz damy, która posyła mi uśmiech. I w tej samej sekundzie wiem już, że się skończyło. W odpowiedzi uśmiecham się do niej.

- Gdzie jestem? Jaki dziś dzień? Gdzie mój oddział? Pielęgniarka wlewa mi do ust kilka łyżek zupy. Niemal czuję, jak wracam do sił. Wezgiłowie łóżka jest podniesione, a nad nim wisi stolik. Obracam lekko głowę, aby się rozglądnać po wnętrzu, i przeszywa mnie ból. Opadam z powrotem na miękką poduszkę. Już nigdy nie wyślą mnie na front. Uśmiechnięta siostra dalej karmi mnie zupą. Najwyraźniej większość czasu przesypiam. Nie mam zielonego pojęcia, który jest dzień tygodnia. Inna, młodsza pielęgniarka mierzy mi temperaturę. Uśmiecha się, jakby skrywała przede mną tajemnicę. To musi być ich zwykły, zawodowy uśmiech. Informuje mnie, że znajduję się w szpitalu pod Paryżem, że doznałem rozległych obrażeń wewnętrznych i skaleczeń i przeszedłem udaną operację obustronnej przepukliny. Słucham jej z uwagą. Pytam o datę. Okazuje się, że jest dziesiąty marca, dzień urodzin mojego ojca. Wiem, że do ataku ruszyliśmy czwartego marca, zaledwie sześć dni temu, a wydaje się, jakby upłynęło dwadzieścia lat. Co więcej, okazuje się, że ktoś odszukał mój jutowy worek i listy, które w tym czasie do mnie przyszły; są tutaj, w szpitalu. Młoda pielęgniarka obiecuje spytać lekarza, czy mogę się zapoznać z korespondencją. Potem znika. Na następne spotkanie przychodzi z rosołem i garścią listów.

- To tylko czubek góry lodowej. Przyniosę ci resztę, jak lekarz wyrazi zgodę. Ta Mary Denis musi być mistrzynią świata korespondentów drugiej wojny światowej. Siostra ma rację: prawie wszystkie listy są od Mary. Sporo się tego uzbierało. Pisałem do niej w każdej wolnej

chwili, zwykle kiedy było ze mną krucho i chciałem z kimś porozmawiać. Od czasu desantu w Francji nie miałem od niej żadnych wieści. Oczywiście, ciągle zmienialiśmy miejsce pobytu i poczta rzadko do nas docierała. Nawet święta Bożego Narodzenia spędziliśmy, tkwiąc po czubek głowy w lesie Hurtgen i w Ardenach. Większość listów od Mary to pomniejszone kopie oryginałów, które przewieziono przez Atlantyk na mikrofilmach. Przepatruję je i układam według daty. O ile mogę się zorientować, nie zostały jakoś szczególnie ocenzurowane. Cóż takiego zresztą mogłoby się zdarzyć w południowej Filadelfii, co by miało wpłynąć na bieg wypadków w tej idiotycznej europejskiej kołomyi? Najwcześniejszy list, jaki odnajduję, pochodzi z okresu, kiedy byłem jeszcze w Anglii. Pozostałe nie mogłyby do mnie trafić. Otwieram pierwszy list. Drogi Willu! Mam nadzieję, że jesteś zdrowy. Z tego, co pisze się w gazetach i mówi w radio, nie można wykluczyć, że zostaniesz przerzucony do Europy. Mam nadzieję, że wzmianka o tym nie jest niebezpieczna. Sophie zмага się z rakiem. Przeszła już trzy operacje, lecz skutki są dość mizerne. Znosi to bardzo dzielnie jest aktywna, gotuje, sprząta. Ja staram się pomagać przy dzieciach. Ethel również nam pomaga. Najgorsze jest to, że Sophie tak łatwo się męczy. Jeżeli się modlisz, pomódl się za nią. Uważaj na siebie. Nie nadstawiaj karku tam, gdzie nie trzeba, i nie zgłaszaj się na ochotnika. Zostaw to innym. Jako że ręka mi już mdleje, kończę ten list masą czekoladowych całusów. Twoja Mary Lektura listu sprawia, że łzy napływają mi do oczu. Wciąż nie mogę zapanować nad płaczem. Wystarczy drobne wzruszenie - i już się rozklejam. Na reszcie listów widnieją znacznie późniejsze daty. Nie przebrnę przez ten wymieszany pakiet, dopóki nie będę w lepszej formie. Z prawej ręki, tuż nad łokciem, wyjęto mi niewielki odłamek szrapnela. Zupełnie nie pamiętam, kiedy dostałem. Może stało się to po naszym ostrzale artyleryjskim, gdy rozrywający się obok pocisk cisnął mnie w górę? Całkiem możliwe. Lekarze mówią, że sterczałem na tym wzgórzu co najmniej dwa dni, zanim dotarli tam rejestratorzy grobów i wywlekli mnie na tyły. Pewnie wzięli mnie za jeszcze jeden ochłap mięsa. W miarę jak odzyskuję siły, coraz bardziej interesuję się wszystkimi listami, które podobno wysłała mi Mary. Trzy dni później wpada mi w ręce płócienny worek, a w nim listy. Ta przemiła siostra, która powiedziała mi o nadesłanych listach, teraz pomaga mi je segregować. Układam je chronologicznie na dwóch wiszących nad łóżkiem półkach. Nadal nie mogę siadać i z trudem unoszę głowę znad Jaśka opartego o

drugą poduszkę. Gdy tylko obowiązki jej na to pozwalają, ta cudowna siostra donosi mi wciąż nowe listy, ułożone już datami. Najwcześniejszy pochodzi z końca czerwca. Dokładam je do rosnących wciąż stosików. Mimo braku odzewu Mary musiała pisać do mnie co drugi dzień; cały czas zakładała, że żyję. Pomimo mojego milczenia nie rezygnowała. Odkąd nazwała mnie Willem, informowała mnie o życiu całej rodziny, nie zapominając też o bieżących wydarzeniach. Po lekturze wszystkich tych małych liścików, z których część pochodzi sprzed niemal dwóch lat, wiem więcej o tym, jak się żyło w gospodarstwie mlecznym w Wisconsin na przełomie wieków, niż zdołałbym ogarnąć. Z Alberta przemieniam się w Willa, a Mary jest dwiema osobami naraz: moją babcią i - bardziej od niej realną młodą kobietą, która wychowuje siedmioro dzieci na farmie pozbawionej ciepłej wody, prądu i innych udogodnień, z których korzystałem przez całe życie jako Albert. W ten sposób Mary dopuszcza mnie do swoich najskrytszych myśli, trosk i lęków związanych z farmą i z jej mężem - a moim dziadkiem - który mimo harówki popada w coraz większe długi. Dowiaduję się o zagrożeniach trapiących hodowców zwierząt, wypadkach, kłopotach z cielieniem się krów, tajemniczych chorobach dziesiątkujących bydło. Mary opowiada mi również o pracy żony farmera, która musi wydoić krowy, pomóc przy rodzeniu się cieląt i poradzić sobie z rodzeniem własnych dzieci. Jestem zaintrygowany. Czytam jej listy wiele razy, w każdym znajduję coś fascynującego. W okresach, kiedy walcząc z zakażeniem, mając w gorączce, zamieniam się w Willa. Toczę u boku Mary jego bitwy o przetrwanie. Uświadamiam sobie, że gdyby nie te listy, postradałbym zarówno życie, jak i rozum. Lektura owych listów rozciąga się prawie na cały okres mojej szpitalnej rekonwalescencji. Zauważam dziwną zmianę. Mniej więcej od czasu, gdy odniosłem pierwszą ranę, Mary zaczyna pisać na maszynie, w której po kroju czcionek rozpoznaję starego underwooda cioci Sophie. Już wówczas zwróciło to moją uwagę i spytałem o to w którymś z listów, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Ponadto wcześniejsze listy różnią się treścią od późniejszych, także tych, które doszły do mnie w szpitalu. Babcia zwraca się teraz do mnie Albert i mówi jedynie o bieżących sprawach, pyta, jak się czuję i czy sądzę, że wojna długo jeszcze potrwa. Ani słowa o farmie czy powiększającej się rodzinie. Przeczytawszy je powtórnie, uzmysławiam sobie, że listów tych nie napisała Mary, że ich autorką jest ciocia Sophie albo Ethel. Nawet podpis babci jest bardziej czytelny. Proszę jedną

z sióstr o papier i ołówek; przynosi mi je, a także stoliczek, na którym będę mógł się oprzeć, pisząc list. Jak się okazuje, pisanie przychodzi mi z większym trudem, niż myślałem; po pierwsze sprawia mi ból, a po drugie sprawy, o których chcę napisać, są trudne i wymagają przemyślenia. Poza tym szósty zmysł podpowiada mi, że piszę list do nieboszczki, do kobiety, którą kocham nad życie, do mojej Mary. Droga Mary! Zapewniam cię, że myślałem o tobie przez cały ten czas. Wojna stała się diabelnie uciążliwa. W tej chwili jestem w szpitalu w Paryżu, gdzie lekarze i pielęgniarki troskliwie się mną opiekują. Jeden z chirurgów zeszył mi brzuch rozszarpany odłamkiem pocisku. Wepchnął to, co należało, do środka i oczyścił ranę. Ludzie, którzy produkują bomby i kule, nie przejmują się ludźmi, którzy zostaną przez nie poranieni. A powinni. ' Straciłem kilku dobrych przyjaciół, którym nie mogłem pomóc, chociaż próbowałem. Wojna jest okropna. Tym razem oberwałem porządnie, więc wojsku chyba się już nie przydam. Ale nie zamierzam marnować życia. Mam nadzieję, że dobrze wykorzystam ten czas. Modłę się, by po zwolnieniu odesłali mnie do Filadelfii. Do zobaczenia na miejscu. Uważaj na siebie, a ja postaram się uczynić to samo. Zdecydowałem, że nie wezmę już udziału w żadnej wojnie, bez względu na to, czy mi ktoś każe czy nie, Podejrzewam, że żadna armia świata nie będzie już miała ze mnie pożytku. Mam tylko nadzieję, że przydam się samemu sobie i moim najbliższym, takim jak ty. Nadal boli, więc na tym zakończę. Przesyłam mnóstwo miłości i czekoladowych całusów. Miłej zabawy, Albert. Kładę list na stolik; później piszę następny do rodziców. Chciałbym też skreślić parę słów do przyjaciół, ale nie jestem pewny, co miałbym im powiedzieć. Wojna to trudny temat.

ROZDZIAŁ 15

Pewnego ranka stwierdzam ze zdziwieniem, że chirurg, który mnie operował, zatrzymuje się przy moim łóżku. Miał mnie wizytować dopiero za dwa dni. Jeszcze bardziej się zdumiewam, gdy na oczach lekarzy i pielęgniarek odwija mnie z bandażu, jakbym był prezentem pod choinkę - a może raczej od wielkanocnego zajęczka. Nie mam kalendarza, lecz o ile wiem, Wielkanoc tużtuż. Lekarz ściąga do mojego pokoju chyba wszystkich pracowników szpitala, których tu widziałem, żeby się gapili, jak będzie oglądał moje rany. Mój brzuch przecinają długie linie szwów i sterczą zeń rurki przypominające wentyle, przez które dawniej nadmuchiwaliśmy tanie piłki. Piłki te były niewiele lepsze od balonów. Mój brzuch także przywodzi na myśl balon, z tą różnicą, że kiedy chirurg dźga go palcem, z nacięć wypływa ropa i krew. Postanawiam, że jeśli ma mnie to uchronić przed powrotem na wojnę, będę leżał spokojnie i dam mu się pobawić. W tydzień później siedzę na statku płynącym do Ameryki. Lekarze uznali za bardzo prawdopodobne, że w poharatanych trzewiach rozwinie się infekcja, to zaś wymagałoby dalszej obserwacji mojego połatanego brzucha. Sadowię się wygodnie w kajucie pierwszej klasy obok trzech innych rannych. Z trudem przebija się do naszej świadomości, że wracamy do ojczyzny; wydaje się to zbyt piękne, aby było prawdziwe. A przecież tak jest. Przeprawa trwa dziesięć dni, podczas których lekarze i siostry co chwila oglądają nasze rany, robią badania krwi i mierzą temperaturę. Dostaję termometr średnio dziesięć razy na dzień. Każdy z moich trzech towarzyszy w kajucie jest po amputacji, jeden ma odjętą lewą rękę na wysokości łokcia, a dwaj pozostali nogi, obaj do kolan. Chcąc nie chcąc, myślę wciąż o Gallagherze. Nadal nie wiem, czy przeżył po tym, jak go zostawiłem. Dręczą mnie wyrzuty sumienia: przyjaciel staje się bohaterem wielu koszmarnych snów prześladujących mnie w drodze do Nowego Jorku. O dziwo, nie dokucza mi choroba morska, jednakże w rany na brzuchu wdaje się zakażenie, które leczy się nowym cudownym lekarstwem - sulfonamidami. Zanim przybijamy do Nowego Jorku, infekcja ustępuje, ale nowy specyfik wywołuje u mnie przykre skutki uboczne w postaci nawracających mdłości. Najpierw myślałem, że to skutek bujania na falach, ale nudności utrzymują się również potem, kiedy wyniesiono mnie na noszach i ulokowano w szpitalu w Fort Dix. Nie wiem, co się dzieje z

pozostałą trójką. Ze statku wyprowadzają nas oddzielnie. Wszystko dzieje się bardzo szybko. W samochodzie, który zawozi mnie do szpitala, jestem tylko ja i czuwający nade mną łapiduch. Cały czas męczą mnie zmyślenia. Najpierw śni mi się rana, która tak niespodziewanie przerwała moją wojaczkę, później pojawiają się też inne koszmary. Przez półtora roku nie jestem w stanie się przed nimi obronić. Zaczynam wątpić w swoje zdrowe zmysły. Czuję się, jakby od natłoku wspomnień zatkał mi się mózg. Jednocześnie żyję w świecie Mary, na farmie, która wydaje mi się najbardziej realnym doświadczeniem, jakie miałem. Teraz, gdy znalazłem się w normalnym szpitalu, pod stałą obserwacją, ujawniają się moje traumatyczne przeżycia - wybuchy płaczu, krzyki i zawroty głowy; lekarze są zaniepokojeni. Niechcący staję się klasycznym przypadkiem z paragrafu ósmego. Mijają dwa miesiące, zanim uznają, że jestem dostatecznie zdrowy, bym mógł opuścić szpital w Fort Dix. Przez ten czas spotykam się stale z psychiatrą i usiłuję się uporać z urazem, który najwyraźniej wywołuje moje dziwaczne zachowanie. Często budzę się w nocy i boję poruszyć, drgnąć, otworzyć oczy. Czuję straszliwe wyrzuty sumienia - i zarazem wyrzucam sobie, że je mam. Mimo to podświadomie wiem, że muszę się wziąć w garść. W tym okresie szpital wydaje mi specjalne przepustki, uprawniające mnie do odwiedzin rodziny w Filadelfii. Opowiedziałem opiekującemu się mną psychiatrze o mojej babci i o listach, które do mnie pisała. Czuję, że gdybym je przeczytał w ciszy i spokoju, łatwiej dałbym sobie radę z koszmarami. Psychiatra, choć niechętnie, zgadza się. Udziela mi długoterminowej przepustki, pod warunkiem że pozostanę z nim w stałym kontakcie telefonicznym. Zatrzymuję się u ciotki Ethel. Dowiaduję się, że ciocia Sophie zmarła w marcu, mniej więcej wtedy, gdy zostałem ranny... Dowiaduję się, że od dwóch miesięcy nie żyje również Mary. Chociaż to przeczuwałem, jest to dla mnie szok! Nie mogą uwierzyć, że nic o tym nie wiedziałem. Wiedzą, że Mary dostawała ode mnie masę listów, ale nikomu nie chciała ich pokazać. Wymykała się z domu, aby wysłać swoje listy, i wszyscy się domyślali, że pisze do mnie. Myśleli, że babcia zniedołężniała na stare lata i nie bardzo wie, co robi. Ona jednak wiedziała. Potwierdzam przed ciocią Ethel, że Mary pisała do mnie od początku wojny, a ja starałem się jej odpowiadać.

- Daję słowo, ciociu Ethel, nie wiem, czy bez niej przeżyłbym tę wojnę. Pisała takie piękne listy. Teraz wiem już, że to prawda: zaczynam czuć, że przeżyję, że panujący dotąd w

mojej głowie mętlik pomału się rozwieje. Gdy wreszcie wypisują mnie ze szpitala, dostaję odznakę za honorowe zwolnienie ze służby i ląduję w pociągu do Kalifornii; tam wracam do czegoś w rodzaju normalnego życia, jeżeli życie w Kalifornii może być normalne. Zapisuję się na Uniwersytet Kalifornijski i studiuję na wydziale sztuk pięknych. Poznaję kobietę, którą biorę za żonę i z którą mam czworo cudownych dzieci, uczę się uczyć w szkole i uroczyście przysięgam, że nigdy nie zapomnę miłosnych listów od mojej babci Mary: najpiękniejszych miłosnych listów, jakie można otrzymać.

KONIEC

PS W dwa tygodnie po napisaniu ostatniej strony książki dostałem list od jednego z członków mojej drużyny nazwiskiem Vasco. Przesłał mi zdjęcie przedstawiające mnie, jego i Rola Gallaghera. Ach, magia czasu i miejsca! Odpisałem mu niezwłocznie, potwierdzając odbiór listu i zdjęć. To bardzo dziwne po pięćdziesięciu latach milczenia piszę tę książkę i raptem przychodzi do mnie ta wiadomość z przeszłości. Po czymś takim człowiek jest gotów uwierzyć we wszystko. Och, Gallagher, gdzie ty się podziewasz, kiedy cię potrzebuję? NIGDY, NIGDY MNIE NIE ZŁAPIECIE!!!

William Wharton

6 sierpnia 1999

KONIEC_